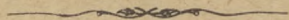


# JASNOWIDZĄCA

PRZEZ

KSAWEREGO DE MONTÉPIN.

TOM III.



GRODEK.

Nakładem i drukiem J. Czaińskiego

1889.





11. 1.416.161

(A)

1998 x 246/29c



## I.

Wszyscy nasi współcześni, którzy przed dwudziestu laty Paryż widzieli, przypominają sobie zapewne nędzne, na pół zwalone domki, stanowiące otoczenie najpiękniejszego pałacu na świecie. Było to w tem miejscu, gdzie dziś cudowna budowa nowego Luwru wznosi się. Znajdywały się tam zakłady przemysłowe najrozmaitszego rodzaju: tandety, kramy z książkami i obrazami, kancelarye pokątnych pisarzy i sklepy z żelaziwem i rozmaitemi innymi materiałami.

Obcy człowiek, który tu przybył bądź ze wspańiałego Palais-Royal, bądź z ulicy Rivoli, musiał się zdziwić i ucuć odrazę na widok brudnej gmatwaniny, jaka tu panowała.

Prosimy czytelników naszych, aby raczyli wejść z nami do jednego z tych domów, tworzącego róg ulicy muzealnej. Dom ten jest wąski a wysoki o powierzchowności wcale ponurej. Były w nim dwa wchody: jeden od ulicy muzealnej a drugi od placu, na którym stał karucel. Jednym z nich można było wejść do winiarni, cały parter zajmującej, drugi zaś służył lokatorom.

Wąskim, ciemnym i wilgotnym korytarzem można się było dostać do brudnych, kamiennych wschodów, prowadzących na górę. Obok bramy przybita była



drewniana tablica, na której można było wyczytać następujące ogłoszenia:

Na pierwszym piątrze:

Bióro do rozmaitych interesów. — Pośrednictwo w zawieraniu małżeństw. — Eskont weksli. — Ściąganie długów. — Układ pism wszelkiego rodzaju. — Zawieranie uгод z wierzycielami. — Biegły w prawie bierze na się zastępstwo we wszelkich sprawach bankructwa i spadków. — Ręczy się za pośpiech i dyskrecyą.

Uwaga: Poszukuje się osób czynnych i uzdolnionych za dobrem wynagrodzeniem. Kaucyi nie wymaga się żadnej.

Chodźmy korytarzem, a potem wschodami na górę i otwórzmy drzwi oznaczone napisem:

Bióro do rozmaitych interesów.

Znajdujemy się w pokoju, którego widok przypomina prowincyą. Ściany zastawione są wysokimi aż pod powałę sięgającymi szafami, w których są widocznie foljały zasłonięte kartonami. Na kartonach dają się czytać najrozmaitsze napisy. W pokoju widać najmniej sześć stolików, a przy każdym z nich siedzi pisarz licho ubrany, wychudły i bądź porządkuje stosy stemplowanych papierów, bądź pisze.

Opuśćmy ten pokój i wejźmy drzwiami do właściwej świątyni, to jest do pokoju biegłego w prawie człowieka. Pokój ten jest o wiele mniejszy od pierwszego i o wiele lepiej, ba nawet z pewną wytwornością umeblowany.

Na kominku stoi zegar bronzowy z czasów ce-



sarstwa i dwa duże ramienne lichtarze. Na tapetowanych ścianach rozwieszono obrazy w dużych, szerokich, złocistych ramach, na oknach wiszą kotary z welnianej materii. Meble pokryte są utrechckim aksamitem. Między oknami umieszczono biurko do pisania a obok biurka widoczna jest żelazna, ciężka skrzynia, zdradzająca swą ważność czterema zamkami.

Gdy widok tego pokoju zastanowił nas, to jeszcze bardziej zdziwimy się wszedłszy do dalszego.

Tu już prawdziwy przepych panuje. Pokój ten jakkolwiek bez smaku, lecz bogato brzybrany. Droгоценne dywany i kotary, pokrycie mebli, malowidła w pysznych ramach nadawały tej komnacie pozór kobiecego budoaru. Za ledwie po biurku do pisania można się było domyśleć, że pokój ten zamieszkuje mężczyzna. W tym pokoju było dwoje drzwi, tak że można było ztąd wyjść nie przechodząc przez kancelaryę, któreśmy dopiero co opisali.

Poznawszy urządzenie tego mieszkania, w którym zaszły najważniejsze zdarzenia w naszej powieści opowiedziane, zapoznamy się teraz z osobistościami, które tu przed naszymi stają oczyma.

W gabinecie biegłego w prawie człowieka zdybujemy dwu dawnych naszych znajomych, z którymiśmy się od lat dwunastu wcale nie widzieli. Tyle to już minęło czasu od uwięzienia Vaubarona.

Tymi znajomymi są zbrodniczy ludzie Rodille i Laridon.

Laridon jest jak najstaranniej w czarne suknie przybrany. Człowiek ten siedzący w wygodnym fotelu przy biurku do pisania, wcale imponująco wy-



gląda. Dawniej sędzia, potem tandeciarz nadał się dziś jak powietrzem napelniony pęcherz. Orli nos jego zakrzywiony i ostro kończysty nie był jak dawniej czerwony, lecz prawie niebieski i przedstawiał na bladej twarzy tego człowieka widok osobliwszy. Laridon przykrył lysą głowę niską czapczką, z pod której skąpe kosmyki żółtych włosów wyglądały. Tylko głos jego nie zmienił się dotąd i był jak dawniej nieprzyjemny i chrypliwy.

Laridon obojętnie spoglądał na akty, które na stoliku leżały. Podczas tego Rodille przechadzał się po gabinecie wielkimi krokami głęboko w myślach pogrążony. Rodille zmienił się w ostatnich czasach nie do poznania, schudł, postarzał się i prawie wyłysiał. Oczy jego głęboko zapadnięte otoczone były niebieskawymi kęgami, lecz połyskiwały się jeszcze zawsze tajemniczo jak dawniej. Usta jego były zacisnięte a czoło pomarszczone. Był on podobnie jak Laridon w czarnem ubraniu, które przecież z daleko gorszej materji zrobione było. Bielizna jego zaledwie białą mogła być nazwana, a cała jego istota podobna była do pisarza, który pięćdziesiąt franków miesięcznej płacy pobiera.

## II.

Zanim przystąpimy do dalszego toku naszej powieści, wymaga potrzeba, abyśmy czytelników naszych zapoznali ze zmienionem położeniem, w jakim się bandyci znaleźli.

Zacznijmy najpierw od Rodilla.

Rodille był zawsze jeszcze dosyć bogatym, po-



mimo że go Wicherek okradł. Pozostała mu suma, którą zdobył zamordowawszy barona Viriville. Oprócz tego miał on dochody, które mu płynęły z umowy z doktorem Hornerem. Od czasu atoli, kiedy został okradziony, stał się strasznie niedowierzającym i podejrzliwym. Żadna kasa nie wydawała mu się dość bezpieczną. Mimo tego atoli nie dał pleśnieć kapitałom i nakupił obligacyj, oczekując z niecierpliwością terminu wypłaty kuponów.

Zresztą Rodille także pożyczał pieniądze, rozumie się na gruby procent, lecz w miarę jak mu rósł majątek, stawał się coraz bardziej skąpym i najmniejsza strata wydawała mu się być bardzo wielkiem nieszczęściem. Skąpstwo to nie dozwalało mu ryzykowne rzeczy przedsiębrać, jak to dawniej z ochotą czynił, bo obawiał się straty.

To też zmienił zupełnie dawniejszy tryb życia, zrzucił maskę i ani razu nie zaglądnął do owego tajemniczego pokoiku na ulicy Radziwiłłowskiej. Słowem Rodille uporządkował swoje interesy, stał się poważnym człowiekiem, zamieszkał w dzielnicy miasta, gdzie tylko poczciwi ludzie mieszkali i nazywał się odtąd właściwem swem nazwiskiem.

Zaledwie ujrzał się znowu bogatym, nie porzestał na tem, lecz całe jego dążenie skierowane było ku temu, aby coraz więcej zbierał bez zastanowienia się nad tem, co pocznie z bogactwy, które nagromadził.

Pewnego dnia zszedł się był z zawołanym urwiszem, który kiedyś miał dobrą posadę przy sądzie, ale dla nadużyć oddalony został. Urwisz ten



zeszedł na dziada. Chcąc mieć sposób do życia, założył kancelaryą na ulicy muzealnej, lecz źle mu się powodziło i rychło umarł. Rodille spostrzegł, że będzie mógł z tego korzystać, kupił kancelaryą zmarłego wraz z jego interesami za dwieście franków, które gotówką zapłacił.

Rodille mógł wprowadzić na własną rękę kancelaryą otworzyć, lecz wolał nabyć cudzą, pomieszczoną w domu i dzielnicy miasta, która mu się nade wszystko podobała. Gdy układ już był zawarty, uznał Rodille, że na własne imię interesu rozpocząć nie może, bo dawniejsze jego stosunki ze sądem na to nie pozwalały. Zresztą nie miał prawa przydania sobie tytułu prawnika. Chciał on mieć wolną rękę w interesach, lecz musiał mieć wobec praw swego zastępcę, któryby w razie jakiej burzy za konduktora posłużył.

Takich ludzi nie mało mógł znaleźć w Paryżu, lecz w tem leżała niemała trudność, że taki zastępca, jaki mu był potrzebny, musiał być biegłym w prawie.

Po dłuższym namyśle przypomniał sobie Laridona, dawniej sędziego a potem tandeciarza. Natychmiast rozpoczął poszukiwania i znalazł tego łotra na ulicy Montrouge, dokąd się był zaprowadził opuściwszy pomieszkanie na ulicy Pas-de-la-Mule. Dowiadując się o tandeciarzu, posłyszał Rodille niedobre o nim nowiny.

Laridona spotkało nieszczęście. Okradziono go. Gdy nie miał czem długów opłacić, zniknął pewnego poranku i każdy, kto go znał, był pewny, że na



zawsze z Paryża się wyniósł. Rodille przebiegał ulicami po całym Paryżu, chcąc go odnaleźć. Nadzieja nie zawiodła go, bo znalazł Laridona w jakiejś podejrzanej, bardzo brudnej knajpie.

Tandeciarz korzystał jak mógł z dawniejszej praktyki i znajomości prawa. Udzielał on różnym opryskom i złodziejom lekcji z prawa karnego, pouczał ich o różnicy między przestępstwem a zbrodnią, wyjaśniał co jest proste złodziejstwo, a co rabunek i od każdej takiej lekcji kazał sobie płacić po pięćdziesiąt sous. Nie zbywało mu na uczniach, to prawda, lecz to było biedą niemałą, że nie płacili regularnie, bo nie mieli zkad. Tak podobne zajęcia nie starczyło tandeciarzowi nawet na najskromniejsze życie.

W chwili, kiedy się tego najmniej spodziewał, ujrzał Rodillego, który mu ofiarował środki, stanowisko i wygodne życie. Bez wahania się przyjął warunki, z zamkniętymi oczyma podpisał układ, zgodził się na zupełną zawisłość od swego dobroczyńcy i jawił się potem jako dyrektor w biurze do rozmaitych interesów na ulicy muzealnej.

Potrzeba przyznać, że Rodille pomimo że był najędźniejszym z ludzi, posiadał przecież niepospolitą energię i wytrwałość. To też do kilku miesięcy kancelarya jego cieszyła się licznymi, poważaniami godnymi klientami.

Musimy tu podać niektóre szczegóły objaśniające treść napisów umieszczonych na tablicy, która koło bramy na murze zawieszona była.

Wiadomo każdemu, z jaką skwapliwością syno-



wie bogatych rodziców podpisują weksle na kilkadziesiąt tysięcy franków, płatne za trzy miesiące, jeżeli za podpisanie takiego wekslu kilkanaście tysięcy otrzymać mogą. Dwa lub trzy miesiące zdają się być bardzo długim czasem, jeżeli się ma lat dwadzieścia kilka. Jeżeli długu wekslowego w należytych czasie nie zaspokojono, natenczas Rodille wprowadził młodych, nierozważnych dłużników do więzienia. Rodzina uwięzionego spieszyła, aby zamkniętego uwolnić. Tym sposobem majątek Rodillego mnożył się z każdym dniem.

Kancelarya kupowała także długi zaprzepaszczone, których nie można było ściągnąć, a to było drugim znacznym źródłem jej dochodów.

Najwłaściwsze i zarazem najobfitsze źródło dochodów, jakie tylko geniusz takiego człowieka jak Rodille mógł odnaleźć, było następujące:

Każdą razą, kiedy tylko jaki bogacz bez testamentu umarł nie zostawiwszy spadkobierców po sobie, Rodille używał natychmiast swoich szpiegów i na dziesięć wypadków udawało mu się przynajmniej ośm razy odnalezienie jakichś tam dalekich krewnych, którym się o bogatem dziedzictwie ani śniło nawet. Gdy odnaleziono spadkobiercę, łotr natychmiast udawał się doń z wizytą zachowując wszelkie pozory grzeczności i skromności.

Na wstępie przemawiał Rodille w ten sposób:

— Mój panie! Jestem prawnikiem. Przypadek odkrył mi tajemnicę, która dla pana jest nader ważną. Mogę panu przysperzyć wiele pieniędzy, na które nigdy nie liczyłeś. Bez mojej pomocy nie



mógłbyś ich dostać. Podejmę się wszystkich trudów, opędać będę wszelkie koszta i nie żądam wynagrodzenia pierwej, dopóki pan rzeczoną sumę całkowicie nie odbierzesz.

Radością upojony nieborak zaledwie mógł pojąć, o co rzecz idzie. Rodille natenczas słodziutkim głosem tak dalej przemawiał:

— A teraz mój panie, rozchodzi się się tylko o sposób, w jaki moje trudy i usiłowania wynagrodzisz.

— Ach! mój szlachetny panie! — brzmiała odpowiedź — niech pan nie wątpi o mojej wdzięczności i wspaniałomyślności.

Rodille skłonił się uprzejmie.

— Nie wątpię o tem ani chwili, lecz tu się rozchodzi o rzecz nader ważną i dla pana wielce korzystną, chciałbym przeto w tym względzie mieć niejaką pewność.

— Jestem cały na pańskie usługi — odpowiadał przyszyły spadkobierca — racz pan przeto wyrazić swoje życzenia.

— Spodziewam się, że pan moje żądanie uzna za słuszne i przyjmie z gotowością.

— Cóż zatem?

— Rzecz bardzo prosta. Wystawisz mi pan dokument po wszelkiej formie na to, że połowa otrzymanej sumy do mnie należy, skoro całą otrzymasz.

Spadkobierca natenczas podskoczył w górę i krzyknął:

— Jakto, pan chcesz połowy?

— No tak zapewne!



— Dam panu ósmą część.

Rodille słysząc to, żegnał się i szedł ku drzwiom.

— Wie pan co? Dam panu czwartą część.

— Ani ósmą, ani czwartą mój panie, lecz muszę dostać połowę. Może pan teraz czynić, co się panu podoba.

— Ależ pan mnie zarzynasz!

— Powinienbyś pan inaczej powiedzieć, że przyszedłem, aby ci kieszenie pieniędzmi nappełnić.

— Ależ tych pieniędzy jeszcze nie ma.

— I nie będzie ich nigdy, jeśli się pan nie zgodzisz.

— Połowa, to za wiele.

Potem Rodille znowu się zabierał do odejścia, lecz spadkobierca wstrzymywał go i usiłował wszelkim możliwym sposobem zawrzeć korzystniejszą dla się umowę. Rodille przecież był niewzruszony i kończył rozprawę temi słowy:

— Niech się pan namyśli, niech się pan przekona, ażali bezemnie możesz co wskórać. Zresztą oto jest mój adres. Jeśli pan będziesz miał ochotę mnie odwiedzić, to mnie to bardzo ucieszy. Jestem zawsze w domu od godziny dziesiątej do dwunastej w południe.

Spadkobierca poruszał po oddaleniu się Rodillego wszystkie sprężyny, aby się dowiedzieć, z kąd spadek otrzymać może, lecz zbywało mu na wszelkich wskazówkach. To też za dni parę po daremnych usiłowaniach zdążył już na ulicę muzealną. Rodille nie tryumfował, lecz przyjmował gościa jak najgrzeczniej. Bez dalszych korowodów sporządzono



teraz dokument ułożony wedle życzeń Rodillego. Potem otrzymywał spadkobierca niezbite dowody swego uprawnienia do spadku, którego się najmniej spodziewał. Mimo to przecież szczęśliwiec nie mógł się pocieszyć po stracie całej połowy tak znacznej sumy.

Możemy sobie pomyśleć, jak znaczne dochody z podobnych interesów płynęły, a potrzeba wiedzieć, że takie interesy dosyć były częstymi.

Owi pisarze, którzy jak wiemy w pierwszym pokoju przy stolikach pracowali, odgrywali rolę psów gończych na polowaniu, które końca nie miało. Ci ludzie, głodni, źle ubrani spędzili trzy czwarte części swego żywota na ciągłej bieżącej od jednej dzielnicy miasta do drugiej, kopiując metryki, świadectwa zawartych ślubów i t. d. Resztę czasu używali na uporządkowanie zebranych notatek. Pięciu z tych męczenników zostawało pod kierownictwem szóstego, najbieglejszego ze wszystkich. Ten był w kancelaryi pierwszym pisarzem. Ukończył studia jurydyczne, lecz dla braku funduszków nie złożył dotychczas egzaminów państwowych. Ten młody człowiek nazywał się Paweł Mercier, był sierotą i jako taki w zakładzie dla sierót wychowany został. Paweł był łagodnego charakteru, lecz posiadał przytem także odwagę i przytomność ducha, o czem rychło mowa będzie. Był on zanadto młodym, aby mógł wiedzieć, jakiego rodzaju były interesa Laridona i Rodillego, których uważał za najpoczciwszych ludzi pod słońcem.

Paweł Mercier jest powołany do odegrania w



naszej powieści najznacniejszej i najważniejszej roli. To też godzi się, abyśmy osobistość jego bodaj pobieżnie naszkicowali. Był on wysokiego wzrostu i miał na sobie czarne ubranie wprawdzie niemodne lecz bardzo czysto utrzymane. Nie można go było nazwać pięknym, lecz mimo tego mógł się podobać, bo z jego dużych, ciemnych oczu przeświadczała otwartość i szczerłość. Wyraz jego twarzy był poważny i smutny. Prawdziwą jego ozdobą były zdrowe, białe zęby i zgrabne ręce, którymby niejedna panienska pozazdrościła.

Paweł zostawał w ciągłych stosunkach z Rodillem, który mu okazywał pewną przychylność i życzliwość. Od Rodillego odbierał wszelkie polecenia i udzielał ich kolegom do spełniania.

Musimy teraz czytelników waszych zapoznać z niektórymi szczegółami, które do zrozumienia tego, co nastąpi, jest konieczne. Pójdźmy więc do gabinetu, gdzie Laridon siedzi beczynnym na wygodnym fotelu a Rodille wielkimi krokami przechadza się.

Laridon drzemał. Rodille stanął przed nim nagle i przemówił:

— Do dyabła! cztery miliony, to bardzo znaczna suma, z którejby połowa mogła mnie przypaść. Sto batów, gdybym tego nie dostał! Nie! to być nie może, muszę się postarać. Jakkolwiek zresztą zawsze jestem ostrożnym, tak przecież tą razą zaryzykuję. W takiej grze nie żałuje się stawki. Tylko głupiec nie naraziłby się tam, gdzie idzie o pozyskanie dwu milionów.

Rzekłszy to, Rodille uderzył silnie ręką o po-



ręcz krzesła, na którym Laridon spał już w najlepsze.

Laridon obudził się nagle i zapytał gniewnie:

— Czego pan chcesz odemnie?

— Weź pan pióro do ręki i pisz!

— Co takiego?

— To, co panu podyktuje.

— Nie dajesz mi pan ani chwili spokoju. Czy nie możesz pan użyć do pisania kogo innego?

Rodille wzruszył ramionami.

— Pisz bratku, co ci każe, a spiesz się. Radzę ci to bardzo. Już mi się sprzykrzyło karmić darmozjada i łatwo mógłbym cię odprawić dziękując za usługi.

— Pan obchodzisz się ze mną jak ze służącym, a to mi się wcale nie podoba.

— Obchodzę się z panem tak, jak potrzeba i powinienes być z tego zadowolony.

— Ależ ja tu jestem u siebie w domu, ja jestem właścicielem biura!

— Zapomniałeś o piśmie, które dowodzi jasno i niezbicie, że to ja właściwie kupilem tę kancelaryą i że pan niezem innym nie jesteś, jeno moim zastępcą, którego w każdej chwili oddalić mogę. Bądźże pan zatem posłuszny moim rozkazom. Mniejsza o to, czy je spełniasz jako sekretarz, albo jako służący.

### III.

Laridon był posłuszny. Wziął pióro ze stołu, zamaczał i choć z niechęcią gotów był do pisania.

— Cóż mam pisać? Już dawno jestem gotów!



— No, to dobrze! — odpowiedział Rodille — uważaj bratku! — Rzekłszy to, począł dyktować!

— Ktokolwiek byłby w stanie dowieść pokrewieństwa z niejakim Andrzejem Bernard, urodzonym w roku 1765 we wsi Saint Ferreal, w dawniejszej prowincyi Franche Comté, departamencie Jura, raczy się bezzwłocznie zgłosić do pana Laridona, adwokata, mieszkającego w Paryżu, na ulicy muzealnej, numer pierwszy, gdzie ważne wiadomości mogą mu być udzielone.

Rodille wstrzymał się.

— Cóż dalej? — zapytał piszący.

— Nie dalej. Widzisz pan teraz, jak niepotrzebnie się uniosłem dla takiej drobnostki. Teraz już cię nie potrzebuję więcej i możesz dzień przebyć, jak ci się żywnie podoba.

Rodille zadzwonił.

Natychmiast z przyległego pokoju otworzono drzwi. Paweł Mercier jawił się.

— Czyś mnie pan wołał, panie Rodille? — zapytał Paweł nieśmiało.

— Tak jest.

— Cóż potrzeba?

Rodille wziął kartkę, na której Laridon pisał co było dyktowane i wręczył ją Pawłowi mówiąc:

— Przepisz pan to pismo cztery razy i zanieś je do Monitora, Journal des Debats, Constitutionela i Gazety Francuskiej i zapłać za umieszczenie, na co daję sto franków. Każ pan sobie dać kwity, że anonse zapłacone zostały.

— Natychmiast to skutecznie, panie Rodille.



— Gdy się pan z tem uporasz, to pójdź do owego małego domku na Boulevard du Temple.

Gdy Rodille te słowa wymawiał, oblicze Pawła pokraśniało widocznie.

— Do pana Hornera? — zapytał Paweł.

— Tak jest. Powiedz pan doktorowi, że go dziś odwiedzić nie mogę, a przytem dodaj, że go proszę, aby mi napisał, jeżeli co ważnego ma do doniesienia.

— Dobrze, panie Rodille.

— Więc idź pan i powracaj jak najrychlej.

Paweł Mercier opuścił gabinet niepospolicie wzruszony.

— Tak, tak — rzekł Laridon. — Po ogłoszeniu tych słów w czterech najgłówniejszych dziennikach paryskich, krewni Andrzeja Bernard, jeżeli jacy istnieją, nie omieszkają pospieszyć do naszej kancelaryi.

— Liczę na to.

— Potem przypadnie mi udzielenie im ważnych wiadomości wedle pańskiego rozkazu.

— Oczywiście.

— Otóż nie wiem ani słowa z tego, co potrzeba będzie powiedzieć.

— Mało na tem zależy, bo ja sam zgłaszających się przyjmę.

— Byćby mogło — dodał Laridon — że przyjdą niespodziewanie, gdy pana w domu nie będzie. Myślę zatem, że to leży w interesie kancelaryi, gdzie za dyrektora uchodzę, abyś mi pan powiedział, jaką tym ludziom należy dać odpowiedź.



— To niepodobna — odpowiedział Rodille uśmiechnawszy się.

— A to dlaczego?

— Bo tu idzie tylko o rzecz, która mnie dotyczy, nie uważam zatem kochany Laridonie, iżby było potrzebnem abym zaspokoił twoją ciekawość.

Laridon nie odpowiedział, lecz zmarszczył czoło z wyrazem niezadowolenia, a potem pomyślał:

— Aha! ty się obchodzisz ze mną jak z murzynem, ale poczekajno Rodille! Upokorzę ja ciebie! Przyjdzie chwila, że ci będę mógł odwetować, może nie rychło, to prawda, lecz w tem już moja rzecz, aby kreska na cię przysła!

Pomyślawszy tak, wstał z krzesła, wziął kapełusz do ręki, skłonił się Rodillemu z udaną uprzejmością, a potem mimo dość wytwornego ubrania udał się do brudnej knajpy na ulicy Chantre, gdzie codziennie kilka godzin zwykł był przepędzać.

Gdy Rodille sam pozostał, dobył kluczków i otworzył niemi żelazną skrzynię przy biurku stojącą. Ze skrzyni wziął okładzinki do rąk, a otworzywszy je rozwinął w czworo złożony papier i czytał go może po raz setny w życiu. Papier ten nie był nic innego, jeno własnoręcznie przez Andrzeja Bernard a raczej barona Viriville pisany testament, który przed czterem laty w nocy dokonanej zbrodni zrabował był.

Opuśćmy teraz na chwilę dom, gdzie była kancelarya Rodillego, a udajmy się do pomieszkania doktora Hornera. Znamy od dawna część ogrodu, kędy przechodziła publiczność udająca się po radę



do doktora. Teraz po raz pierwszy wstąpimy do miejsca, dokąd publiczność nie wchodziła. Miejsce to odgraniczało budynek główny od ulicy Faussée du Temple.

Ogrodnik magnetyzera utrzymujący kwiaty i drzewa w należyтым porządku, nie zajmował się nigdy tą częścią ogrodu, który w zaniedbaniu przestoczył się z czasem w prawdziwy las. Drzewa i krzewy nigdy nie strzyżone rozpościerały w tem miejscu swe gałęzie wolno we wszystkich możliwych kierunkach, a pasożyty i rośliny pnące się utworzyły nieprzebitą gęstwinię.

Nie było tu wcale żadnych chodników, bo wszystkie zarosły. Pozostała tylko wąska ścieżka, którą można było dostać się do środka, gdzie było dość obszerne, wysokimi drzewami okolone miejsce.

W pośrodku tego miejsca znajdował się kamienny basen i sztuczna skała, na szczycie której umieszczona była statua Neptuna.

Miejsce to, gdzie nawet w południe dla mnogości liścia dosyć ciemno było, ożywiało mnóstwo śpiewaków, gnieźdzących się w gałęziu i mnóstwo skrzeczących żab, które w basenie zajęły mieszkanie.

Doktor i Pamela nie wchodzili tu nigdy i możemy śmiało twierdzić, że o istnieniu tej ustroni zaledwie wiedzieli. Natomiast Blanka Vaubaron chętnie odwiedzała to miejsce. Spędzała ona w tem miejscu poranne godziny, dopokąd nie nadszedł czas magnetycznych konsultacyi. Kiedykolwiek miała wolną chwilę, udawała się tu, a usiadłszy na spróchniałej ławeczce, przysłuchiwała się świągotaniu



ptasząt i czuła się szczęśliwą w tem zupełnem osamotnieniu.

Córka Jana Vaubarona liczyła w tej chwili lat ośmnaście. Nie można sobie przedstawić nic bardziej nadobnego i idealnego jak jej smukły wzrost. Nie nie mogło przewyższyć piękności jej łagodnego, bladego oblicza i włosów okalających jej miłą twarzyczkę. Cóż moglibyśmy powiedzieć o jej dużych, czarownych oczach barwy lazurowej? Dziewica ta w czarnem ubraniu w pośrodku odwiecznych drzew siedząca, godną była zaiste pędzla pierwszego malarza.

Nadspodziewanie i wbrew wszystkim uczonym teoryom, słabowite dawniej dziecię poczęło od czternastego roku życia coraz więcej sił nabierać. Blanka cieszyła się zdrowiem pomimo częstego nużącego zmęczenia, jakie po śnie magnetycznym zawsze u-czuwała.

Blanka zapomniała z czasem, co się dawniej zdarzyło i tylko jakby we śnie przypominała sobie ojca, śmierć matki i wszystkie okropności, które jej porwanie poprzedziły. Nie wiedziała wprawdzie, co jest nieszczęście, a przecież czuła się nieszczęśliwą. Życie, jakie wiodła wcale się jej nie podobalo, owszem było dla niej nieznośnem. Serce jej tęskniło za tkliwością właściwą kołu rodzinnemu. Otóż właśnie zbywało jej na rodzinie, której nic w świecie zastąpić nie mogło. Nadaremnie usiłowała zwrócić swe uczucia ku dwom istotom, z którymi codziennie się stykała, ku doktorowi i Pamelii. Po-



mimo starań nie mogła uczuć ku nim najmniejszej skłonności.

Doktor obchodził się z nią zawsze łagodnie i uprzejmie, pomimo tego atoli w jego postępowaniu widoczny był chłód i obojętność. Pamela przeciwnie gardziła nią. Rodille wreszcie napawał ją przestraszeniem, który instynktowo ucuwała.

Kiedykolwiek nędznik ten znalazł się z nią sam na sam, nie omieszkiał prawić jej nieznośne komplementy. Pewnego dnia nawet usiłował przemocą objąć ją w ramiona. Blanka zaczęła krzyżeć, na co doktor nadbiegł i począł Rodillemu robić wyrzuty.

Skutkiem tego były febryczne wstrząśnienia, które cały niemal miesiąc trwały.

Gdy dziewczę dorosło, Fryderyk Horner począł mu udzielać nauki, lecz wykształcenie, jakie mu dał, było bardzo powierzchowne i rozciągało się li tylko na czytanie, pisanie i początki rachunków.

— Dla dziewcząt dosyć jest tego — mawiał doktor z ironią.

Blanka potrzebowała wiary. Na dalekim horyzoncie wspomnień pojawiało się jej słowo: Bóg, podobnie rozbitemu statkowi, którym fale morza miotają.

Przypominała sobie, lecz bardzo niewyraźnie, że będąc małą dzieciną kłękała, składała rączki i modliła się do Boga.

W pomieszkaniu Hornera wszystko oddychało grubym materyalizmem. Oprócz materyi doktor nie uznawał nic innego. Wedle jego wyobrażenia dusza



była tylko jakby elektryczną iskrą, która gaśnie, aby po raz drugi już nigdy więcej nie zaświecić.

Blanka słyszała wymawiane imię Boga tylko wtenczas, gdy Fryderyk albo Pamela w uniesieniu przekleństwa miotali. Złorzeczenia tych ludzi napały ją przestraczem, lecz nie pojmowała dłaczego. Widok kościołów sprawiał na Blance osobliwsze wrażenie. Kiedykolwiek doktor wziął ją ze sobą na przechadzkę, uczuwała coś jakby zazdrość, widząc starców, kobiety i dzieci do kościoła spieszących. Biedaczka myślała sobie:

— Ci ludzie muszą być zapewne szczęśliwi.

#### IV.

Pewnego dnia, a było to w piętnastym roku życia biednej Blanki, zaszedł wypadek na pozór mało znaczący, który przecież opowiedzieć musimy, bo na całą przyszłość córki Vaubarona wywarł wpływ ogromny. Fryderyk Horner zmuszony był oddalić się z Paryża na całe dwie doby. Oczywiście magnetyczne konsultacye w czasie jego niebytności wcale się odbywać nie mogły. Doktor surowo nakazał Pamelę, aby w tym czasie na Blankę uważała i nie opuszczała jej. Zaledwie jednakowóż Fryderyk dom opuścił, jasnovidząca wyszła także, zdawszy, co jej polecono, na służę. Gdy pana nie było w domu, służący oczywiście mało dbali o rozkazy Pamelę. Blanka wkrótce sama w domu pozostała, a uczuwszy pochop do użycia wolności i świeżego powietrza, wzięła na głowę prawie nigdy nie używany kapelusz, zarzuciła szalik na ramiona,



wyszła z domu i znalazła się na ulicy.

Z początku uczuła jakby lęk ujrawszy się samotną na ludnej ulicy i już chciała się wrócić, lecz bojaźliwość ta wkrótce ustąpiła. Blanka przysła do siebie i szła dalej drogą nie zadając sobie wcale pytania, dokąd idzie i po co.

Po dwugodzinnem błakaniu się po ulicach, stanęła przypadkiem przed portalem kościoła Panny Maryi. Uczuła jakiś niezrozumiały pociąg, który nigdy zadowolić nie mogła idąc z Hornerem, który szyderstwem zbywał jej natręctwo, jeżeli kiedykolwiek objawiła chęć wstąpienia do świątyni. Teraz atoli była samą i mogła uczynić, co się jej podobało.

Podszedłszy ku bramie kościelnej oglądnęła się, lecz widząc ludzi, którzy wyłącznie tylko sobą zajęci byli, nabrała odwagi i weszła do środka. Nie nie zdoła oddać uczucia biednej Blanki, jakie nią opanowało, gdy ujrzała wewnątrz tej bazyliki i odechnęła tą wonią kadzidła napełnioną atmosferą kościelną. W kościele nie było nikogo. Tu i ówdzie gorzały lampy na ołtarzach, a przez barwne szyby okien przebijało się światło słoneczne, tajemniczo rozświecające półcień, jaki wewnątrz świątyni zalegał.

Blanka była upojona. Uczucie nie do opisania zrodziło się w jej sercu, oczy zwilżyły się łzami. Uklękła pomimo woli i pochyliła głowę. Zasłoniwszy twarz rękoma, chciała się modlić, ale nie umiała. Nadaremnie usiłowała odnaleźć w pamięci słowa modlitwy. Instynktowo odczuwała obecność niewidomej, wszechmocnej istoty. Chciała się do niej zwrócić, lecz była w niepewności, czyli do Pana albo



do ojca ma zwrócić uczucia i myśli. Blanka milczała, obawiała się bowiem obrazić Boga niestosownemi słowy i tylko jej serce było potężnie.

W końcu atoli uspokoiła się. Z czasów dzieciństwa przyszły jej na myśl słowa, których od matki nauczyła się:

— Boże mój! Oddaję w ręce Twoje przenajświętsze duszę, ciało i serce moje!

Blanka zrobiła pierwszy krok do poznania Boga. Nie wiedziała wprawdzie, co jest religia, ale Bóg sam objawił się jej duszy. Wyszedłszy z kościoła, szła brzegiem Sekwany i wiedziona dziecięcą ciekawością przeglądała wystawy kupców, którzy stare malowidła, książki i t. p. mieli do sprzedania. Nagle zadrżała ujrawszy w dziale książek po dziesięć sous sprzedawanych jakiś stary, podarty egzemplarz w formie dużej ósemki. Można było poznać, że ta książka była kiedyś bardzo pięknie oprawiona, bo na wierzchniej okładce można było rozpoznać złotem wybitą tarczę herbową.

Blanka wzięła książkę do ręki i otworzyła. Na pierwszej stronie umieszczony był napis.

— Pismo święte.

Poczęła obracać kartki i przypatrywała się stałorytom. Natychmiast przypomniała sobie że tę książkę nie po raz pierwszy w życiu widziała. Przypomniała sobie, że w latach młodości dziecięcej, prawie codziennie zachwycały ją obrazki, w tej książce umieszczone.

Blanka nie myliła się wcale.

Przypadek, ów potężny deus ex machina ludzkich



losów, oddał jej rzeczywiście w ręce ową biblię, którą przed dwunastoma laty po śmierci Marty i uwięzieniu Vaubarona na publicznej licytacji sprzedano. Blanka uczuła niepohamowaną żądzę posiadania tej książki. Zapytała kupca o cenę.

— Aj panienko! — odpowiedział zapytany — zdaje się, że nie umiesz czytać. Czyż nie widzisz, że ta książka leży w dziale po dziesięć sous?

Młoda dziewczyna aż zadrżała z radości, bo właśnie owe dziesięć sous były w jej posiadaniu. Pewnego dnia znalazła je była w piasku na podwórzu i chciała oddać Hornerowi, lecz doktor nie przyjął podanej sobie monety i rzekł:

— Możesz to zatrzymać dla siebie.

Córka Vaubarona dobytek z kieszeni dziesięć sous, co stanowiło cały jej majątek i wręczyła pieniądze antykwarzowi. Potem ukryła książkę pod szalem i myślała:

— Mój Boże! Co za szczęście, że dziś z domu wyszła.

Jakkolwiek weale jeszcze nie było późno, zaniechała Blanka dalszej przechadzki po ulicach Paryża i pospieszyła do domu, aby czempredzej nabytym skarbem mogła się do woli nacieszyć. Poczęła przebiegać ulice, ale zabłądziła i ledwie po dwugodzinnem szukaniu i dopytywaniu się zdążyła na Boulevard du Temple i otworzyła drzwiczki ogrodowe kluczem, który schowała do kieszeni wychodząc z domu. Bogu tylko wiadomo, z jakim przestachem weszła do domu, bo obawiała się, aby Pamela lub którykolwiek służący pierwej niż ona nie powrócił. Gdyby tak było, dowiedziałby się



Fryderyk Horner o tem, że wyszła z domu, coby ją na przykre wymówki chlebodawcy naraziło.

Obawa jej była płonna. W domu nie było jeszcze nikogo. Blanka weszła do pokoju i niktby nie mógł pomyśleć, że była na przechadzce.

## V.

Noc rychło zapadła, Blanka zamknęła drzwi, zasnęła zasówki i zapaliła świecę. Potem wzięła książkę do ręki i oczyściła z prochu i brudu. Skóra, w którą biblia była oprawna, odzyskała częściowo dawny połysk i Blanka z radością przypatrywała się tarczy herbowej u góry markizowską koroną przyozdobioną. Blanka oczyściła także klamry, któremi książka zaopatrzona była i przekonała się rychło, że były srebrne. Książka wyglądała teraz niemal tak, jaką była dawniej. Nareszcie otworzyła. Pierwsza kartka była pergaminowa i cała zapisana. Pismo zbladło tak dalece, że w pierwszych wierszach zaledwie było czytelne, niżej atoli mniej było niewyraźne.

Blanka odczytała, co było napisane, lecz to ją mało zajęło. Były tu umieszczone daty narodzin, wesel i śmierci, a nazwisko Vaubaron powtarzało się ciągle. Dziewczyna nie przypominała sobie swego rodowego nazwiska i tak stało się, że przestała czytać nie doszedłszy wcale do końca. Czytelnicy nasi domyślają się zapewne, że daty na pergaminowej kartce umieszczone tworzyły przegląd rodowodowy rodziny Vaubaronów. Jak przodkowie, tak też niemniej i Jan Vaubaron, prosty rzemieślnik umieścił tu datę swego ślubu z Martą Bernard i



dzień narodzin swej jedynej córki Blanki.

Młode dziewczę obróciło kartkę i przeczytało z uwagą kilka początkowych wierszy z księgi rodzajów:

„Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. Ziemia była pusta, ciemności zalegały ją, a duch Boży unosił się nad wodami. Wtenczas rzekł pan Bóg, niech się stanie światło i stało się“.

Cud, jaki Przedwieczny zdziałał na początku, powtórzył się obecnie. Z czytaniem książki zaświecił promień światła w duszy dziewicy. Odtąd córka Vaubarona przez wiele miesięcy nie odwiedzała wcale miejsca w opuszczonej części ogrodu, gdzie przedtem w cieniu odwiecznych drzew z ochotą siadywała, lecz przepędzała wolne godziny w swym pokoiku i z rozkoszą rozczytywała się w książce. Tu tylko oddawała się biblijnym studyom, bo domyślała się instynktowo, że tajemnicy posiadania książki doktorowi w żaden sposób wyjawić nie mogła.

Tak za pomocą nabytej książki Blanka z każdym dniem stawała się inną wcale istotą, poznawała Boga. Do tego przeistoczenia całej jej moralnej istoty brakowało tylko jeszcze jednej rzeczy tj. miłości, lecz i to wkrótce bez jej wiadomości nastąpiło. W chwili, kiedyśmy przerwana nic naszej powieści na nowo nawiązali, Blanka już kochała, choć jeszcze o miłości nawet wyobrażenia nie miała.

Pewnego wieczoru zbudził doktor Horner córkę Vaubarona z magnetycznego uspienia. Blanka czuła się ogromnie zmęczoną. Głowa jej paliła, pierś wzdymała się, a w oczach migotały jasne kręgi z



dziwną szybkością.

W nadziei, że świeże powietrze wieczorne orzeźwi ją, wyszła z salonu do ogrodu i przechadzała się. Noc była jasna. Na niebie iskrzyły się miliony gwiazd. Księżyc świecił, że było jasno jak w dzień. Blanka oddychała chciwie świeżem, wonnem powietrzem i udała się do najbardziej oddalonej części ogrodu.

Idąc dostała nagle zawrotu głowy. Chciała się oprzeć o jaki przedmiot, lecz nie znalazłszy żadnego, zachwiała się i z jękiem padła na ziemię. Nie była zemdloną, lecz czuła się tak bardzo osłabioną, że o własnych siłach wcale się podnieść nie mogła.

W tejże chwili, kiedy Blanka na ziemię upadła, wyszedł z domu Hornera ubogo odziany mężczyzna, o szlachetnej postawie i zaufania godnych rysach twarzy. Tym mężczyzną był Paweł Mercier, którego czytelnicy w poprzednich ustępach naszej powieści poznali.

Laridon posłał Pawła do doktora z poleceniem, aby mu doniósł, że bezzwłocznie w kancelaryi Rodillego na ulicy muzealnej jawić się winien.

Posłyszawszy jęk i upadek, Paweł pospieszył na miejsce wypadku i spostrzegł Blanę bez ruchu na ziemi leżącą. Paweł wiedział o jasnowidzącej dziewczynie w domu Hornera i domyślił się zaraz, że osobą, którą spostrzegł na ziemi leżącą, żadna inna być nie może. Ujawszy tkliwie dziewczynę w ramiona przemówił uprzejmie:

— Czy nie zraniła się pani?



— Nie — odpowiedziała Blanka słabym głosem — to nie.

— Lecz ten upadek?

— Jest skutkiem chwilowego osłabienia.

— Czy życzy pani sobie, abym ją zaniósł do domu?

— O nie! odpowiedziała żywo dziewczyna — chcę pozostać na dworze.

Paweł Mercier oglądał się i ujrzał pod ścianą domu kamienną ławeczkę. Wziąwszy Blankę na ręce, zaniósł ją tam z wszelką ostrożnością.

— Czy lepiej pani teraz?

— Zdaje mi się, że tak, mój panie.

— Czuje się pani mocniejszą?

— Sądzę, że jeszcze nie.

— W takim razie nie może tu pani pozostać. Pójdę i zawiadomię doktora.

Paweł Mercier zrobił poruszenie, jak gdyby się chciał oddalić.

Blanka powstrzymała go i rzekła błagalnym głosem:

— Nie czyni pan tego, proszę cię o to bardzo.

— Ależ pani potrzebuje pomocy...

— Mylisz się pan, nie potrzebuję jej wcale.

— Czyż nie potrzeba skutecznymi środkami temu osłabieniu zapobiedz?

— Nie panie, tego nie potrzeba wcale. To osłabienie jest skutkiem niezwykłego napięcia. Kilka chwil spokoju przywróci mi siły.

— Przynajmniej pozwól mi pozostać tak długo, dopóki jej oczekiwania nie spełnią się.



— A to na co?

— Zakazuje mi pani pójść do doktora i jestem posłuszny, lecz prawdopodobnie nie rozkaże mi pani, abym ją opuścił w chwili, kiedy jeszcze nie jesteś zdolną o własnej sile zdążyć do pomieszkania.

Blanka nie czuła w sobie dosyć sił, aby mogła dalej prowadzić rozmowę.

— Więc zostań pan, jeżeli ci się tak podoba, rzekła zaledwie słyszalnym głosem.

Potem oparła głowę, skrzyżowała ręce na piersiach i milczała.

Paweł Mercier stał w oddaleniu trzech kroków od ławeczki z oczyma ku dziewczycy zwróconemi. Białe światło księżyca oświecało jej lice. Zachwycony tym widokiem Paweł nie mógł odwrócić oczu od tych łagodnych rysów twarzy i był jak oczarowany.

Podobnie Blanka patrzyła na Pawła i było to po raz pierwszy w jej życiu, że jej oczy na nieznanym mężczyźnie przez czas dłuższy spoczywały. Biedne dziecię nie mogło sobie wytłumaczyć pociągu, jakiemu pomimowolnie uległo, to jedno tylko wydało mu się jasnym i pewnym, że między tym młodym człowiekiem z jednej a Hornerem i Rodillem z drugiej strony, ogromna zachodziła różnica.

Tak minęło kilka chwil. Blanka powstała z ławeczki i czuła się dosyć silną, aby mogła o własnej sile zająć do domu bez obawy nowego upadku.

— Widzisz pan, rzekła z melancholijnym uśmiechem — że mi jest lepiej. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jeno złożyć mu najszczerze podzięko-



wanie za jego troskliwość i współczucie, co też czynię z całego serca.

Rzekłszy to, odwróciła się i poszła chwiejnym krokiem do ogrodu.

Paweł chciał pójść za nią, lecz nie miał odwagi.

Widząc oddalającą się dziewczynę, rzekł nieśmiało:

— Czy pani uda się do pokoju?

— Nie — odpowiedziała Blanka — jeszcze nie.

— Czy pani się nie obawia ponownego osłabienia?

Młode dziewczę kiwnęło główką na znak, że nie ma obawy żadnej, a potem rzekła:

— To już przeminęło. Jestem tego zupełnie pewną.

— Zdaje mi się przecież — mówił Paweł dalej — iżby było roztropniej, gdybyś się pani w samotności i ciemności nocy nie narażała na niebezpieczeństwo.

— Co teraz uczynię, to zwykłam czynić każdego wieczora.

— Tak, ale dzisiaj jesteś pani cierpiąca.

— Powtarzam panu, że osłabienie minęło.

— To mnie wcale nie uspakaja i mam powód do tego... Czy nie raczyłaby pani podać mi ramię i pozwolić, abym jeszcze na krótki czas przy niej pozostał?

Blanka była uosobistnioną niewinnością. Nie myśląc o niczem złem, nawet się nie domyślała niebezpieczeństwa nocnego pobytu w cztery oczy. Oddzielona zresztą od świata, nie wiedziała nic o zwyczaju, który młodym panienkom wzbrania surowo



pewnych kroków. Spojrzała na Pawła, którego oblicze wyrażało otwartość, szczerłość i nieklamane współczucie. Blanka bez wahania się zezwoliła na żądanie młodego człowieka.

— Więc podaj mi pan rękę — rzekła — i bądź mi podpórą, gdy taką masz wolę.

Paweł pospieszył i począł drżeć na całym ciele, gdy poczuł dotknięcie delikatnej rączki naszej bohaterki. Młodzi ludzie szli obok siebie nie mówiąc ani słowa, lecz uczuwali oboje niepojęte a przecież rozkoszne wzruszenie, które nadaremnie ukryć usiłowali.

Rychło znaleźli się na wąskiej ścieżce w zarośnięciu i tu dla skąpej szerokości ścieżki jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie. Ręka Blanki drżała lekko na ramieniu Pawła. Przybyli do miejsca wysokimi drzewami otoczonego. Tu było prawie zupełnie ciemno. Tu i ówdzie tylko błąkało się po ziemi światło księżyca. Statua bóżka Neptuna na szczycie skały umieszczona do połowy była oblana światłem, co władcy mórz nadawało pozór fantastycznego zjawiska.

Blanka uwolniła się i usiadła na ławeczce. Paweł stanął tuż przy niej.

— Jak to miejsce jest ponure — rzekł Paweł.

— Takie jest pańskie zdanie?

— Zapewne... ta ciemność... ta statua, której groźna postać w niewyraźnych zarysach po nad nami się unosi, wszystko to wygląda bardzo ponuro.

— A przecież — odpowiedziała dziewczyna — to jest jedyne miejsce w tym ogrodzie, gdzie chę-



tnie bawię samotna.

— Być może, że pobyt na tem miejscu w dzień jest zachwycający.

— Chociaż słońce przyświeca, to przecież to miejsce nie jest wcale weselsze dla tego.

— I pani chętnie tu bawisz?

— Chętniej, niż gdziekolwiek w innem miejscu. Skoro tylko wolną jestem, natychmiast tu się udaję.

— Więc to dzikie miejsce nie nasuwa pani ponurych myśli, nie napawa bojaźnią?

— Właśnie ta ponurość pociąga mnie i odpowiada memu usposobieniu najzupełniej.

Potem nastąpiła chwila milczenia.

— Pani! rzekł Paweł z widoczną nieśmiałością — to co powiedziałaś zasmuca mnie i serce mi ściska. Czy pozwoli pani, abym jej zadał jedno pytanie?

— Dlaczegożbym nie miała panu pozwolić?

— Więc odpowiesz mi pani?

— Odpowiem, jeżeli to w mojej mocy będzie. O cóż chcesz mnie pan zapytać?

— Czy pani jesteś szczęśliwą...

Blanka zadrżała.

— Ja jestem szczęśliwą! — rzekła zmienionym głosem — ach! nie mój panie! Ja wcale szczęśliwą nie jestem.

— Opowiedz mi pani przyczynę tego nieszczęścia, które tak zaciężyło na tobie.

— Więc niewiadomo panu, kim jestem?

— Wiem, że się nazywasz Blanka.

— Czy nie wiesz pan, w jakim zostaję stosunku



do Fryderyka Hornera?

— Jeżeli się nie mylę, to jesteś pani jasnowiedząca tego sławnego magnetyzera.

— I pan się pytasz, czy jestem szczęśliwą? Ach, mój panie! Życie, które tu wiodę jest mi wstrętne. Nie ma na świecie stanowiska, któreby było gorsze, niż moje. Zazdroszczę najnędzniejszemu z ludzi, że brakowi nawet, bo człowiek taki wolnym jest przynajmniej co do uczuć i myśli. U mnie myśli i dusza nie są mojemi. Jedno i drugie niewolniczo podlega doktorowi Hornerowi, magnetyzerowi i panu mojemu!

— Jeżeli tak jest, to dlaczegoż rodzina zostawia panią w tem położeniu?

— Rodzina! Ach, mój panie! Ci co mają rodzinę, są bardzo szczęśliwymi ludźmi! Ja do nich się nie liczę, bo nie mam ni ojca ni matki.

— Tak, jak ja, zawołał Paweł.

— Jakto, czy pan także jesteś sierotą?

— Tak jest pani. Jestem osierocony i samotny na świecie.

— Żałuję pana z całego serca, a przecież zdaje mi się, żeś pan o wiele pożałowania godny niż ja. Pan jesteś mężczyzną, jesteś silnym i niezawisłym i możesz skutecznie walczyć z przeciwnym losem, lecz ja biedna, opuszczona mogę tylko cierpliwie znosić, co mi los zgotował. Pan jesteś jedynym człowiekiem, który mi dotąd okazał współczucie. O ile sobie przypominam, nikt mnie w życiu nie kochał. Tak jest teraz, i niewątpliwie dalej tak samo będzie.



Paweł czuł, że mu serce gwałtownie bije. W głowie mu się kręciło. Chciał się rzucić Blance do nóg i wyrzec:

— Pani mówisz, że cię nikt nie kocha. Pani się myli, bo ja jestem, który ją pokochał nad życie. Ubóstwiam panią i chętnie umarłbym dla niej.

Tem wypowiedziałby Paweł tylko rzeczywistą prawdę. Serce jego rozgorzało miłością gwałtowną, nagłą. Pomimo tego nie odważył się młodzieniec wylać swych uczuć. Po dłuższej chwili milczenia, gdy daremnie usiłował uciszyć bicie serca, przemówił powolnym, zaledwie słyszalnym głosem:

— Położenie pani podobne jest do mojego. Cierpiałem i cierpię jeszcze teraz tak jak pani z powodu, że nie mam rodziny. Młodość moja była tak jak i pani pozbawiona wszelkiego współczucia. Nie byłem podobnie jej nigdy szczęśliwym. Czy nie raczyłabyś pani przyjąć moje bezwarunkowe poddanie się i wynagrodzić je bodaj małą przychylnością? Czy nie zechcesz pani uważać mnie za przyjaciela, za brata?

Młode dziewczę nie rychło odpowiedziało. Wzruszenie stłumiło jej głos a lzy posączyły się z jej oczu po nadobnem licu. Paweł źle zrozumiał rodzaj i przyczynę milczenia dziewczycy.

— Pani mi nie odpowiadasz! Ach! Widzę to dobrze. Pani mną gardzisz i uważasz nieznanego ci człowieka za nieużytecznego głupca a jego przychylność za niepotrzebną ofiarę. Niech mi pani przebaczy, bo nabyłem przekonania, że trzeba było zamilczeć... nie byłem panem uczuć moich. To się



już nie powtórzy więcej. Jeszcze raz błagam cię, przebacz i bądź zdrowa!...

— Mój panie — zapytała Blanka tak cichym głosem, że ledwie można było słów dosłyszeć — jakie jest pańskie imię?

— Nazywam się Paweł — odpowiedział młody człowiek zdziwiony pytaniem.

— Dobrze więc — rzekła nasza bohaterka z mocą, jakiej się po niej nie łatwo można było spodziewać. — Oto masz Pawle moją rękę. Podaję ci ją jako siostra bratu. Przyjmuję ofiarowaną mi przychylność i czuję się szczęśliwą, bo już nie jestem sama jedna na świecie.

Radość niewypowiedziana nappełniła serce młodego człowieka. Pochwycił chciwie podaną sobie rękę dziewczicy. Gotów był przycisnąć ją do ust i okryć płomiennymi pocałunkami, lecz zadowolił się tem, że ją uściskał serdecznie. Blanka nie rychło cofnęła rękę. Czyż siostra wobec brata nie może tego uczynić?

Paweł i Blanka spędziliby chętnie całą noc na pogadance, tak wielki znajdowali w niej powab, którym się wcale nasycić nie mogli, lecz czas mijał się z szybkością strzały i lada chwila mógł Fryderyk Horner zwrócić uwagę na nieobecność dziewczyny.

Musiano myśleć o rozstaniu się.

— Kiedyż się zobaczymy znowu, droga Blanko, moja siostrze? — zapytał Paweł.

— To zawisło bardziej od pana, niż odemnie. Czy pan często przychodzi do doktora Hornera?



— Ach, bardzo rzadko! Co najwięcej raz w tygodniu.

— Nie mógłbyś go pan częściej odwiedzać?

— Tak, może, jeżeli mi się uda wynaleźć powody.

— Jeżeli pan zechce poszukać, to znajdziesz je niezawodnie.

— Spodziewam się... nie wątpię o tem... chęć widzenia się z panią zaostrzy bystrość mego umysłu.

— Ja zaś — odpowiedziała Blanka — oczekiwać pana będę każdego wieczora na tem samem miejscu gdzie się teraz znajdujemy. Możesz pan być pewny, że mnie tu zawsze zastaniesz. Widzi pan więc, że to od pana zależy, a nie odemnie, aby nasze schadzki jak najczęściej powtarzały się.

Paweł pożegnał Blankę. Młode dziewczę nie posiadało się z radości, poszło do domu i zamknęło się w pokoju, aby marzyć do woli. Paweł podążył ku ulicy muzealnej. Tej nocy Blanka spała mało, a Paweł ani oka nie zmrużył. Kielkująca miłość jest zaprzysiężonym wrogiem snu.

Niedoświadczona Blanka nie inaczej była przekonana, jak że dla Pawła tylko siostrzaną uczuwała przychylność i długo jeszcze potem pozostawała w tem błędnem mniemaniu.

Paweł, doświadczeniem i lekturą pouczony, inaczej osądzał uczucie, które nim owładnęło. W każdej godzinie dnia myślał o Blance, w śnie nawet miły obraz nadobnego dziewczęcia stawał mu przed oczyma duszy.

Paweł kochał całą duszą, lecz nie miał żadnej



nadziei, bo wiedział nadto dobrze, że skape jego dochody nie mogą wystarczyć na utrzymanie żony, a z drugiej strony nie mógł się spodziewać, aby w przyszłości było inaczej.

— Pozostanę jej bratem i nie więcej — pomyślał sobie — a tak będę miał prawo strzedz jej i mówić jej o mojem przywiązaniu.

Tak myślał Paweł Mercier i był przekonany, że nie w świecie nie skłoni go do wyznania miłości. Zresztą, schadзки tych młodych ludzi, nie były tak częste, jak tego sobie życzyć mogli. Pomimo usiłowania Paweł tylko rzadko kiedy znajdował powód do wstąpienia do ogrodu doktora Hornera. To też ucieszył się niezmiernie, gdy go Rodille posłał z poleceniem do Fryderyka Hornera, i zaledwie mógł ukryć pomieszanie.

Rodille, zajęty poszukiwaniami za nieznanymi spadkobiercami barona Viriville, nie wcale nie zauważył. Niegodziwiec miał tylko to jedno na myśli, aby z ogromnego spadku połowę sobie przyswoić, a potem z całym ogromnym majątkiem wyjechać do Londynu, Wiednia albo Florencyi, gdzieby wiodąc pańskie życie, mógł użyć tego, co zgromadził.

— Chcę aby tak było, i tak być musi — rzekł do samego siebie. — Jeżeli są jacy spadkobiercy, to ich poszukam, a jeżeli ich nie ma, to ich wymyślę do dyabła.

Lecz sprawa ta jakoś nie szła i na ogłoszenia w czterech najznakomitszych dziennikach umieszczone nikt nie odpowiedział.

— Człowiek strzela, a pan Bóg kule nosi —



mówi stare przysłowie. Przekonamy się z następnego o prawdzie tych słów.

Pewnego popołudnia (było to we dwa miesiące po ogłoszeniach w gazetach umieszczonych) zatrzymał się przed jednym z domów na ulicy muzealnej kabriolet, w tyle którego malutki groom miejsce zajmował. Ten bogato przyozdobiony, w herby zaopatrzone kabriolet zaprzężony był koniem, którego uprzęż pozłacanymi guzikami gęsto była nabita.

Groom zeskoczył lekko na ziemię i stanął przy koniu. Pan rzucił mu lejce i zszedł także. Rzuciwszy okiem na napisy powyżej bramy umieszczone, wszedł do domu.

Przybysz był niskiego wzrostu, wątłego wejścia, pretensjonalnie ale bez gustu ubrany. Sześć drogocennych rubinów służyło mu za guziki u kamizelki, a z niebieskiego szafiru zrobiona spinka u krawatki przyozdobiona była dużym brylantem. Na jego łańcuszku od zegarka wisiał cały pęk ozdóbek, a na słoniowych rękawiczkach miał cały tuzin kamieniami wysadzanych pierścieni. Wiek tego przybysza nie dał się łatwo oznaczyć. W oddaleniu kilku kroków można było z jego bladej, skąpemi, płowemi włosami okolonej twarzy wnioskować, że to jest jeszcze bardzo młody człowiek, lecz w pobliżu można było na tej twarzy spostrzedz liczne zmarszczki, świadczące o nieporządnem, już dosyć długiem życiu.

Zdawało się, że ten człowiek zachwycony był samym sobą. Z rękami w kieszeniach szedł po wschodach na górę, nucąc jakąś arję z opery.



Rozwarłszy drzwi szeroko, wszedł do pierwszego pokoju kancelaryi Rodillego, gdzie biedni pisarze pracowali. Na widok przybyłego gościa, tak świetnie przybranego zdumieli się biedacy.

Tylko Paweł Mercier pozostał obojętnym wobec człowieka, który wydał mu się nie inaczej, jak figurą z żurnalu mody wyciętą. Mercier zapytał krótko:

— Czego pan sobie życzy?

Tak zagadnięty gość uzbroidł swe oczy w złoto oprawne binokle przypatrzył się mówiącemu z uwagą, a potem rzekł przewlekłe i z lekceważeniem:

— Gdzie jest dyrektor tej kancelaryi?

— Panowie dyrektorowie są we własnym gabinecie.

— A! jest ich dwóch! Czy rychło mogę się z nimi rozmówić?

— Sądzę, że można zaraz, ale wprzód zobaczę.

Paweł oddalił się, ale za chwilę jawił się znowu i przemówił:

— Proszę wejść.

Gość w tej chwili zniknął za drzwiami gabinetu, gdzie Laridon siedział na swem zwykłym miejscu przy biurku zawałonem stosami papierów. Rodille siedział przy innym stoliku, podobnie mnóstwem aktów zarzuconym. Oczy miał przysłonięte zielonym daszkiem, co było jego zwyczajem, gdy przybywał jaki nieznajomy. Mając oczy tym sposobem przysłonięte, mógł każdego badać, nie narażając swej własnej osobistości na podobne niebezpieczeństwo. W chwili, kiedy nieznajomy wszedł,



powstał Rodille z siedzenia, aby go powitać i zdawało się, jakoby używał całej mocy ducha, aby ukryć swe wzruszenie. Teraz jeszcze bardziej nasunął daszek na oczy. Laridon powitał gościa z powagą i pomyślał:

— Do dyabła! Jeżeli te rzeczy na nim są prawdziwe, to urwisz ten musi być bardzo bogaty. Czego on może chcieć?

Rodille nie wyrzekł ani słowa. Milcząc przysunął fotel obcemu człowiekowi i skinieniem ręki poprosił go, aby usiadł. Obcy człowiek nie siadł, lecz oparł się tylko rękoma o poręcz krzesła i przemówił:

— Czy mam zaszczyt mówienia z panami dyrektorami tej kancelaryi?

Słyszac te słowa Rodille zadrżał ponownie, lecz mniej silnie niż przedtem. Gdy Rodille milczał, przemówił Laridon:

— Tak jest mój panie. My jesteśmy szefami tego biura, gotowymi na pańskie usługi.

### VIII.

Gość przemówił:

— Wszedłszy tu, sądziłem, że mam do czynienia tylko z jedną osobą.

— Jest nas dwóch mój panie — odpowiedział Laridon — bo rozległym naszym interesom jeden tylko, pomimo zdolności, w żaden sposób nie mógłby dać rady. Musieliśmy nasze interesa podzielić. Każdy z nas ma swój dział, który załatwia. Jeżeli atoli pan życzy sobie mówić tylko z jednym, to prosimy



powiedzieć, co go do nas sprowadza, a wtenczas dotyczący sam jeden będzie z panem konferował.

— Rozumiem — odpowiedział nieznajomy.

— Jeżeli się rozchodzi o małżeństwo, proces, pożyczkę lub spadek, to prosimy to objawić. Mów pan i bądź pewny, że nikt na świecie lepiej od nas panu nie usłuży.

— Rozchodzi się o małżeństwo.

— Bardzo dobrze — rzekł dawniejszy tandeciarz — to należy do mego pana kolegi. Możemy panu przedstawić dziedziczki znacznych majątków, panny milionowe.

— Dziedziczka już jest, przerwał nieznajomy — i małżeństwo już zawarte.

Laridon powstał z najgłępszym wyrazem na świecie i rzekł chłodno:

— Ależ mój panie! Jeżeli dziedziczka już jest i małżeństwo zostało zawarte, to ciekaw jestem bardzo, co my w takim razie możemy.

— Powiem to temu panu, do którego to należy — odpowiedział nieznajomy — a ponieważ tu chodzi o rzecz bardzo ważną, życzyłbym więc sobie pomówić z nim sam na sam, ale nie w tym pokoju, gdzie pół tuzina młodych ludzi słyszeć nas może.

Na te słowa powstał Rodille i rzekł:

— Będę miał zaszczyt zaprowadzić pana do osobnego gabinetu, który wyłącznie dla spraw małżeńskich urządziliśmy. Tam będziemy sami i ręczę za to, że nas nikt słyszeć nie będzie.

Gdy Rodille tak mówił, Laridon stał jak wryty, bo nie poznawał głosu swego kolegi. Laridon po-



myślał sobie:

— Co on u dyabła mieć może? Ukrył twarz i zmienił głos do niepoznania. To jasne, lecz nie wiem, w jakim celu to robi.

Łatwo było można tak zapytać, lecz nie było łatwo odpowiedzieć. Podczas gdy Laridon daremnie przemyślał nad rozwiązaniem zagadki, Rodille otworzył drzwi i wprowadził gościa do innego gabinetu. Człowiek z kabrioletu rzucił się na fotel, a potem począł oglądać firanki i obrazy na ścianach. Po chwili przemówił:

— Nie źle, wcale nie źle. Bardzo pięknie. Myślałby kto, że się tu znajduję w budoarze jakiej kobiety a nie w biurze agenta do rozmaitych interesów. Jestem zdumiony.

— Ten gabinet ma całkiem odrębne znaczenie. Tu się zdybują ci, którzy w przyszłości mają się stać małżonkami. Dla tego ten gabinet jest tak urządzony. Ale raczy pan darować, mój czas jest policzony. Pozwól mi pan przeto, abym go zapytał, co go do mnie sprowadza.

— Ja także niczego innego sobie nie życzę, lecz zachodzą takie okoliczności, które prostą, krótką drogę poniekąd utrudniają.

— A to dla czego?

— Dla rozmaitych powodów. Zresztą przyszedłem tu i znalazłem wszystko tak, jak mi powiedziano o panu.

— A! mówiono o mnie!

— Tak, lecz nie osobiście o panu, ale o dyrektorze kancelaryi do rozmaitych interesów, na ulicy



muzealnej znajdującej się.

— Czy nie raczy pan objawić, gdzie to o tej skromnej kancelaryi i jej dyrektorze mówiono?

— Prawdziwie, że tego już sobie nie przypominam. Zapewne stało się to w towarzystwie, w gronie dobrych przyjaciół.

— Może pan będzie łaskaw powiedzieć, co mówiono?

— Na honor, mówiono tylko jak najlepsze rzeczy. Mówiono, że pan jesteś człowiek zdolny, energiczny, a oprócz tego...

Gdy nieznajomy utknął w tem miejscu, zapytał Rodille:

— Cóż oprócz tego?

— Mówiono, że pan umie milczeć i wolny jesteś od przesądów, mówił dalej nieznajomy — cóż, czy miano słuszość?

— Tak, mniej więcej. Umiem milczeć jak grób, a co się tyczy przesądów, to zależy od...

— Od czego?

— Od rozmaitych rzeczy.

— Na przykład?

— Na przykład od osoby, z którą mam do czynienia, od rzeczy, o którą idzie, od niebezpieczeństwa, na jakie mogę się narazić, a wreszcie od korzyści, jaka mnie czeka.

— To znaczy krótko mówiąc, że pańskie sumienie umilka, skoro interes milczenie nakaże.

— Robię z przyjemnością uwagę, że pan mnie doskonale zrozumiałeś.

— Ja także widzę z przyjemnością, kogo mam



przed sobą. Tak nasz interes' rychło się załatwi, bo jestem bogaty, wspaniałomyślny i potrzebuję pana.

— Doskonale! Mam nadzieję, że w przyszłości nie nastąpi nic takiego, co by mogło spowodować utratę pańskiego zaufania.

— Nie zupełnie! Zaufam panu ze wszystkiem i zawsze.

— A ja z mojej strony okażę się godnym tego.

Nieznajomy dobył z kieszeni pugilares w rosyjski jucht oprawny, otworzył go i wyjął karty wizytowe i rozmaite papiery.

— Oto jest mój adres.

Rodille przeczytał na karcie: Vicomte Hektor z Coursolles — a nieco niżej: Ulica Koliseum numer dwadzieścia.

Rodille czytał uważnie, i gdyby nie miał daszka na oczach, możnaby było ujrzeć ciekawy uśmiech, który na jego twarzy zaigrał.

— Panie Vicomte! oczekuję z niecierpliwością tego, co mi masz powiedzieć.

Vicomte Coursolles zabrał głos i przystąpi, wprost do rzeczy mówiąc:

— Podróżowałem wiele, bo podróże kształcą młodzież. Dopiero od kilku miesięcy jestem w Paryżu. Już mi się sprzykrzyło kawalerskie życie i postanowiłem się ożenić, gdy atoli obok osobistych zalet posiadam pięć kroć sto tysięcy płynnego majątku, bądź w papierach, bądź w kosztownościach rodzinnych, więc postanowiłem wybrać damę, któraby przynajmniej tyle posiadała co ja.

— Bardzo mądre postanowienie, które tylko po-



chwalić moge.

— Oglądałem się i znalazłem, czego szukałem. Dobra gwiazda wprowadziła mnie w styczność z małą panienką, mającą lat dwadzieścia sześć, córka handlarza zbożem, który przed rokiem umarł. Matka jej już dawno nie żyje. Ta kochania godna istota posiada milion majątku.

— To ostatnie lepsze niż wszystko, panie Vicomte.

— I ja tak sędzę. Konkurowałem do niej i pozyskałem ją mojami zalety. Otóż panienska, która od urodzenia nie inaczej jak tylko Angeliką Grichard nazywała się, chce koniecznie tytułu i dałaby kosza każdemu, ktoby nie był przynajmniej baronem.

— Wielkie szczęście, że pan jesteś Vicomte, bo inaczej nieby nie było z projektowanego małżeństwa! rzekł Rodille z najpoważniejszą miną na świecie.

— Tak, zapewne. To wielkie szczęście dla mnie, i cieszę się niem niewymownie.

Nagle nieznajomy zmienił głos i podał Rodillemu papiery, które wraz z kartami wizytowemi dobył z pugilaresa, mówiąc dalej:

— Niech to pan przegłądnie, proszę pana.

Rodille wziął papiery i czytał uważnie.

— Cóż więc? zapytał nieznajomy.

— To panie Vicomte są niestemplowane i nielegalizowane odpisy pańskiej metryki i świadectwa zgonu pańskiego ojca i matki, którzy przed dwudziestoma kilkoma laty na zamku Coursolles w Pikardyi pomarli.

— Te papiery są w porządku, nieprawdaż?

— Bez wątpienia. Rozchodzi się tu o trzy doku-



menty, każdy po czterdzieści sous, więc razem sześć franków. Jeżeli pan dzisiaj do Pikardyi napisze, to za sześć dni wszystko będzie jak należy, a jeżeli pan sobie życzy, panie Vicomte, abym ja pana wyręczył, to jestem gotów do napisania tamże w tej chwili.

Coursolles spojrział na Rodillego bystro, lecz to nie miało żadnego skutku, bo oczy dyrektora były daszkiem zasłonięte. W końcu przemówił nieznajomy:

— Uprzedzasz pan moje żądania. Jeżeli mi pan za dni parę zwróci te papiery podpisane, zalegalizowane i pieczęciami opatrzone, to dam panu za jego fatygę dwadzieścia tysięcy franków.

— Dwadzieścia tysięcy franków, powtórzył Rodille.

— Gotówką wyliczę je panu. Widzisz pan że lubię sumy okrągłe. Czy zgoda?

— Zachodzą jeszcze niejaki drobnotki, panie Vicomte.

— Czy upatrujesz pan jakie trudności?

— Jest jedna i wcale nie mała.

— Jakaż to trudność?

— Pańska ofiara jest niedzna. Pańskie małżeństwo przyniesie panu milion, a ofiarujesz mi tylko dwadzieścia tysięcy. Gdy bezemnie tego małżeństwa zawrzeć nie możesz, więc pomyśl panie Vicomte, że podobne wynagrodzenie tylko śmiechu warte.

— Myślałem przecież...

— Źle pan myślałeś, przerwał mu Rodille sucho.

— Więc postaw pan sam cenę, lecz nie nadto wygórowaną, bo w takim razie musiałbym się udać



do kogo innego. Łatwo można znaleźć w Paryżu ludzi dobrej woli i uzdolnionych.

— Jak się panu podoba.

— Więc mów pan a zobacze.

— Dasz mi pan pięć procent od spodziewanego posagu.

— Pięćdziesiąt tysięcy franków! krzyknął Cour-solles.

— Nie mniej, nie więcej.

— Pan jesteś szalony.

— Możesz pan przyjąć albo nie. Tymczasem muszę pana poprosić, abyś się rychło decydował, bo nagle sprawa powołuje mnie do odległej części miasta i muszę pana pożegnać.

Rodille powstał. Nieznajomy myślał jeszcze chwilę, a potem rzekł:

— Pan mi przykładasz pistolet do piersi, lecz potrzebuję pana, a zatem niech będzie.

— Tak, to mi się podoba.

— Czy chce pan zadatku?

— Wcale niepotrzebny. Ufam panu najzupełniej, a zresztą, gdybym panu nie dowierzał i był zdania, że mnie oszukasz, tobyś sam tego żałował. Jeszcze nikt nie uszedł bezkarnie, kto mnie oszukał.

— Kiedyż otrzymam papiery?

— Za cztery dni.

— Czy tu, czy u mnie w domu?

— Zastosuję się do jego własnej woli w tym względzie.

— Więc niech to będzie u mnie. Dziś jest poniedziałek. Zatem oczekuję pana w niedzielę wieczór.



— Dobrze! Będę u pana wieczorem w niedzielę.

— Czekam pana.

— Gdy dziesiąta uderzy, zadzwonię.

— A wtenczas papiery już będą w porządku.

— Co do tego, może pan Vicomte być zupełnie spokojny. Najsurowszy badacz nie będzie ich podejrywał. A potem, nie kupuje pan przecie kota w worku. Nie zapłacisz pan pierwej, dopóki papierów nie oglądniesz.

Na tem skończyła się pogadanka. Rodille otworzył drzwi i przemówił:

— Nie potrzeba panie Vicomte, abyś się trudził przez kancelaryę. Tędy jest drugi wychód. Racz pan za mną postąpić.

Rzekłszy to, Rodille wyprowadził gościa z gabinetu, a potem pożegnał niskim ukłonem mówiąc:

— Do widzenia w niedzielę wieczór, panie Vicomte.

Zaledwie wszedł do gabinetu, zrzucił czarny frak, przywdział surdut brunatnej barwy i zamienił daszek na czapkę. Tak przebrany pospieszył wschodami na dół jak strzała i zdążył na ulicę w chwili, kiedy Coursolles siedząc w kabryolecie, odebrał lejce z rąk grooma. Koń pokłusował rażno, a Rodille biegł z tyłu. Po kilku minutach Rodille ustął w biegu, tak bardzo był zadyszany. Na szczęście spostrzegł fiakra. Wskoczył do wozu i krzyknął na woźnicę:

— Czy widzisz ten kabryolet jadący przed nami? Dziesięć franków, jeżeli w ślad za nim pojedziesz.

— To się da zrobić obywatelu.

Koń batem ściągnięty pospieszył, co mu sił



stało. Kabriolet podążył na Champs Elisée, wjechał potem w ulicę Koliseum i zatrzymał się przed niewielkim hotelem, którego brama numerem dwadzieścia była oznaczona. Bilet Vicomtego podawał należyty adres i to było właśnie, co Rodille chciał wiedzieć.

— Czy mam zaczekać obywatelu? zapytał woźnica.

— Nie potrzeba.

— Czy mnie pan jeszcze potrzebuje?

— Nie. Oto są dziesięć franków.

— Stokrotne dzięki obywatelu. Za takie pieniądze pogoniłbym za samym dyablem. Wio kary!

Naprzeciwko hotelu znajdowała się winiarnia, gdzie woźnicy i parobcy znakomitych domów objadować zwykli. Rodille wszedł, usiadł tuż przy oknie i kazał sobie jednemu słudze, jaki tu był, podać kawy i rumu.

— Nie lubię sam pić — rzekł tonem żartobliwym — czy nie miałbyś ochoty napić się ze mną?

— Czy na pański rachunek?

— Rozumie się.

Chłopak nie dał sobie tego dwa razy powiedzieć, lecz siadł obok Rodillego, który też zaraz rozpoczął gawędkę i dowiedział się, że Vicomte Coursolles już od sześciu miesięcy pod numerem dwudziestym zamieszkał, że ma być bardzo bogaty, lecz mało towarzystwa przyjmuje, że wreszcie służba jego składa się z kucharki, kamerdynera i grooma.

— To ma być bardzo dobry pan, jak powiada Lorrain, kamerdynier, który do mnie przychodzi, gdy pana w domu nie ma, poczem gramy w karty



lub domino.

Rodille zapłacił i poszedł. Rzuciwszy okiem na hotel, mruzczał pod nosem:

— Do dyabła! To nie lada szczęście. Polowałem na niego czas długi i już nie miałem żadnej nadziei, aż wreszcie znalazłem go przecież. Nie ujdiesz mojej zemsty przekłety Wicherku!

Czytelnicy przypomną sobie zapewne człowieka, którego Rodille miał na myśli. Rzeczywiście Hektor Coursolles nie był nikim innym, jeno owym bandytą, który z piwnicy Rodillego w domu pod Neuilly wykradł skarb złota i drogich kamieni. Posiadłszy tak wielki majątek, Wicherek czempredziej wyniósł się z Paryża, a to z obawy przed czujną policją. Młodemu zbrodniarzowi nie zbywało ani na rozumie ani na talencie, a tak skazał się dobrowolnie na używanie dostatków w cichości i spokoju. W Belgii czuł się zupełnie bezpiecznym, bo tam ojciec Legrip nie mógł go ani skarżyć, ani żądać wydania. Tam postępował sobie wcale roztropnie i spieniężył swój skarb bez znacznej straty, bo miał do czynienia z poczciwymi, rzetelnymi ludźmi. Po załatwieniu tego interesu ujrzał się panem dwiestu tysięcy franków. Upojony radością chciał odegrać rolę wielkiego pana, trzymał konie i metresy i przeszastał w ciągu roku połowę majątku.

Młody człowiek przeląkł się szybkości, z jaką pieniądze rozchodziły się. Myśl, że będzie musiał na nowo rozpocząć dawniejsze życie, pełne nędzy, zbrodni i niebezpieczeństwa, przejęła go zgrozą.

— Tak nie mogę żyć dłużej — rzekł do samego



siebie — jeszcze jestem dosyć bogatym i muszę nim pozostać, bo inaczej musiałbym sobie w łeb palnąć. Innej drogi nie ma.

Opuścił Bruxellę i udał się do miast niemieckich, gdzie pobudowano świątynie bożkowi gier, gdzie tyle znajduje się czcicieli gier zwanych trente et quarante i rouge et noir. Kto inny byłby swe kapitały do kilku dni utracił, u Wicherka atoli było inaczej. Był on widocznie ulubieńcem losu i zarówno służył mu król pikowy jak i dama kierowa.

Młodemu francuzowi takie szczęście służyło, że w krótkim czasie stał się postrachem bank dających. Jakkolwiek żył rozrzutnie, tak przecież nie mógł się zrujnować, owszem majątek jego rósł pomimo ogromnych wydatków i pewnego pięknego poranku ujrzał się w posiadaniu pięciuset tysięcy franków. Zarazem utracił chęć do dalszej gry i postanowił żyć w spokoju we własnej ojczyźnie. Chciał powrócić do Paryża, gdzie młody swój wiek przepędził, ale chciał powrócić jako bogacz i Vicomte.

Ileż to już czasu upłynęło!

Dobry ojezulek Legrip, już dawniej starcem będąc, w przeciagu lat dwunastu zapewne umarł i były złodziej mógł żyć bez obawy. A któżby wreszcie pod świetnem nazwiskiem Vicomtego Coursoles domyślał się pospolitego złodzieja, Wicherkiem zwanego!? Nikt go poznać nie mógł, nikt na świecie!

## IX.

Przekonany o prawdziwości swego mniemania, Wicherok wyrobił sobie paszport na nowe nazwisko



i pojechał do Paryża. Tam kupił sobie wspomniany hotel, urządził go po pańsku i myślał o pojęciu za żonę jakiej bogatej dziedziczki, aby móżdż ludzioro do reszty oczu zamydlić. Wiemy, że potrafił ująć sobie córke bogatego handlarza zbożem, która koniecznie świetny tytuł mieć pragnęła. Tam okoliczność oddała go rękoro Rodillego, w którym ani się domyślał ojca Legripa. Rodille przeciwnie poznał go na pierwszy rzut oka pomimo pańskiego ubrania.

Biedny ten Wicherek zaiste.

W chwili, kiedy mu się zdawało, że zdążył do celu swych usiłowań, szczęśliwa gwiazda opuściła go i groźne niebezpieczeństwa zagroziły mu nieuniknionym upadkiem.

Rodille użył resztę dnia do kucia planu i gdy wieczór się zbliżył, już całą rzecz należycie obmyślił. Plan był dobry i musiał niewątpliwie pożądany skutek sprowadzić. Rodille jeszcze raz w życiu wziął się do odegrania roli w straszliwym dramacie z całą swą energią i zręcznością.

Drugiego dnia udał się towarzysz Laridona na ulicę Koliseum. Tą razą przebrał się, jak to dawniej zwykł był czynić, w liberyę służącego z dobrego domu. Angielskie bokobrody otoczyły jego twarz bardziej niż zaczerwienioną. Na głowie miał czapkę ze złotym galonem. Spodnie były barwy orzechowej podobnie jak kamasze. Na czerwoną kamizelkę naciągnął zielony surdut a pod szyją zawiązał w duży guz białą krawatę. Tak przebrany udał się do restauracyi naprzeciwnko hotelu, i usiadł przy tym samym



stoliku, gdzie dnia wczorajszego z kelnerem kawę popijał.

Przywoławszy kelnera kazał przynieść kawę i gazety.

Rodille czytał na pozór z wielkiem zajęciem, lecz nie spuszczał z oczu hotelu. Po upływie ćwierci godziny służący przy pomocy grooma wytoczył z wozowni kabriolet i zaprzął konia. Rychło pojawił się Wicherek w przecudownej toalecie, wskoczył do kabrioletu, chwycił lejce i pojechał w kierunku do Champs Elisée. Służący natychmiast zamknął bramę, schował klucz do kieszeni i wedle codziennego zwyczaju udał się do naprzeciwległej restauracji. Kelner powitał go z radością i okazywał wszelkie uszanowanie dla gościa.

— A! dzień dobry panie Lorrain! Dlaczego dzisiaj tak późno?

— Pan Vicomte potrzebywał mnie.

— Lecz teraz jesteś pan już wolny?

— Na cały dzień, bo nasz pan nie będzie jadł w domu objadu.

— Więc pan Lorrain będzie u nas na obiedzie?

— Oczywiście.

— To mi się doskonale zdarzyło! pomyślał Rodille.

— Czem mogę służyć w tej chwili?

— Podaj mi fajkę i fijkę wina.

— Proszę! Czy nie zagra pan w domino?

— I owszem, lecz nie podoba mi się kochanku.

Postawiono kamienie na stole i gra się rozpoczęła. W tem z przyległego pokoju ozwał się gruby głos:



— Naprzód Prosper! Do roboty leniuchu! Masz napelnić flaszki winem, idźże do piwnicy i rób co do ciebie należy, a spiesz się!

— Pan idzie! mruknął niezadowolony kelner. W tej chwili stanął na progu pokoju gruby mężczyzna przewiązany fartuchem, z mycką na głowie. Był to sam właściciel restauracyi i kucharz zarazem.

— Do dyabła ojcie Gibelotto! — rzekł z uśmiechem służący. — Przychodzisz pan wcale nie w porę i zabierasz mi Prospera, z którym chciałem zrobić partyjkę w domino.

— Bardzo mi przykro panie Lorrain — odpowiedział grubas — lecz interes przedewszystkiem i wino nie polezie samo do flaszek.

— Teraz jest sposobna chwila — pomyślał Rodille.

— Powstawszy z miejsca, zbliżył się do kamerdynera Wicherka i rzekł uprzejmie:

— Ja nie jestem całkiem nieświadomy tej gry, więc jeżeli pan pozwoli, to chętnie zagram partyjkę.

— Bardzo mi będzie przyjemnie kolego. Niech pan wybiera!

Gracze zaczęli. Stało się, że Rodille grał o czarną kawę a Lorrain o kieliszek likieru. Rodille przegrał, zażądał rewanżu i przegrał znowu. Tym sposobem kamerdyner ani się spostrzegł, jak wypróżnił około dziesięciu kieliszków.

— Kolega pozwoli — rzekł Rodille — że zagramy jeszcze jedną partyę o objad. Pan jest dzisiaj wolny, a ja także nie mam nic do czynienia, więc z przyjemnością spędzę z panem czas na wspólnym objedzie.

— Bardzo chętnie, lecz pan nie ma szczęścia i



zjem objad, który pan zapłaci.

— Zaraz zobaczymy, czy tak będzie.

Fortuna zawiodła Rodillego także i tym razem.

— Powiedziałem to panu z góry, krzyknął Lorrain — nie masz pan szczęścia i ostatnie spodnie mógłbyś dziś przegrać.

Rodille sięgnął do kieszeni i wyciągnął całą garść złotych i banknotów.

— O cóż tu chodzi? Widzisz pan przecież, że dziś jestem przy pieniądzach, a zresztą, to jest rzeczą wcale obojętną, kto płaci, jeżeli tylko dobrze zjeść możemy.

Rzekłszy to, stuknął kilkakrotnie o stół, a gdy gospodarz się zjawił, zapytał go, czy nie ma osobnego gabinetu.

— Mam panie! Obok sali znajduje się osobny gabinecik.

— Dobrze! Zjemy tam objad. Niech nam pan każe przygotować jak najlepszy. Zapłacę, co się będzie należało, a po wino zejdź pan sam do piwnicy i daj nam jak najlepszego.

— Do diabła kolego — rzekł Lorrain zdziwiony — pan to dobrze rozumiesz. Musisz mieć miejsce nielada i dobrze ci płacą.

— Nie skarzę się. Miejsce mam rzeczywiście dobre.

— Ileż ci płacą?

— Tego nie wiem.

— Jakto, tego nie wiesz?

— Mój Boże! Jakżebym mógł wiedzieć? Mój pan jest bardzo bogaty i wspaniałomyślny, daje mi



pieniądze nie rachując wcale.

— Winszuję ci kolego. Czy nie byłoby rzeczą możliwą, abys mi się wystarał o miejsce u twego pana?

— Dlaczego nie!

— Z pewnością?

— Daję ci słowo. Pomówimy sobie przy stole. Bardzo mi się podobał kolego.

Za godzinę potem siedzieli Rodille i kamerdyner Wicherka w osobnym pokoiku, gdzie dla nich nakryto. Na stole gorzały cztery świece, czego dotąd nigdy nie było. Kucharz prześcignął samego siebie. Dano wyborną pieczeń, kureczkę à la Marengo, bażanta, sałatę i rozmaite jarzyny. Wszystkiego było podostatkiem, a wina odznaczały się obfitością i dobrocią.

— Czy pański zwyczajny objad także jest taki, jak ten? zapytał Lorrain z uśmiechem.

— Nasza kuchnia jest o wiele lepsza — odpowiedział Rodille z pozorną pańską niedbałością.

— Nie może być!

— Jest tak, jak mówię.

— Ha! być może.

— Nie mówiłbym, gdyby tak nie było.

— Wierzę panu i odwołuję moją uwagę. Niech mi się pan postara o miejsce.

— Dlaczego panu tak spieszo? Czy jesteś bez miejsca?

— To nie.

— Więc masz złego pana i chcesz go porzucić.

— I to nie. Mówilem panu, że go mam za dobrego, lecz słysząc co mi powiedziałeś, nabyłem



przekonania, że są inni daleko lepsi od niego.

- Jakimże jest twój pan, kolego?
- Mój pan jest bardzo bogaty.
- Czy pochodzi z porządnej rodziny?
- Zapewne, jest przecież Vicomte.
- A jak się nazywa?
- Nazywa się Hektor z Coursolles.

Twarz Rodillego wyraziła w tej chwili jak największe zdziwienie. Rodille opuścił szklanke, którą trzymał w ręku i wino rozlało się po stole.

Lorrain krzyknął:

- Co panu takiego?
- Powtórz mi kolego, coś dopiero powiedział. Jakie jest nazwisko twego pana?
- Vicomte Hektor z Coursolles.
- Więc słyszałem dobrze. Zaiste to bardzo dziwny przypadek.

## X.

- Dziwny przypadek? — zapytał Lorrain.
- Nieinaczej.
- A to dlaczego?
- Możesz się mieć za szczęśliwego, kochany panie kolego, bo posiadasz prawdziwy talizman.
- Kto? Ja?
- Tak jest. Pan należysz do ludzi, którym szczęście służy.
- Bądź pan łaskaw mówić wyraźniej, bo od pięciu minut ani słowa nie rozumiem z tego, co mówisz.
- Chciej pan słuchać uważnie.



— Z ochotą poświęcę ci uszy kochany panie kolego.

— Wiesz pan zatem, że pierwszą moją myślą było, udać się zaraz po objedzie do pana Vicomte z Coursolles.

— Czy chciałeś z nim mówić?

— Z nim? Ani słowa.

— A z kimże?

— Z panem.

— Pan żartujesz.

— Mam polecenie udzielić panu ważnych wiadomości i postawić wniosek, od którego pańskie szczęście zależy.

— Moje szczęście? Przyjmuję wniosek bezwarunkowo, bo jeszcze nigdy przeciw własnemu interesowi nie działałem. Więć o cóż chodzi?

— Zaraz się pan o tem dowiesz, lecz pozwól, abym ci wprzód zadał kilka pytań.

— Z ochotą będę panu odpowiadał.

— Jak długo służysz pan u Vicomtego?

— Służę, odkąd z podróży powrócił i ten dom zamieszkał, więc sześć miesięcy.

— Kto pana do niego sprowadził?

— Nikt. Ja sam przedstawiłem mu się. Mam dobre świadectwa i przyjął mnie natychmiast.

— Ileż panu płaci?

— Sześćset franków.

— To bardzo mało?

— Co robić? Bierze się, ile można.

— Cóż oprócz płacy dostajesz?

— Bardzo mało i nie mam żadnych bocznych



dochodów, bo pan sam wszystko kupuje.

— Masz pan słusznie, gdy tego miejsca nie uważasz za najlepsze. Czy Vicomte dobrze się z panem obchodzi, czy ma zaufanie do pana?

— Najzupełniejsze. Vicomte jest dobrym człowiekiem i służba u niego jest wcale przyjemna.

— Lecz to wcale nie przeszkadza, abys go mógł z ochotą porzucić.

— Natychmiast, skorobym tylko lepsze miejsce mógł dostać.

— To wystarcza, a teraz słuchaj mnie pan. Czy masz na prowincyi jakich krewnych?

— Mam ciotkę, która mieszka w Pontoise.

— Pańska ciotka jest bardzo chora.

— Kto? Moja ciotka Grelu?

— Ta sama. Biedna kobieta może lada chwila pożegna się z tym światem.

— Mocny Boże! I nie mi o tem nie pisała!

— I owszem, napisała i zawiadomiła cię, że sobie życzy, abys zamknął jej oczy i odebrał jej spadek, jaki pozostawia. List dostaniesz tej godziny.

Lorrain zdziwił się, spojrzął na Rodillego i rzekł:

— Jeden z nas stracił głowę, lecz kto? Czy pan czy ja?

— Mój kochany panie kolego! — odpowiedział z uśmiechem Rodille. — Ten list jest dla pana zagadką, lecz dla twego pana prawdą rzeczywistą. Posłuchaj pan mojej rady. Jeżeli twój pan dziś wieczorem do domu powróci, to powiedz mu ze łzami w oczach, że twoja jedyna krewna leży na śmiertelnej pościeli. Błagaj go, aby cię uwolnił na dni ośm.



— Ależ on nie może się obejść bez kamerdynera i niezawodnie prośbie odmówi.

— Musisz mu pan na ten czas dać zastępcę, za którego ręczyć możesz.

— Zastępcę? Zkądże go wezmę do dyabła?

— Jestem gotów panu usłużyć.

Lorrain uderzył się ręką po czole, wypróżnił szklankę i roześmiał się na całe gardło.

— A! teraz rozumiem wszystko. Pan sobie ze mnie żartujesz, a ja jestem zanadto dobry człowiek, abym się mógł za to pogniewać. Możesz pan dalej jechać, jeżeli ci się to podoba.

— Daję panu najuroczystsze słowo honoru, że mówię seryo.

— Więc chciałbyś pójść do mego pana?

— Tak jest.

— Ależ to niepodobne do prawdy!

— Dlaczego?

— Naprzód dlatego, że nie znam pana wcale i nie mógłbym ręczyć.

— Więc mnie pan podejrzewasz?

— W tak ciekawych okolicznościach nie mogłoby być inaczej.

— W każdym razie byłoby to bardzo śmieszne, bo wiesz dopiero, czego żądam, a nie wiesz wcale, co ci za to mogę ofiarować.

— Mów pan, a zobaczymy.

Rodille dobył z kieszeni pięciu banknotów po tysiąc franków, rozłożył je na stole i rzekł:

— Najprzód daję panu pięć tysięcy franków, a potem, gdy od Grelu powrócisz, zobowiązuję się



do wyjednania ci miejsca u mego pana i to pod temi samemi warunkami, pod któremi ja sam u niego zostaje. Czy pan jeszcze nie dowierzasz?

— Mniej niż przedtem. Czy te pieniądze nie są fałszywe?

— Idź pan z niemi do wekslarza a przekonasz się.

— Czy jesteś pewny, że mnie twój pan przyjmie?

— Jestem jego factotum i wszystko odemnie zależy. Czy zgoda?

— Posłuchaj mnie pan. Ja jestem poczciwym człowiekiem i nie chciałbym memu panu wyrządzić przykrości. Wytłumacz mi pan, jaki możesz mieć w tem interes, że na cały tydzień chcesz mnie zastąpić. Jeżeli rzecz nie wyda mi się szkodliwą, to w takim razie uczynię, czego sobie życzysz.

— To jest tajemnica mego pana.

— Tak. To twój pan dał ci takie polecenie?

— No, tak jest. Czy możesz przypuścić, abym na żarty pięć tysięcy franków za okno chciał wyrzucić?

— Im dłużej o tem myślę, tem mniej mi się to wszystko podoba.

— A gdy panu powiem, co wiem, czy będziesz milczał?

— Jak grób.

— Przysięgnij mi pan!

— Przysięgam ci na zbawienie duszy mojej ciotki Grelu!

— Czy pan wiesz, że Vicomte się żeni?

— Wiem o tem.

— Lecz nie wiesz, że mój pan w jego narze-



czonej po uszy zakochany.

— Dla Boga! Co słyszę!?

— Czy to pana zadziwia?

— Niezmiernie! Codziennie noszę tej panience bukiety i przekonałem się, że jest brzydka jak grzech śmiertelny.

— O coś podobnego nie można się spierać. Są gusty i guściki.

— Ma włosy rude jak żydówka.

— Właśnie to podoba się memu panu.

— A potem patrzy jednym okiem w prawo, a drugim w lewo.

— Mój pan powiada, że to jej przydaje szczególniejszego uroku. Jednym słowem, mój pan ubóstwia pannę Grinchard. Widzi pan, że wiem nawet jej nazwisko. Mój pan liczy na moją zręczność i obecność w domu Vicomtego. Mojem zadaniem jest sprowadzić małe nieporozumienia i spowodować pewne wypadki, któreby ślub Vicomtego z tą panią uniemożliwiły a przynajmniej odwlokły. Oto jest najczystsza prawda. Czy jesteś pan teraz zadowolony?

— Teraz najzupełniej. W gruncie rzeczy tylko zażartuję sobie z mego pana, bo cóż mi na tem zależeć może, ażali się ożeni lub zostanie starym kawalerem. Widząc, że tu idzie o sprawy miłosne, a nie o rzecz niebezpieczną, byłbym osłem, gdybym własne szczęście chciał podeptać nogami. Zgadzam się zatem i możesz pan na mnie liczyć.

— Byłbyś pan łotrem, gdybyś mnie zawiódł. Te pięć tysięcy franków są jego własnością.



— Przyjdź pan tu jutro o godzinie dziesiątej rano. Przedstawię go memu panu i będziesz mógł robić swoje.

Gdy tak wszystko ułożone zostało, Rodille i Lorrain jedli dalej i pili. Ostatni upojony radością podchmielił sobie na dobre.

## XII.

Wszystko nastąpiło tak, jak Rodille obliczył. Lorrain bez trudności uzyskał ośmiodniowy urlop i przedstawił Vicomtemu Rodillego jako swego tymczasowego zastępcę. Wypełniwszy tak wszystkie punkta układu, Lorrain udał się w drogę do Pontoise.

— Teraz stoję naprzeciwko mego wroga — rzekł Rodille drżąc z radości — i nie może mego przedsięwzięcia uniemożliwić.

Rodille zatarł ręce i dyabelski uśmiech przemknął po jego twarzy. Około godziny drugiej tegoż dnia zaprzągnął Rodille przy pomocy grooma konia do kabrioletu. Wiecherek opuścił hotel, rzekłszy swemu nowemu słudze, że przed dziesiątą nie wróci. Kucharka, która podobnie Rodillemu na resztę dnia wolna była od obowiązków, wyszła czempredzej z domu.

Rodille pozostał sam jeden w domu byłego kolegi panów Miodziusia i towarzyszków. Salon i sypialnia były zamknięte. Rodille miał przy sobie rozmaite przyrządy, których dawniej używał i z łatwością drzwi otworzył. Przeszukał wszędzie, lecz nie znalazł ani pieniędzy ani klejnotów. Dopiero w



garderobie odkrył ciężką, żelazną skrzynię hermetycznie zamkniętą.

— Aha! Tutaj psa pochowano! Tu pan Vicomte ukrył swoje a raczej moje własne pieniądze.

Rodille chciał się natychmiast wzięść do roboty, lecz nagle wstrzymał się i rzekł do samego siebie:

— Wicherek sam był złodziejem, musiał się przeto obawiać aby go nie okradziono i niezawodnie użył wszelkich możliwych środków celem zabezpieczenia swej kasy. Nie podlega wątpliwości, że ta skrzynia jest zarazem łapką na złodzieja i strzał z pistoletu po jej otwarciu mógłby odpowiedzieć na źle zastosowaną ciekawość. Potrzeba być ostrożnym, aby się nie narazić.

Domniemywania nie omyliły opryszka i ocaliły go od niechybnej zguby. Wicherek urządził skrzynię tak, że ktokolwiekby się dotknął zamku bez poprzedniego dotknięcia się pewnych punktów, naraziłby się na wystrzały ukrytych pistoletów. Po tem urządzeniu sądził Wicherek, że może bez obawy złożyć w skrzyni kosztowności i papiery.

Rodille udał się, oglądając skrzynię, na przedmieście Św. Antoniego, gdzie było mnóstwo sklepów z żelaziwem rozmaitego rodzaju. Właściciele tych sklepów zajmowali się skupywaniem starych, zużytych wozów, rozbieraniem tychże na części i sprzedawaniem żelaznego okucia. Tam kupił za sto talarów jakąś starą landarę, która od biedy jeszcze kilka dni mogła się tłuc po bruku. Handlarz koźmi sprzedał mu nędzną, kulawą i ślepą kobyłę, a ry-marz zaopatrzył go w uprzęż z tysiąca kawałków



złożoną. Potem najął Rodille na jedną dobę stajnię, gdzie chwilowo landarę i konia pomieścił. Załatwwszy się z tem, udał się do swej kancelaryi na ulicy muzealnej i zapytał o Laridona. Pisarze nie poznawszy własnego szefa wskazali mu drzwi do gabinetu prowadzące.

Tandeciarz już od dwóch dni nie widział swego towarzysza i niepokoił się. I on także nie poznał wchodzącego człowieka i zapytał czego żąda. Rodille ubawiwszy się niewiadomością swego towarzysza, dał się wreszcie poznać. Laridon nie mógł się dość nadziwić.

— Potrzebuję ciebie — przemówił Rodille — bo chcę łapać dłużników.

— Dlaczegoż się nie udasz w tym względzie do sądu handlowego?

— Wolę sam zająć się tą czynnością.

— Prawdopodobnie dlatego, aby kosztów oszczędzić.

— Ta razą nie strzeliłeś kulą w plot.

— Cóż mam robić?

— Będiesz woźnicą.

— Ja woźnicą? krzyknął Laridon. — Ależ ja nigdy w życiu nie miałem bieza w rękę!

— To bagatela. Dam ci potulnego konia i łatwo dasz sobie z nim radę.

— Nie mogę przecież w czarnym fraku i białej krawacie zasiąść na koziołku.

— Znajdziesz we wozie bluzę i czapkę.

— Wielki Boże! Co będzie, jeżeli który z naszych klientów mnie pozna?



— Nikt cię nie pozna, bo pojedziemy w nocey.

— Czy dziś jeszcze?

— Nie, dopiero jutro. Do jutra więc nie wychodź z kancelaryi. Jeżeli sam nie będę mógł tu przyjść, to napiszę, co masz czynić, a ty nie omieszkaś zastosować się do tego.

— Zrobię co każesz, ale powiadam ci, że się nie mogę pogodzić z myślą zostania woźnicą.

Rodille opuścił dom. Wicherek powróciwszy do domu o godzinie dziesiątej, znalazł go na miejscu.

— Jesteś punktualny, rzekł Wicherek do Rodillego — to mi się podoba. Jestem z ciebie zadowolony. Czy Lorrain obznajomił cię z mojami zwyczajami?

— Bardzo mało panie Vicomte. Nie było czasu na tyle. Lorrain polegał w tym względzie na mojej zręczności i gorliwości w pełnieniu obowiązków.

— Powiem ci, co masz wiedzieć. Rozbierz mnie teraz.

Gdy to się stało, położył się urwisz do łóżka i rzekł:

— W jadalni na kredensie stoi srebrna taca, szklanka i butelka wina. Nalej szklankę i podaj mi. Tak ma być codziennie.

Rodille uczynił, co mu rozkazano. Po dwu minutach przyszedł trzymając w ręku szklankę po sam wierzch wonnym napojem napelnioną. Na stoliku przy łożu Wicherka leżały dwa ostro nabite pistolety.

— Zdaje się — pomyślał Rodille — że kochany Wicherek bardzo jest ostrożny, lecz to mu nie zu-



pełnie nie pomoże.

Wicherek wziął szklanę do ręki i wypróżnił duszkiem.

— Czy pan Vicomte jeszcze potrzebuje czego?

— Dziś nie potrzebuję nic więcej. Czy masz twardy sen?

— Weale nie. Lecząca mucha może mnie obudzić.

— Bardzo dobrze. Gdybym cię potrzebował, to zadzwonię.

Zaledwie Rodille wyszedł z pokoju, Wicherek wstał z łóżka, zbliżył się ku drzwiom i zamknął je na dwa spusty. Słyszac to Rodille tylko ramionami wzruszył.

Nazajutrz rano około godziny dziewiętej dał się słyszeć dzwonek. Rodille pospieszył do sypialni, aby załatwić, co było potrzeba. Podczas śniadania prosił towarzysz Lorraina o dalsze rozkazy.

— Wychodzę na dwie godziny — była odpowiedź.

— Czy pan Vicomte będzie jadł objad w domu?

Wicherek pomyślawszy chwilę odpowiedział przecząco.

— Wszystko idzie jak z płatka — pomyślał Rodille — nie może być lepiej.

Około godziny siódmej wieczorem Rodille najął dorożkę i pojechał na ulicę muzealną, gdzie go Laridon oczekiwał.

Rodille wziął go do wozowni, którą był najął, zaprzął kobylę do wozu i zaświecił latarnię. Laridon tymczasem przebrał się w bluzę, nałożył na głowę woźniczą czapkę i drząc zajął miejsce na koziółku.



— Jeszcze nigdy nie poganiałem konia, rzekł trwożliwie — koń pójdzie, dokąd będzie miał ochotę, bo z pewnością nie będę mógł nim pokierować.

Rodille ulitował się nad biednym towarzyszem, przysiadł się doń na koziółku, wziął lejce do ręki i zaciął biczem. W pół godziny ciekawy ten ekwipaż wjechał w ulicę Koliseum. Tu zatrzymano się. Rodille zszedł z wozu i rzekł do towarzysza:

— Na razie nie masz nic do czynienia i spij, jeśli ci się tak podoba. To jedyne moje polecenie, które zapewne mocy twego ducha nie przechodzi.

— A jeśli koń ucieknie?

— Nie ma obawy. Drewnianemu koniowi mniejby można dowierzać. To zwierzę nie życzyłoby sobie niczego bardziej, jak aby mogło stać do śmierci. Pociesz się mój kochanku i czekaj, zanim nie przybędę.

Laridon tylko westchnął, lecz nie rzekł ani słowa. Rodille tymczasem udał się do hotelu Vicomtego Coursolles.

Wicherek powrócił znowu o godzinie dziesiątej. Żaden człowiek nie miał regularniejszego podziału godzin. Rozebrał się, położył i wypił szklankę wina. Zanim Rodille podał swemu władcy zwykły napitek, nieomieszkał nalać do szklanki odrobiny bezbarwnego płynu.

Wicherek wychyliwszy szklankę duszkiem, skrzywił się nieco, poczem rzekł:

— Zejdź jutro do piwnicy i przynieś inną flaszkę, bo to wino już cokolwiek zgorzkniało.

— Będę o tem pamiętał. Czy pan Vicomte ma jeszcze co do rozkazania?



— Nic.

— Więc mam zaszczyt życzyć dobrej nocy.

W jadalni zatrzymał się Rodille pół godziny. Potem dobył z pugilaesu starannie zapieczętowany bilet i położył go na srebrnej tacy. Adres wyraźnym, widocznie udanem pismem oznaczony brzmiał jak następuje:

— Do pana Vicomtego Coursolles w jego własnym hotelu. Bardzo pilno.

Wziąwszy tacę do ręki, udał się do sypialni i zapukał. Wicherek na poły już śpiący przestraszył się słysząc pukanie.

— Kto tam? krzyknął drżącym głosem.

— To ja, kamerdyner.

— Czy jesteś sam?

— Sam jeden.

Wicherek uspokoił się. Przestрах jego taką drobnostką wywołany, był bezpodstawny.

— Przepraszam najmocniej — rzekł Rodille otworzywszy drzwi — że panu Vicomtemu przeszkadzam, lecz oddano mi ten list jako bardzo ważny i pilny. Raczy pan wybaczyć mojej gorliwości.

— Zkądże ten list?

— Człowiek, który go przyniósł był ubrany jak lokaj, lecz gdy było ciemno mogłem się pomylić.

Wicherek wziął bilet a Rodille usunął się skromnie do przyległego pokoju.

Zanim Wicherek list otworzył, przypatrzył mu się wpierw uważnie i rzekł do samego siebie:

— Tego pisma nie znam wcale. Kto do dyabła może mieć do mnie tak nagły interes?



Zaledwie otworzył list i przeczytał kilka wierszy na ordynarnym papierze napisanych, stanął jak wryty i w oczach mu się ściemniło. Nie mogąc się utrzymać na nogach padł na fotel i wydał głuchy jęk. Nigdy jeszcze żaden przestrah nie był bardziej usprawiedliwiony jak tym razem, bo treść biletu, który Wicherrek odczytał była następująca:

— Dawny przyjaciel Wicherka uwiadamia Vi-comtego Hektora z Coursolles, że ojciec Legrip nie umarł, ale jest na czatach. Policya zawiadomiona o wszystkim i jutro z brzaskiem dnia otoczy hotel na ulicy muzealnej. Bacznemu życzę szczęścia i zbawienia.

Prawdziwe nazwisko Wicherka dwa razy było grubo podkreślone.

Przez kilka chwil przestraszony ani się ruszył. Odurzony jak człowiek rażony maczugą w głowę stracił chwilowo przytomność, lecz w krótkce opamiętał się i rzekł:

— A to głupiec ze mnie! Głowa mi się zawróciła. To nie może być prawdą i podległem tylko sennemu złudzeniu.

W tej chwili atoli wzrok jego padł na nie-szczęśny bilet, który jeszcze trzymał w ręku. Na nowo strachem zdjęty rzekł:

— Nie! to nie sen, lecz istotna prawda... przecież jestem przy zmysłach. Czas ucieka, niebezpieczeństwo się zbliża, i nie zostaje mi więcej jak godzina, aby działać, lecz mój Boże! co pocznę, co mam postanowić?

Rzekłszy to przycisnął ręce do głowy, która



mu coraz bardziej ciężyła. Z trudnością tylko mógł myśleć o stanie rzeczy.

— Jeszcze nie mam czego rozpaczać, bo mam majątek i mogę go zabrać. Ucieknę z Paryża i daleko po za granicami Francyi będę mógł żyć spokojnie nie obawiając się niczego. Jeżeli ten przyjaciel, który mi napisał dobrze jest poinformowany, to policya przyjdzie dopiero rano, lecz daremny będzie jej trud, bo znajdzie gniazdo, z którego ptaszek wyleciał.

### XIII.

Uspokojony tą myślą, Wicherek wstał z krzesła, poszedł do garderoby i napił się wody chcąc rozprószyć senność, która go opanowała. Uczuł też zaraz, że mu się łżej zrobiło. Potem powrócił do sypialni i zadzwonił.

Zjawił się Rodille.

— Co pan Vicomte rozkaże?

— Mój kochany! Nadeszła chwila, w której możesz dać dowody twej gorliwości i rozumu.

— Raczy pan rozkazać, a uczynię wszystko, co jest w mojej mocy.

— List, który mi przed chwilą oddałeś, zmusza mnie do natychmiastowego wyjechania na wieś, gdzie na moje przybycie jeszcze tej nocy czekają.

— Więc pan Vicomte chce natychmiast wyjechać?

— Jak można najrychlej.

— Czy mam zaprządz do kabryoletu?

— Nie! — odpowiedział Wicherek, który nie czuł się dosyć przytomnym do kierowania tak ogni-



stym rumakiem — lecz sprowadź mi fiakra jakiegobądź, byle rychło.

Właśnie na to liczył Rodille, który teraz przemówił:

- O tym czasie trudno będzie znaleźć dorożkę.
- Rób co możesz. Liczę na twoją gorliwość.
- Nie straćę ani chwili czasu.

Rodille wyszedł i udał się na róg ulicy Koli-seum, gdzie Laridon czekał od godziny ósmej.

Wicherek tymczasem z trudem przydział się jak mógł, bo senność na nowo trapić go poczęła. Uporawszy się z tem, otworzył żelazną skrzynię, czego Rodille nie považył się uczynić. Ze skrzyni dobył worek z dukatami, paczkę banknotów i pugilares z pięciomaset tysięcy franków w listach zastawnych. Złoto i banknoty wsunął do kieszeń u spodni, obligacje zaś ukrył w kieszeniach surduta, pozapinał się, wziął do tłumoczka nieco z odzieży, nie zapomniał o pistoletach i gotów był do podróży. Z niecierpliwością oczekiwał teraz powrotu kamerdynera.

— Co mi się stało do dyabła? krzyknął potem poczuwszy dziwne osłabienie — moje nerwy i muszkuły utraciły wszelką sprężystość, a krew zaledwie porusza się w żyłach. Do pioruna, Wicherku bądźże mężem, bo teraz nie pora, abyś był zniewieściałym. Rzekłszy to, otworzył okno i zaczerpnął świeżego powietrza.

— To rzeźwi, a, to dobrze, mrucał pod nosem — byle tylko służący rychło przyprowadził fiakra.

W tej chwili posłyszał turkot wozu.

— Może to on, pomyślał rzekomy Vicomte.



Dwie latarnie zaświeciły w ciemności. Przed hotelem zatrzymał się powóz i Wicherek odetchnął podobnie człowiekowi, który się pozbył wielkiego ciężaru. Rodille zszedł z kozła i w kilku sekundach jawił się w sypialni.

— Znalazłem przecież fiakra, panie Vicomte.

— Dobrze. Nie zdybałeś nikogo?

— Żywej duszy nie zdybałem.

— Na ulicy nie ma nikogo?

— Nikogo wcale.

— Tęgi z ciebie chłopiec. Zanieś ten tłumok do wozu. Odjeżdżam.

— Czy mam jechać z panem?

— Nie! Zostaniesz w hotelu. Zostawiam cię tu jako mego zastępcę.

— Czy pan Vicomte długo zabawi?

— Dwa, a najwyżej trzy dni.

W czasie tej rozmowy zeszedł obydwaj na dziedziniec. Wychodząc spostrzegł Rodille, że Wicherek zostawił przez zapomnienie otrzymany list w pokoju na stole. W końcu Rodille otworzył drzwiczki powozu, złożył tłumok na siedzeniu i pomógł chwiejącemu się na nogach zbiegowi wsiąść do powozu.

— Jakie mam dać polecenie woźnicy? — zapytał Rodille.

— Niech jedzie w kierunku północnym — odpowiedział Wicherek słabym głosem.

— Mam zaszczyt życzyć panu szczęśliwej podróży i szczęśliwego powrotu. Naprzód woźnico, a rażno!

Rzekłszy to, Rodille obiegł wóz, skoczył na ko-



ziołek, odebrał lejce byłemu prawnikowi i trzasnął z bicia. W kilku minutach landara wjechała w aleę na Champs Elisée i tu zwróciła się na lewo, zamiast jechać na prawo, jak było polecenie. Zadyuszany koń nie mógł już dalej pospieszać. Rodille dał mu bieg wolny, a wreszcie wstrzymał. Złazłszy z kozła zbliżył się do drzwiczek powozu i rzekł zmienionym głosem, podobnie woźnicy, który z jazdy nie jest zadowolony i ma na myśli robić przedstawienia:

— Obywatelu! Czy słyszysz, obywatelu?

Nie nastąpiła żadna odpowiedź. Rodille posłyszał tylko ciężkie chrapanie. Wicherek spał jak w najlepsze, odurzony kroplami, których mu Rodille do wina przymięszal.

— Chwat ze mnie — pomyślał Rodille. Potem zwrócił się do Laridona i przemówił:

— Teraz bratku możesz zleźć z kozła.

— Jakto? Mam zleźć? A to dlaczego?

— Bo twoja rola już jest skończona.

— Czy nie myślisz zostawić mnie tutaj?

— Zgadłeś moje kochanie.

— Ależ tu miejsce niepewne, złodzieje mogą mnie obdrzeć.

— Masz pomiędzy nimi twoich najlepszych przyjaciół, a zresztą w tej bluzie i czapce nie potrzebujesz się niczego obawiać. Ręczę za ciebie, bo nie wyglądasz wcale na milionera.

Laridon wiedział dobrze, że Rodille jest nieugięty i był posłuszny. Zlazł a raczej zsunął się z kozła w jak najgorszym humorze, który daremnie ukryć usiłował.



Rodille wsiadł znowu na koziołek i rzekł do Laridona:

— Miej bratku na pamięci, że ci nie wolno iść za mną.

Iść za nim! Laridon ani myślał o tem, pomimo obudzonej ciekawości tą nocną wyprawą. W tej chwili czuł tylko trwogę z powodu samotnego pobytu w tak odległej i najmniej bezpiecznej okolicy. Przestрах jego tak był ogromny, że w tej chwili niczego sobie bardziej nie życzył, jak aby się zdybał z nocnym patrolem.

Tymczasem Rodille pojechał wolno ze spiącym Wicherkiem i zdążył wreszcie do owych dwu domków, czytelnikom dobrze znanych, które dotychczas jeszcze były jego własnością. Jakkolwiek ojczulek Legrip zarzucił dawne rzemiosło, tak przecież nie chciał się pozbyć tej własności, bo myślał, że mu w przyszłości może być potrzebną. Od dwunastu lat we wnętrzu tych domków nie się wcale nie zmieniło. Rodille przywiązał konia, zgasił latarnie, otworzył dom i zaniósł do środka ciężkim snem złożonego Wicherka. Potem Rodille posadził swą ofiarę na poręczowym krześle i począł przeszukiwać jej kieszenie.

#### XIV.

Wynik poszukiwania początkowo nie okazał się wcale zadowalniającym. Spodnie i surdut dostarczyły tylko dziesięć tysięcy franków w banknotach i pięć do sześć tysięcy w złocie.

— To nie, on musi mieć koniecznie więcej.

Tak mówiąc Rodille począł szukać dalej i znalazł



pugilares z papierami wartościowymi. Drżącą od chęciwości ręką przeliczył.

— Pół miliona! Widać, że moje pieniądze w rękach tego łotra dobre przyniosły odsetki.

Po tych słowach wziął Rodille śpiącego Wichierka na ręce, zaniósł do piwnicy i położył na ziemi.

Potem wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Rodille o całe pół miliona bogatszy teraz, opuścił dom zamknawszy starannie wszystkie wejścia, odwiązał szkapę, zaświeceł latarnię i przybył bez najmniejszej przygody do wozowni, którą dzień przedtem był najął.

Mieszkanie Rodillego stało w związku z kancelaryą na ulicy muzealnej. Około godziny drugiej powrócił urwisz do domu. Laridon mieszkał tuż obok. Rodille był ciekaw, ażali jego towarzysz już powrócił. Nacisnąwszy lekko klamkę otworzył drzwi i wszedł do sypialni Laridona.

Na pierwszy rzut oka spostrzegł swego kolege śpiącego na łóżku w ubraniu.

— Co u diabła? — pomyślał Rodille — dlaczego on się nie rozebrał? Zapewne to bydlę po powrocie do domu było bardzo znużone.

Nie zastanawiając się wiele nad tym przedmiotem, Rodille udał się do swego pokoju i drzwi zamknął. W tej chwili otworzył Laridon oczy, bo nie spał wcale i tylko udawał. Zwłókłszy się z łóżka przyłożył oko do małej dziurki, którą poprzednio w ścianie wywiercił. Laridon miał zamiar szpiegować swego towarzysza.

— Wietrzę jakąś tajemnicę — rzekł do samego



siebie — i niech mię dyabli wezmą, jeżeli jej nie odkryję. Ten łajdak kryje się przedemną, obchodzi się ze mną jak z niewolnikiem i każe mi taką przeklętą drogę odbywać w nocy i to piechotą. Jak jest prawda, że Laridon jest moje nazwisko, tak pewnie odkryję, co ten łotr zamierza.

Rodille ani się spodziewał, że oko szpiega go śledzi, nie strzegł się też bynajmniej i nie ukrywał.

Dobyl pieniądze z kieszeni i wysypał na stół. Potem otworzył pugilares i przeliczył jeszcze raz zawarte w nim papiery. Rodille dawał żywe oznaki radości z powodu tak obfitej zdobyczy.

— Ten łotr musiał niemałe skarby zrabować — rzekł szpieg do samego siebie — bo lada czem nie zwykł się wcale cieszyć tak bardzo. Ho! ho! Znam ja go dobrze. Hm! Jestem ciekaw, co on pocznie z temi papierami?

Laridon nie długo zostawał w niepewności, bo ujrzał rychło, że Rodille zdjął jakiś stary obraz ze ściany. Za obrazem były ukryte małe drzwiczki.

— Aha! — pomyślał Laridon. — Jak to dobrze wiedzieć czasem o czemś podobnem!

Po tej uwadze natężył wszystkie zmysły i śledził dalej.

Rodille nosił na szyi srebrny łańcuszek ordynarnej roboty i niewielkiej wartości. Na tym łańcuszku wisiał mały, stalowy kluczyk. Rodille otworzył nim drzwiczki i wydobyl z kryjówki niewielką skrzyneczkę. Skrzyneczka miała pozór starożytny i nie było widać żadnego zamku na niej. Rodille oglądnał skrzynkę a potem nacisnął ukrytą, sobie tylko znajomą sprę-



żyne. Wieczko odskoczyło i można było widzieć, że w skrzyneczce jest złoto. Laridon zaledwie oddychał widząc takie bogactwa. Tymczasem wspólnik jego włożył do skrzyneczki zdobyte pieniądze i papiery, potem zamknął skrzynkę, postawił na dawnym miejscu i obraz powiesił na ścianie.

Szpieg zatarł ręce z radości i pomyślał:

— Czekam tylko sposobności, aby pomścić krzywdy, jakie mi ten łotr wyrządza. Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli ta sposobność rychło nie nadejdzie.

Laridon czatował tak długo, jak długo w przyległym pokoju było światło widoczne, lecz nie spostrzegł nic więcej uwagi godnego. Rodille rozebrał się i położył do łóżka. Tak samo postąpił także Laridon, lecz w nocy ani oka nie zmrużył.

Minęły dwa dni. W tym czasie Rodille zajęty był przeglądaniem papierów przez własnych pisarzy przygotowanych. Laridon okazał się niezmiernie pilnym, zakopał się w aktach i zaniedbał nawet zaglądnąć do szynku na ulicy Chantre, który przedtem codziennie odwiedzał. Trzeciego dnia zjawił się w kancelaryi Rodille z kapeluszem na głowie i papierami pod pachą.

— Cóż bratku? — rzekł do swego wspólnika — sądzę, że nie masz dziś po za domem żadnych interesów do załatwienia.

— Wcale żadnych — odpowiedział Laridon obojętnie.

— Więc mogę na to liczyć, że zostaniesz w domu aż do mego powrotu?

— Tak jest. Jeżeli przyjdzie który z klientów,



będę gotów dać mu wyjaśnienie.

— Dobrze. W każdym razie otrzymasz wynagrodzenie, jakkolwiek niewielkie.

— Dziękuję, lecz pozwól pan, abym go zapytał, jak długo będziesz nieobecny?

— Mam ważne sprawy do załatwienia. Teraz jest południe. Wątpię, czy będę mógł powrócić przed godziną piątą.

— Dosyć. Będę na miejscu.

Rodille miał zamiar dowiedzieć się, co mówiono o nagłym zniknięciu Vicomtego Hektora z Coursolles. Udał się przeto na ulicę Koliseum. Gdy tam przybył, ujrzał przed hotelem Nr. 20 kupkami stojących ludzi i zapytał, coby to znaczyło. Dowiedział się rychło, że w tym hotelu bawił przez czas dłuższy bardzo niebezpieczny złodziej odgrywający rolę pana, który ubiegłej nocy znikł bez śladu, zamordowawszy prawdopodobnie służącego. List grożący więzieniem, który ten opryszek przez zapomnienie na stole zostawił, zmusił go do ucieczki. Powstały stąd rozruch sprowadził policję, która właśnie w tej chwili zajęta była opieczetowaniem domu. Rodille wiedział już co mu było potrzebne i nie posiadał się z radości, że tak wszystko doskonale mu się powiodło. List, który sam napisał, podający rzekomego Hektora z Coursolles jako prostego złodzieja, musiał sprowadzić poszukiwania policyjne.

Zostawmy teraz Rodillego upojonego radością i pójdźmy zobaczyć, jak pocziwy Laridon czas przepędza.

Laridon czekał pół godziny. Upewniwszy się,



że towarzysz jego nie powróci, przypadkowo, wysłał wszystkich pisarzy pod rozmaitemi pretekstami z domu, zamknął potem drzwi gabinetu jak najstaranniej i udał się do pomieszkania Rodillego, które oczywiście było zamknięte. Dawniejszy tandeciarz posiadał niepospolitą zręczność w otwieraniu wszelkich zamków. Zapomocą wytrycha Laridon otworzył drzwi i wszedł do wnętrza. Natychmiast zdjął obraz ze ściany i starał się otworzyć drzwiczki, lecz to pomimo zręczności i usiłowań wcale mu się nie udało. Wątpił już, ażali będzie mógł co zrobić, gdy w tem przypadkowo nacisnął jakąś skrytą sprężynkę, poczem drzwiczki same się rozwarły. Zadrzał z radości na widok żelaznej skrzynki, skarby kryjącej, lecz wszelkie jego usiłowania były daremnemi i wieczko w żaden sposób odskoczyć nie chciało.

— To mi się uda później — pomyślał — bo teraz nie ma czasu z tem się długo bawić.

Potem Laridon zatarł starannie wszystkie ślady swego postępowania, powiesił portret, gdzie przedtem wisiał, zawinał w papier skrzyneczkę i opuścił dom.

— Dziś wieczorem daleko będę od Paryża, na drodze do Anglii. Niewola moja skończyła się już. Jestem bogaty. No! bratku Rodille, co myślisz o mojej zemście?

Okolo godziny dziewiątej wieczorem powrócił Rodille do domu i zastał Pawła Mercier jeszcze w biorze pracującego. Młody ten człowiek mieszkał na poddaszu w tym samym domu.



— Jaki przypadek spowodował pana do tak późnego pozostania w mej kancelaryi? zapytał pryncypał.

— Moi koledzy już dawno poszli do domu, lecz ja musiałem pozostać nie mogąc kancelaryi zamknąć. Nie ma klucza. Sądziłem przeto, że to niebezpiecznie zostawić drzwi otwarte.

— Dobrze pan zrobiłeś, lecz gdzie jest pan Laridon?

— Posłał mnie na przedmieście Saint Germain, a gdy powróciłem, już go w domu nie było.

— Kiedyż wyszedłeś pan z domu?

— Około godziny trzeciej.

— I od tego czasu nie widziałeś go pan więcej?

— Nie widziałem, proszę pana.

— Teraz gdy ja jestem w domu, możesz pan odejść.

Pozostawszy sam, Rodille usiłował daremnie pohamować straszny gniew i uderzył pięścią w stół.

— Na tego łajdaka wcale się spuścić nie można. Ten łotr zostawia kancelaryę otwartą i wynosi się z domu! To nie do przebaczenia! Ten szelma nie ma co robić, jeno żre, pije i gnije. Poczekaj! Nie będziesz tu długo popasał!

Wynurzywszy te groźne myśli, Rodille położył się spać, bo był zmęczony. Nazajutrz rano chciał się napić widokiem zdobytych skarbów, lecz za ledwie obraz ze ściany zdjął, spostrzegł natychmiast ślady włamania się. Drżącą ręką otworzył drzwi-czki, które wcale nie były zamknięte i ujrzał, że skrzynka zniknęła. Rodille wydał głuchy okrzyk



boleści i był bliski omdlenia. Zachwiał się i użył całej siły ducha, aby się na nogach utrzymać. Siadł potem na łożu, podparł głowę rękoma i wyrzekł boleśnym głosem:

— W ten sposób mego zaufania nadużyć, zrabował mnie, mnie, który byłem jego dobrodziejem, to okropne! Poczekajno ty podły psie, zdrajco, rozbójniku! To ci nie wyjdzie na korzyść! Będę gonił za tobą, aż cię wynajdę! Nawet w piekle nie zdołasz się ukryć przedemną!

Umilkł, a po chwili rzekł pełen rozpacz:

— Lecz cóż mam robić, gdzie znajdę ślad? Łotr niezawodnie opuścił Paryż i jest już daleko. Któż mi powie, dokąd się udał?

— Aha! Mam cię nędzniku! — krzyknął nagle. — Przypnij sobie orle skrzydła, zmień nazwisko, przebierz się, lecz to wszystko nie pomoże ci nic zgoła!

Po tych słowach ubrał się z podziwienia godną powolnością a potem poszedł do pokoju Laridona i zaopatrzył się w białą krawatę, którą towarzysz jego zwykł był nosić.

Rodille wsiadł potem do dorożki i kazał się zawieźć na Boulevard du Temple, gdzie wysiadł przed domem Fryderyka Hornera. Była dopiero godzina ósma rano i magnetyczne posiedzenia jeszcze się nie rozpoczęły. Horner zdziwił się nie mało ujrawszy wstępującego towarzysza.

— Przywołaj jasnovidzącą — rzekł z pospiechem Rodille — i uspij ją, bo tylko tym sposobem mogę przyjść na ślad łotra, który mnie wczoraj zrabował.



Po kilku minutach weszło młode dziewczę bojaźliwie do pokoju i zadrzało na widok Rodillego. Posłuszne skinieniu doktora dało się uspić. Rodille dobył z kieszeni białej krawaty i podał ją doktorowi mówiąc:

— Weź pan to. Ta krawatka należy do złodzieja, który mnie okradł. Sądzę, że to będzie dosyć, aby jasnowidzącą wprowadzić w stosunek z właścicielem tej rzeczy.

— Nie podlega wątpliwości — rzekł Horner i wsunął otrzymaną krawatkę jasnowidzącej do ręki.

— Polecam ci, rzekł magnetyzer — oglądnąć się za osobą, do której ta krawatka należy.

— Już widzę tę osobę — rzekła Blanka.

— Czy to mężczyzna, czy kobieta?

— Mężczyzna.

Blanka opisała teraz mężczyznę, którego wcale nie знаła, ze wszystkimi szczegółami.

— Dobrze — rzekł Rodille. — Pytaj pan dalej, panie doktorze, chcę wszystko wiedzieć.

Horner pytał dalej. Nie potrzebujemy wszystkiego powtarzać. Rodille dowiedział się, że złodziej w fałszywy paszport zaopatrzony i pod przybranym nazwiskiem chciał się dostać do Hawru, aby ztamtąd do Anglii pojechać. Po drodze atoli dla chwilowej niemocy musiał się zatrzymać w miasteczku Montivilliers, półtory mili od Hawru oddalonym, gdzie zajechał do gospody „pod złotą kotwicą.“ Rodille dowiedział się wreszcie, że słabość Laridona nie jest wcale niebezpieczna i że dla tej przyczyny nie pozostanie dłużej w miaste-



czku, jak jedną dobę.

— Już wiem, co chciałem wiedzieć — rzekł Rodille — a teraz do dzieła. Nie mam ani chwili czasu do stracenia i muszę łotra dogonić, zanim Francję opuści. Jeżeli wsiądzie na okręt, to sprawa byłaby jeżeli nie całkiem straconą, to przynajmniej wielce utrudnioną, bo jakżebym w Anglii mógł żądać wymiaru sprawiedliwości?

— Mógłbyś pan żądać wydania tego człowieka.

— Wydania! Wybornie! — rzekł Rodille wzruszając ramionami. — To prawdziwie śmieszna rzecz. Ja miałbym prokuratorowi powierzyć moją sprawę! Cha, cha, cha! To mnie do śmiechu pobudza. Nie, kochany doktorze, lepiej mi z tem, gdy sam sprawę załatwię. Więć do widzenia!

Rodille powrócił do domu na ulicy muzealnej, przywołał Pawła Mercier, do którego miał zaufanie, polecił mu prowadzenie interesów w ciągu swej nieobecności, a potem dobył paczkę rozmaitych paszportów i wybrał jeden z nich opiewający na imię Tom Brown, Espu. Widać z tego, że miał na myśli zamienić się w Anglika.

Jeszcze nie wybiła godzina dziesiąta, gdy jakiś gentleman z ogromnemi rudemi bokobrodami, z ostrogami przy ogromnych butach i z paszportem w ręku na poczcie ulicy Pigalle jawił się. Gdy konia zaprzągnięto do pocztowego wózka, wsiadł ów jegomość. W pstry uniform przybrany pocztymion zadał w trąbkę i świsnął batogiem, poczem wózek cwałem potoczył się w kierunku do Normandyi.



Owym pasażerem nie był nikt inny, jeno Rodille, zaopatrzony w grube pieniądze i uzbrojony dwoma ostro nabitymi pistoletami.

## XV.

Wszystko szło jak najlepiej aż do Rouen, dokąd Rodille przybył wieczorem o godzinie dziewiątej. Jakkolwiek był zmęczony, postanowił przecież natychmiast w dalszą udać się podróż, skoro tylko nieco odpocznie.

Posiliwszy się zimną pieczenią i wypiwszy flaszkę Madery, wsiadł rzekomy Tom Brown na konia i pospieszył dalej. Nie ujechał daleko, bo na nieszczęście koń potknął się i upadł. Jeździec nie zabił się wprawdzie, lecz odniósł dość znaczne uszkodzenia, które dalszą jego podróż uniemożliwiły. Zaniesiono go z powrotem do domu pocztowego, z kądem przed chwilą wyjechał był. Rodille klął przez całą noc złą angielszczyzną i kazał się nacierać kamfоровym spirytusem.

Skutkiem tej metody leczenia był w stanie z brzaskiem dnia wsiąść na wózek. Rodille użył wszystkiego, byle tylko wynagrodzić dotychczasową zwłokę.

Wieczorem około godziny siódmej zdażył do celu swej podróży i wysiadł w zajeździe pod złotą kotwicą. Rodille był w strachu, myśląc, że Laridon już wyzdrowiał i wsiadł na okręt, co bardzo łatwo mogło się zdarzyć, bo już trzydzieści trzy godzin minęło, odkąd wspólnik dawnego tandeciarza Paryż opuścił. Wreszcie Rodille nie mógł natychmiast czy-



nić poszukiwania, nie chcąc się zdradzić.

Ufny w dobre powodzenie i chcąc odpocząć, wziął Rodille swój tłumoczek do ręki i wszedł do jadalni, która zarazem za kuchnię służyła.

Na kuchni pod ochronnym daszkiem palił się ogień, obracano rożnie a w garnkach woda kipiała. Po przeciwnej stronie ogromnej izby stał duży stół i kilka małych stolików. W sali paliło się kilka świec, bo już było ciemno na dworze.

Zaledwie Rodille próg przekroczył, jawił się gospodarz z uprzejmym uśmiechem. Dobroduszny Normandczyk był niemal tak samo gruby jak długi, pełnej twarzy, nazywał się Alain Tanvels i liczył mniej więcej lat pięćdziesiąt. Na pierwszy rzut oka poznał w przybyłym anglika i pomimo narodowej nienawiści nie przestawał się doń uśmiechać.

Rodille żądał, aby mu natychmiast dano jeść w sali.

Usłużny gospodarz wydał bezzwłocznie odnośne polecenia:

— Pospieszcie się Bereniko i Kleopatrol! Nakrycie dla pana Milorda i najlepsze wino z piwnicy!

Dziewczęta uwinęły się szybko. Gdy jedna z nich postawiła nakrycie na stole, druga pobiegła do piwnicy po wino. Rodille usiadł i pomimo zmęczenia miał baczne oko na wszystko.

Jedna z osób w sali będących zwróciła na się uwagę Rodillego. Tą osobą był człowiek siedzący na ławie tuż przy kominie. Był to mężczyzna rosły, barczysty i silny, ale źle ubrany. Rodille nie mógł widzieć jego twarzy, bo nieznajomy oparł łokiec na



kolanach i położył głowę na dłonie, dymiąc z krótkiej fajeczki, jakiej majtkowie w Normandyi używać zwykli. U nóg tego człowieka leżał w kłęb zwinięty gołczak i spał spokojnie. Między tym człowiekiem a Laridonek nie było najmniejszego podobieństwa. To też Rodille po krótkiej chwili odwrócił zwrok i patrzył dalej na podwórzec zajezdnego domu, bardzo źle utrzymywany.

Na podwórzu wisiała na drucie duża lampa, umbrą z góry przysłonięta i rozświecała dość duże koło. Przy świetle lampy można tu było widzieć drzwi od wozowni, stajni i piwnic. Wschody prowadziły na ganek, ciągnący się wzdłuż domu. Na ganku były widoczne numerowane drzwi, prowadzące oczywiście do gościnnych pokoi. Czerwonym wzrokiem przebiegał Rodille czarną farbą oznaczone liczby i zapytywał siebie samego:

— Czy ten nędznik bawi tu jeszcze, czy też szybko oddala się z każdą minutą, podczas gdy ja tu siedzę spokojnie i daremnie czas tracę? Czy moje trudy i usiłowania odniosą skutek, czy też będą daremne? Ach! Kto mi pomoże, kogo mam zapytać!

Tok tych myśli przerwał Alain Tanvels, który z czapką w rękę i pochylonym grzbietem stanął przed rzekomym anglikiem i najpokorniej zapytał:

— Milord będzie łaskaw sięść do stołu. Już dano jedzenie. Spodziewam się, że Milord będzie zadowolony.

— O yes! — odpowiedział Rodille — bardzo chętnie, o yes!

Rodille siadł do stołu myśląc, że w ciągu je-



dzenia będzie mógł gospodarza zapytać. Przypadek przyszedł mu w pomoc, bo zaledwie począł jeść, odezwał się dzwonek, poczem Tanvels krzyknął:

— Bereniko, prędko, to ten gruby pan z Paryża. Idź na górę i dowiedz się, czego żąda.

Berenika pospieszyła na górę, a Rodille natężył słuch, bo słowa „ten gruby pan z Paryża“ mogły się odnosić do Laridona. Rodille myślał, że toby był przypadek nadzwyczajny, gdyby właśnie w tej chwili do gospody w Montvilliers aż dwu grubych panów z Paryża zajechało. Pomimo tego miał jeszcze wątpliwość, która przecież nie trwała długo, bo Berenika rychło powróciła i usunęła wszelką niepewność.

— No, czegoż chce ten katolik? — zapytał Tanvels.

— Naprzód chce jeść.

— A do dyabła. To już dzisiaj trzeci objad z rzędu. Zdaje się, że mu już jest znowu dobrze.

— Chętnie temu wierzę — rzekł Rodille.

— Tak kochany panie. Gdy przedwczoraj wieczór tu zajechał, to wtenczas niktby nie pomyślał, że tak rychło wyzdrowieje, bo bardziej był podobny do trupa, niż do żyjącego człowieka.

— Istotnie tak — wtrąciła Berenika — biedak nie mógł stać na nogach, już myślałam, że go trzeba będzie pochować.

— Więc zanieś mu jeść. Czy chce jeszcze czego?

— Tak, chce wiedzieć, kiedy odjeżdża okręt z Hawru do Anglii.

— To zależy od przyływu morza — odpowiedział gospodarz, przewracając kartkami w kalenda-



rzu. — Przyływ jest o godzinie piątej, więc musi być gotów o godzinie trzeciej. Trzy kwadransy na trzecią będzie nań czekać dorożka. Powiedz mu to.

Potem Berenika ustawiła na tacy półmisek, wagę i talerze i zaniósła to wszystko pod numer dziewiąty.

Rodille nie posiadał się z radości, gdy gospodarz polecił Kleopatrze, aby dla nowo przybyłego pana przygotowała numer ósmy.

Tak szczęśliwy przypadek uprzedził życzenia Rodillego.

## XVI.

Rodille nie wątpiąc już o dobrym skutku swego przedsięwzięcia, zajadał teraz ze sybaryckim zadowoleniem i wypił dwie flaszki Bordeaux. Zmęczenie ustąpiło, a o tem że spadł z konia zaledwie sobie przypomniiał. Potem wypił filiżankę moki i zakończył kieliszkiem koniaku. Tymczasem człowiek, który dotychczas spokojnie przy kominie siedział, wstał, potracił lekko końcem laski spiącego psa i zabierał się do odejścia.

Gospodarz zapytał go :

— Czy chce się pan położyć?

Nieznajomy kiwnął głową na znak, że to chce uczynić.

— Czy daje pan jutro przedstawienie z woskowymi figurami?

Nieznajomy zaprzeczył.

Gospodarz kazał go zaprowadzić pod Nr. 10. Tymczasem Rodille nalał sobie jeszcze jeden kie-



liszek koniaku. Gdy zbliżył kieliszek do ust, wzrok jego padł na nieznanego, który właśnie wychodził. Widok tego człowieka zmieszał i zaniepokoił go wielce.

— A! To w istocie rzecz ciekawa, pomyślał, tego człowieka nie widziałem nigdy w życiu, a przecież zdaje mi się, jakobym go znał bardzo dobrze. Gdzie ja go na świecie zdybać mogłem?

Rodille usiłował przypomnieć sobie wszystkie znajomości, lecz w żaden sposób nie mógł odgadnąć, kim by był ten człowiek o bladym i pooranym licu i siwych włosach, wyglądający tak, jak gdyby w życiu wiele przeniósł na sobie cierpienie i boleści.

Służąca szła przodem wschodami do góry i otworzyła drzwi Nr. 10. Nieznajomy wszedł a za nim pies.

W tej chwili przypomniał sobie Rodille, co chciał wiedzieć. Uderzywszy pięścią o stół, rzekł półgłosem do samego siebie:

— Gdzież to podziałem do dyabła moje pięć zmysłów! Wszakże to jasne jak słońce! Ten człowiek ma wielkie podobieństwo do Vaubarona! Potem dodał: — Hm! A gdyby to on był w istocie?

— E! To jest wcale niemożliwe, pomyślał — i trzeba by być szalonym, aby coś podobnego przypuścić. Przed dwunastoma laty skazano przecież Vaubarona in contumaciam na karę śmierci. Niewątpliwie opuścił Francję, bo inaczej sto razy już by go schwytano, a potem ten człowiek ma co najmniej lat sześćdziesiąt, gdy tymczasem Vaubaron zaledwie czterdzieści mieć może. Nic na świecie



nie może być bardziej nieprawdopodobnem, wspomnienia moje omyliły mnie tym razem.

Gdy tak samego siebie uspokoił, nie przeszkadzało mu nic, aby się naśmiać do woli ze swej słabości i niewczesnego przestachu. W tej chwili siadł gospodarz przy mniemanym Angliku i zapytał uprzejmie:

— Czy jesteś pan zadowolony, Milordzie?

— O yes.

— Czy smaczne były potrawy?

— O yes, bardzo dobre.

— I ja tak sądzę. Moi goście zawsze są zadowoleni. Dlatego też złota kotwica słynie w całym świecie.

— Pański pokój już jest przygotowany. Milord raczy może udać się na górę.

— O yes, idę zaraz.

— Czy życzy sobie Milord, aby go jutro rano zbudzić?

— O nie, nie.

— Dobrze. Milord będzie łaskaw pójść za mną i przekonać się, że u mnie pokoje gościnne nie gorzej zaopatrzone, jak kuchnia i piwnica.

Pocziwy Alain Tanvels dlatego tak bardzo troszczył się o spoczynek gościa, bo sam miał ochotę pójść spać. Gospodarz zaprowadził Rodillego pod Nr. 8, postawił palącą się świecę na stole, życzył dobrej nocy i odszedł.

Rodille w tej chwili zamknął drzwi i począł badać dom, w którym się znajdował.

Pokój nie był wielki. Bardzo proste znajdowało



się w nim urządzenie. Jedyne okno, które go w dzień oświecało wychodziło na wąską uliczkę. Naprzeciwko widny był z okna mur ogrodowy. W pokoju prócz głównych, były jeszcze drzwi w mocny zamek zaopatrzone, które łączyły Nr. ósmy z dziewiątym, gdzie właśnie Laridon mieszkał.

— Wszystko idzie dobrze — pomyślał Rodille.

Rodille odstawił stół bez najmniejszego szelestu i przyłożył ucho do bocznych drzwi. Rychło przekonał się, że sąsiad chrapie, co go przekonało, że Laridon spi w najlepsze.

— Grubas spi — pomyślał Rodille — niech spi! Zbudzi się, gdy będzie potrzeba. — Jeszcze jest czas, rzekł dalej do samego siebie — dopiero dziesiąta. Zapewne w gospodzie jeszcze nie wszyscy zasnęli, a zresztą nie ma się czego spieszyć.

Potem rzucił się w ubraniu na łóżko z mocnym postanowieniem, że spać nie będzie.

Zostawmy Rodillego na łóżku leżącego, pełnego radości z powodu nadziei, że rychło odzyska skarb utracony, a udajmy się pod Nr. 10., dokąd gospodarz kazał wprowadzić człowieka, którego pytał o figury woskowe.

Może dwie godziny upłynęły od czasu, kiedyśmy opuścili pokój Rodillego. Milczenie zaległo gospodę i całe miasto. Księżyc zeszedł, a srebrne jego promienie przedarły się przez zamglone szyby Nru dziesiątego i oświeciły bladą twarz nieznanego, który leżał na łóżku w śnie pogrążony. U nóg spoczywał wierny pies, lecz nie spał wcale, bo od czasu do czasu podnosił głowę i wietrzył.



Oczy jego iskrzyły się jak rozżarzone węgle i lekkie warczenie dało się słyszeć. Na chwilę pies się uspokoił, lecz rychło zerwał się, poskoczył ku drzwiom i tak głośno począł warczeć, że pan jego obudził się i usiadł na łożu. Obudzony zapytał cicho:

— Co tam jest, Tristan, co jest?

Tristan nie przestawał warczeć i dawać oznaki wielkiego niepokoju.

## XVII.

Gospoda znajdowała się w pobliżu kościoła, którego zegar teraz północ ogłosił, a dźwięk metalu zwolna zaumierał w powietrzu; pies jednak nie opuścił ani na chwilę swej groźnej pozycyi, a podróżny usłyszał teraz, jak klucz który zostawił na stronie od kurytarza zwolna począł się w zamku obracać.

— Co to może być? — zapytał siebie. I jak gdyby oczekiwał odemknięcia drzwi, chwycił za mocny kij, który tuż przy łóżku stał i był już gotów skoczyć i uderzyć, ale niestety, nikt się nie pojawił i ani szmeru nie było. Poruszony tem niewytłumaczonym zdarzeniem, zerwał się podróżny z łóżka i chciał drzwi otworzyć; klamka poruszała się lekko, ale drzwi nie można było otworzyć, i spostrzegł, że go jakaś obca ręka zamknęła. Strach przejął go na wskrós.

— Podejrzewają mnie — szepnął do siebie — i ktoś mnie tu zamyka jakby w więzieniu. Ale kto to uczynił i na co? kto mi ma wzbraniać wyjścia z pokoju. Chcę wiedzieć, będę pukać i wołać; muszę się o tem dowiedzieć. — Już podniósł kij, aby



nim w całym domu hałasu narobić, gdy tymczasem prędko się namyślił i chwilę zaczekał.

— Na co tego, na co bez właściwego celu krzyk robić i czegoż ja mam się obawiać? Tych zamkniętych drzwi? śmieszna! kto by mnie mógł poznać? chciano zapewne tylko pokój zamknąć, bo sądzono, że jest próżnym, zresztą nie opłaci się, by dłużej nad tem rozmyślać.

Po tem roztrząśnięciu położył się do łóżka, ale brytan nie przestawał skomleć i warczeć, wyszczerzał ostre zęby i nie zbywało mu na srożeniu się i groźbie; równocześnie dał się słyszeć jakiś niewyraźny szmer, a potem przytłumiony krzyk.

— W tym domu musi się coś osobliwszego dziać. Instynkt Tristana prowadzi go tędy, podczas gdy mój rozum nie złego nie pojmuje.

Teraz nie myślał już dalej w łóżku pozostać, lecz począł się ubierać i zbliżył się do drzwi, które go oddzielały od Nr. 9 i uważnie się przysłuchując usłyszał szmer żywszej rozmowy, drzwi bowiem składały się z cienkich, źle zespojonych sosnowych desek, miały nawet szpary, tak, że prawie każde słowo można było słyszeć.

Udajmy się za Rodillem.

Parę minut po północy otworzył fałszywy Tom Brown lekko swój pokój i wyszedł na dwór; gdy w całej gospodzie już nigdzie światła nie widział, przeto sądził, że już wszystko pokładło się spać i zbliżył się pod Nr. 9, w tej niepewnej nadziei, aby klucz znaleźć, ale Laridon nie zostawił go przy drzwiach.



— To mi rzecz obojętna — pomyślał sobie — wejść i tak do środka.

Potem poszedł parę kroków dalej, albowiem wiedział, że ów lichy ubrany pod Nr. 10 się znajduje, i gdy tam obaczył klucz, obrócił nim z przeczności dwa razy, czyniąc tym sposobem pomoc dla Laridona ze strony podróżnego miemożebną w razie gdyby ten o pomoc wołał, co było bardzo nieprawdopodobnem, gdyż dawny tandeciarz musiał we własnym interesie milczeć i poddać się. Rodille udał się napowrót do swego pokoju, zamknął się jak najlepiej i począł odmocowywać ze swojej strony od drzwi zamek, który z drugiej strony nie sprawiał jego wéwicznej ręce najmniejszej trudności, do czego przysłużył mu się bardzo mocny scyzoryk; potem uzbroił się w parę pistoletów i wszedł do pokoju, przyczem utknął o stół, który mu stał na zawadzie. W skutek tego hałasu ocknął się Laridon ze słodkiego snu, a podniósłszy się i przetarłszy oczy spostrzegł, jak jakiś nieznany mu człowiek do łóżka się zbliża, wydał przeraźliwy krzyk, który podróżny w sąsiednim pokoju będący usłyszał, zarazem rzucił się w stronę, gdzie na stoliku pistolety leżały. Rodille był na to przygotowany, że człowiek który tak ogromną sumę sprzeniewierzył, również i w broń się zaopatrzy, wyprzedził go więc i powalił na łóżko.

— Pomocy, złodzieje! — zawołał Laridon zająknionym z przestachu głosem. Więcej nie mógł nie przemówić, gdyż przeciwnik skierował pistolet ku jego głowie i odezwał się wprawdzie zwolna, ale



z mocnym przyciskiem.

— Ani słowa, ani mi się rusz, bo będzie po tobie; milcz i poddaj się, jeśli ci życie mile, jestem twoim panem, jestem Rodille!

Laridon drżał na całym ciele, podczas gdy tamten mówił dalej:

— Widzisz, że mnie nie podejdziesz, że mnie nikt nie oszuka i jabym cię odszukał, chociażbyś się pod ziemię ukrył. Zresztą uspokój się; ja nie przyszedłem tutaj by cię zabić, oddaj coś wziął, potem możesz czynić, co ci się podoba.

Udany angiłk milczał i oczekiwał sądząc, że Laridon podda się konieczności, jednakowoż oszukał się, albowiem człowiek ten przyłgnał z całą duszą do półmilionowej sumy i uznał siebie w przeciągu trzech dni, odkąd tę sumę posiadał, za prawowitego posiadacza tejże, a oraz wiedział, że jego poprzedni pan zanadto był roztroptym aby popełnić zabójstwo wśród okoliczności, które czyniły jego osobę nieuniknioną od aresztowania; nie miał więc wielkiej obawy, nie brakowało mu też ani na zuchwałości ani na potędze ducha, jeśli broń na równi im stała. Dlatego też zamiast poddać się i natychmiast dać odpowiedź, milczał i rozważał. Rodille zniecierpliwił się i tupając nogą zawołał:

— Odpowiadaj, ty wiesz, ja nie chętnie czekam!

Atoli garbus nie drżał już więcej i odzyskawszy napowrót spokój swej duszy rzekł z najspokojniejszym w świecie wyrazem:

— Przyjacielu, oddal się nieco na bok z twoim pistoletem, przed którym ja nie mam najmniejszej



obawy, wiem dobrze podobnie jak i ty wiesz, że nie zrobisz z tego żadnego użytku, pozwól mi się podnieść, mam ci bowiem wiele do opowiedzenia.

— Ja o niczem nie chcę słyszeć — odpowiedział Rodille, będąc przerażonym spokojnem zachowaniem się swego złodzieja, wiedział bowiem o jego tchórzliwości i o braku energii. — Ja żądam tylko tego co do mnie należy i to natychmiast, a więc usłuchaj i milcz.

Odkąd podróżny jedno ucho przyłożył do nędznych drzwi, odtąd wzmagały się głosy między obydwoma pod Nr. 9 czem raz to bardziej, i mógł każde słowo rozumieć. Na pierwszego, którego dobrze słyszał, rzekł do siebie:

— Znam ten głos, gdzie też go słyszałem?

— Przyjacielu, — obojętnie odpowiedział Laridon — ty mówisz, ja chcę, to za wiele; ale ja ci powiadam, że ja nie chcę.

— A więc ty sprzeciwiasz się temu?

— Najzupełniej.

— Miej się na ostrożności!

— Ach! powiedziałem już, że się nie boję. Lecz poczekaj i słuchaj mnie, to będzie krócej i roztropniej.

Rodille drżał z wściekłości i niecierpliwości, ale skoro przekonał się, że jest rzeczą niebezpieczną zabić swego sprzymierzeńca, wetknął pistolety Laridona w kieszeń i rzekł:

— Mów, ale do diabła, skończ to.

— Najpierw widzę, że twe żądanie jest śmieszne.



— Śmieszne! i ty ważysz mi się to mówić?

— Mój Boże, odważam się. Teraz do rzeczy, cóż właściwie żadasz?

— Ja żądam moje złoto, moje papiery.

— Twoje złoto, twoje papiery! — odpowiedział Laridon ściskając ramionami i śmiejąc się z nai-grawaniem — masz do tego prawo tyle co i ja.

— Nędzny łajdaku, aby je zabrać, rozbiłeś szafkę, gdzie leżały schowane.

— Tego nie odpieram się, ale śmiesznem to jest, że mię za to hańbisz. Com ci teraz skradł, toś ty niegdyś innym zabrał. Każdy robi tak, jak może. Pieniądze, któreś wczoraj zagarnął przemocą, należą dzisiaj do mnie na mocy tego samego prawa. Co możesz na to odpowiedzieć?

Mowa garbusa była pełną rozsądku, ale Rodille nie miał ochoty przekonać się, postać jego zdała się srożyć i już miał zamiar cisnąć się na Laridona, ale natychmiast zapanował nad sobą i rzekł:

— Zaiste, podziwiam mą cierpliwość i ciebie również powinno dziwić, że przysłuchuję się twemu opowiadaniu, zamiast by cię zdruzgotać, i że pozwalam ci jeszcze na jedną odpowiedź. Teraz już ani słowa więcej, uważ, że twem prawem słuchać! natychmiast dawaj tu pieniądze, inaczej zmuszę cię do tego!

— A to w jaki sposób, jeśli wolno zapytać?

Rodille skierował znowu pistolet ku przeciwnikowi i rzekł:

— Zabiję cię jak psa.

— Ah, głupia istoto! jak często mam ci powta-



rzać, abys tego nie czynił. Ty sam zanadto jesteś roztroprnym, by dopuścić się takiego głupstwa.

— Może być, że wcale nie obawiasz się o swe życie, ale ja mam jeszcze inny środek.

— A ten ma być?

— Gdy mię w ten moment nie usłuchasz, zaskarżę cię i każę aresztować.

— Co, przyjacielu? — zawołał z uśmiechem Laridon — rzeczywiście, ty ubolewasz nademną; ja stroję sobie z twej groźby żarty i wzywam cię, byś ją spełnił.

— Ah, ty wzywasz mię! — zawołał rozszropany Rodille.

— Tak jest i sto razy tak!

— Po raz ostatni: Miej się na ostrożności!

— Czegoż mam się obawiać? nie mój najlepszy, ty mnie nie zaskarzysz, bynajmniej. Żandarmi, którychbyś tu sprowadził, wzięliby nas obydwóch. Oskarżyciel i oskarżony staną przed sądem naprzeciw siebie i ty doznasz wtedy większego potępienia aniżeli ja!

— Kłamiesz łajdaku!

— Ty sam wiesz, że to prawda. Gra naszych losów jest nierówna, gdyż mnie czeka więzienie a ciebie rusztowanie!

Rodille wzdrygnął się i cofnął się nieco w stecz pomrukując: — Rusztowanie!

— Sądysz, że jestem ślepy, dlatego że zamilczałem? Sądysz, że mnie nie wiadome straszne tajemnice twego życia? Już oddawna uważam, zbieram i jasną mi została tajemnica, którą się osła-



niasz. Tak jest, zwołaj tylko sąd, powiedz, żem rozbił twą kasę i żem ciebie okradł, uczyn to, ale bacz, na co się odważasz; ja jestem złodziejem, niech i tak będzie, nie przeczę tego, ale moje ręce nie zbroczone jeszcze krwią. Przyjdzie czas, że i ja będę mógł usta otworzyć i przemówić, a wtedy wykażę, żeś ty złodziejem, żeś rabusiem i mordercą!

— Mordercą! Ja? I ty się ważysz!... krzychał roswścieklony Rodille.

— Tak jest! sprawco podwójnego morderstwa na ulicy Pas-de-la-Mule!

Zaledwie wymówił te słowa, a już żałował za nie, albowiem oblicze jego przeciwnika przyjęło okropny wyraz; nie mogąc dłużej nad sobą zapamiętać, począł mruczeć:

— Ty wiesz za wiele! Tyś wypowiedział na się wyrok śmierci!

Zarazem przyłożył pistolet do piersi Laridona, który wszelkich sił używał, by rzucić się na nieprzyjaciela i rozbroić go. Okropna ta walka trwała zaledwie sekunde, albowiem Laridon podczas pasowania się, ruszył za cyngiel. Pistolet wypalił i roztrzaskał mu głowę.

— Teraz w nogi — pomyślał Rodille — ale gdzie schował pieniądze?...

Podróżny nie zapomniał z tej całej rozmowy ani słówka. W miarę tego jak się ona wzmagała, strach i zgroza przejęły go i malowały się wyraźnie na jego obliczu, które coraz to więcej bladło. Skoro wymówił Laridon te straszne słowa — sprawco podwójnego morderstwa na ulicy Pas-de-la-



Mule — tedy zatoczył się i wydał z piersi swej przeraźliwy krzyk.

— Ja przypominam sobie — belkotal — ja przypominam sobie, tak, tak, to jest głos człowieka, który mi dał banknoty. Przecież już Bóg lituje się nademną, teraz mi go przysyła i przysięgam na życie mego dziecka, że mi nie ujdzie.

Tymczasem rozległ się strzał, czemu odpowiedziało straszliwe zawycie brytana, a podróżny zopatrzoney w mocny kij rzucił się ku drzwiom prowadzącym na korytarz, które Rodille zamknął był, jak to sobie przypominamy. Jak na nieszczęście zamek był bardzo mocny i potrzeba było prawie trzy minuty, zanim z największem wysileniem mógł drzwi z zawiasów wysadzić. Wydostawszy się biegł pod Nr. 9 krzycząc:

— Mordercy! na pomoc! mordercy!

Wystrzał, szczekanie psa, trzeszczenie wyłamanych drzwi, wołanie podróżnego, pobudziły wszystkich mieszkańców. Gospodarz, służące i stróż na pół ubrani przybiegli w chwili, gdy zamek i zawiasy Nr. 9. poddawały się.

— O Boże! cóż tu się dzieje? — zawołał drżącym głosem czcigodny Alain Tanvels.

— Tam się mordują! — zawołał przeraźliwie podróżny — pomóżcie mi drzwi wyłamać i zawołajcie na straż.

Drzwi wyłamano, wszyscy cisnęli się do pokoju pełnego dymu i dopiero wtedy, kiedy dym się przeredził, znaleziono na wzburzonym i krwią zbroczonym łóżku ciało Laridona z przestrzeloną głową;



mordercy atoli nie było. Okno było otwarte na małą uliczkę i niezawodnie tędy musiał uciec.

— On musi być niedaleko! — szepnął do siebie obcy. — Byłaby to niesprawiedliwość Boska, gdyby i tym razem udało mu się szczęśliwie uciec!

Zawołał potem na psa, który warcząc kręcił się po pokoju jak gdyby dawał do poznania, że jest bardzo rozgniewany. Położył się do nóg swego pana i spoglądał na niego z nadzwyczajną roztropnością, tenże wskazał psu okno i zawołał:

— Szukaj tu, Tristan, szukaj tu.

Brytan zaskomliwszy z radości dał potężnego susa i skoczył na okno. Wszyscy zbiegli się w okóło niego, ale Tristana już nikt więcej nie zobaczył, tylko echo powtarzało się od czasu do czasu, ilekroć gdzieś daleko zaszczekał.

Parę minut upłynęło wśród głębokiego milczenia, albowiem osoby były tem zajęciem tak przerażone, że nie tylko nie jeden do drugiego nie mówił ale nawet trudno było usłyszeć ich oddech!

Ten ruch powszechny, ta okropna scena, której punkt wyjścia jeszcze niewiadomy, mocno przerażyły każdego; tymczasem zdziwił ich znowu nagły wystrzał a po nim bezpośrednio okrzyk śmiertelnej boleści i znowu nastąpiła cisza.

— O mój Boże, zlituj się! — zawołał obcy z wyrazem nieopisaney boleści. — Ten niegodziwiec zabił mego ostatniego, jedynego przyjaciela!

Teraz pospieszył on w stronę gdzie było okno, spuścił się przez nie na uliczkę i sam skierował swój bieg, skąd dał się słyszeć ostatni krzyk zra-



nionego zwierzęcia.

— To nie koniec na tem moje dzieci! — odezwał się Tanvels do swoich ludzi, który drżąc ze strachu cisnęli się do niego — zbrodniarz uciekł nam, ale my musimy go napowrót schwycić! Ty Cirille idź po straż, ty Kleopatro pójdź do kościelnego, niech bije we dzwony; ty Berenico nie trać czasu, idź i sprowadź tu pana sędziego. Ja będę bronił domu moją strzelbą.

### XVIII.

Jak gospodarz zarządził, tak zostało natychmiast wykonanem i nie minęło ćwierć godziny, aż tu rozległ się głos dzwonu i pobudził mieszkańców z Montiviliers i okolicy a straż już była w drodze. Wreszcie przybyli nie tylko sędzia i jego pisarz, ale oraz i naczelnik policyi, pomimo, iż gospodarz o nim ani nie myślał. Podczas gdy Alain opowiadał tej licznej komisji o smutnym wypadku, wrócił już nasz obcy ściskając biednego Tristana, który nie okazywał śladu życia, a krew sączyła mu się z głębokiej rany.

Wiedziony od czasu do czasu powtarzającym się głuchem skomleniem, wszedł nasz podróżny na jedną odległą uliczkę, która na pole prowadziła i znalazł tutaj swego psa kulą przeszytego właśnie w ostatniej chwili życia. Morderca dał ognia, gdy pies groził mu ukąszeniem, a zraniwszy go śmiertelnie, pospieszył w pole. Skoro się naczelnik straży dowiedział, że morderca udał się w stronę ku Paryżowi, wydał swoim ludziom rozkaz by wsiedli



na konie, a po drodze by wezwali chłopów i na wszystkie strony się rozprószyli. Podczas gdy wykonano ten rozkaz, rozpoczął naczelnik policyi i sędzia śledztwo, które bardzo ciekawych szczegółów dostarczyło.

W pokoju pod Nr. 8. znaleziono torbeczkę należącą do mniemanego Anglika, znaleziono też boko brody i różne przybory do farbowania, których Rodille używał do malowania swej twarzy by się stać trudnym do poznania i paszport z napisem Tom Brovn Espu. Potem wskazywał na dwa miejsca pobytu, mianowicie w Paryżu i w Londynie.

— Przy pomocy tych wiadomości — zawołał komisarz — odszukamy wnet złoczyńcę; Anglik nie może się długo we Francyi ukrywać!

— A tem bardziej ten — dodał gospodarz, — ze swoją śmieszną popsutą mową.

— Ale paszport ten jest fałszywy a ten zbrodniarz nie jest Anglikiem — zawołał obcy tamując tymczasem psu krew i zawijając mu ranę. — Słyszałem jak on z zabitym rozmawiał niemal ćwierć godziny, on włada wybornie naszym językiem, bez najmniejszego podejrzanego wygłoszenia.

Na żądanie komisarza musiał obcy powtórzyć całą rozmowę, której on był świadkiem, a potem śledztwo toczyło się dalej, tym razem jednak w pokoju pod Nr. 9.

— Patrzenie no moi panowie, jak łóżko wzburzone — zawołał komisarz pokazując na miejsce gdzie leżał Laridon zimny i zdrętwiały. — Tutaj niezawodnie pod tymi materacami znajdowała się



owa suma, której zwrotu żądał mniemany Tom Brown, a morderca przewrócił wszystko, by ją z sobą zabrać.

To przypuszczenie było najnaturalniejsze w świecie i nikt nie wątpił że złoczyńca obszukał swą ofiarę na każdym miejscu. W tem przekonaniu pozostawano dopóty, dopóki pisarz sędziego nie wydał okrzyku. Dzielnym ten chłopak, który się nie zadowalał powierzchownem tylko śledztwem, przeszukiwał torbeczkę, słomę i drzewo, które przy piecu było złożone i znalazł między tem małe ale ciężkie metalowe pudełeczko. W tem pudełeczku, które znamy, był właśnie zachowany skarb Rodillego, albowiem nędznik po daremnem przeszukaniu łóżka i szafy uciekł, a tę znaczną część swego majątku pozostawił.

Resztę nocy spędzono na spisaniu tego wszystkiego co śledztwo wykazało. Tymczasem podróżny nie odstępował od swego psa, którego pielęgnował tak, jak przyjaciel przyjaciela pielęgnuje; zaledwie po dwóch godzinach spostrzegł z radością, jak zwierzę zwraca ku niemu swój wzrok, wtedy i jemu lzy się w oczach zakręciły. Rana nie mogła być żadną miarą śmiertelną, przeto miał nadzieję swego wiernego i walecznego towarzysza widzieć uratowanym.

— O mój Boże — pomyślał sobie — ja zwątpiłem o Tobie, ja dopuściłem się nawet bluźnierstwa; teraz ale korzę się przed Tobą Wszechmocny! Ty mój Boże, nie chciałeś mnie jeszcze uwolnić od podejrzania, które mię gniecie, ale Tyś mi pozwolił



słyszeć głos tego, który mi zawsze uchodził, bym go znowu poznał, skoro się ku mnie zbliży.

Okolo dziesiątej godziny z rana przetrzęsła straż razem z chłopami okolicę, ale bez oczekiwanego skutku, przyjęto zatem za pewnik, że morderca nie opuścił Francyi.

Na drodze ku Paryżowi znaleziono w biały dzień młodego, ostrogami pokaleczonego konia, którego z pobliskiej okolicy z pastwiska wzięto. Zbieg jak widać nie przebierał w środkach służących mu do przyspieszenia szalenie biegnącego rumaka, którego dostał w swe ręce, aby przybyć do Paryża, gdzie go policya najskrzętniej poszukiwać musiała.

Okolo południa przybyli prokurator i sędzia śledczy z Havru, aby zbadać istotę mordu, którego dopełnił nieznajomy na nieznajomym a mianowicie wśród takich osobliwszych okoliczności, iż można przyjąć, jakoby padły ofierze śmierci również był takim nikczemnikiem jak i sam morderca.

— Na wszelki sposób — rzekł sędzia śledczy, przeglądając papiery Rodillego i Laridona — są te paszporty fałszywe i nie mogą być uważane za punkt oparcia, a pierwszym zadaniem sądu jest dobrze zbadać pierwaj osobistość zmarłego, a potem stosownie do tego wnioskować o mordercy. Ale cóż tu robić? Zmarły podróżował tylko po naszym kraju, a także i ciało wkrótce zupełnie się zepsuje. Czy pan prokurator nie jest tego zdania, aby przywołać rysownika i odportretować umarłego?

Zapytany chciał właśnie odpowiedzieć, gdy tym-



czasem przystąpił podróżny i rzekł:

— Ja przyjmę na się tę robotę, moi panowie i ręczę że jestem gotów doręczyć wam najwierniejsze podobieństwo tego obrazu.

— Pan jesteś artystą? — zapytał prokurator.

— Artystą! — Nie śmię chęlcie się tym zaszczytem, ale jestem w stanie zdjąć najwierniejszą kopię.

— Więc dobrze, przyjmuję pański wniosek. Masz pan krede, farby, papier, w ogóle wszystko, co panu potrzeba?

— Tego wszystkiego nie potrzebuję, tylko wosku a ten mam zawsze przy sobie.

— Bierz się więc pan zaraz do roboty, ciekaw jestem co to z tego będzie.

— Do usług pańskich!

Zaraz sięgnął obcy do swej torby po przybory i kawałki różnobarwnego wosku.

— Panie prokuratorze, rozpoczynam więc moją robotę, proszę tylko rozkazać, by żaden z ciekawych tutaj nie wchodził.

Zaraz postawiono żandarma przed drzwiami z nakazem by nikogo nie wpuszczał. Obcy usiadł koło umarłego i rozpoczął swoje dzieło.

Wystarczyło dwie godziny, aby zbudować figurę kilka cali wysoką. Oblicze umarłego było oddane jak najwierniej. W obec tak prędko zbudowanej figury, w obec talentu i w obec pewnej a zręcznej ręki rzeźbiarza oświadczył prokurator głośno swoje zdziwienie.

— Panie — rzekł on z natchnieniem. — Nikt nie jest godniejszym pięknego tytułu artysty od



pana. Rażąca skromność pańskiej odzieży jest niezawodnie tylko fantazyą, humorem, a ja jestem przekonany, że gdybym pana o imię zapytał, to bym usłyszał imię najgenialniejszego artysty.

Podróżny potrząsł głową.

— Pan się mylisz, panie prokuratorze; ja nie jestem artystą lecz tylko rzemieślnikiem, a to co pan geniuszem nazywasz, jest tylko wprawą, której nabyłem z mego zatrudnienia. Podróżuję po kraju, pokazuję moje woskowe figury, najlepsze zaś z tych są dziełem mej własnej ręki.

Zostawmy naszego podróżnego przy swojej woskowej figurze w gospodzie Montivilliers, gdzie go również i rana psa jego zatrzymała, a pójdźmy za Rodillem.

Po zamordowaniu swego towarzysza i po ciężkiem zranieniu psa, poznał, że go nie minie prześladowanie podobnie jak dzikiego zwierza. Sapiąc wskutek szalonego biegu widział przed sobą słaby tylko promyk nadziei na udanie się jego przedsięwzięcia i pytał siebie samego, czy nie opuściło go szczęście, które mu tak długo sprzyjało, czy już nie nadszedł czas jego nieodzownej kary, czy nie ma on teraz dostać się w ręce sprawiedliwości i zaczął rozpaczać. Tymczasem spostrzegł w ogrodzonym polu pasącego się pięknego i silnego konia.

— Ach, czart sam mię strzeże; jeszcze jestem wolny!

Rozgrodził tedy płot, z łatwością odwiązał konia, sznuru zaś użył za cugle, a potem skoczył na niego, spiął go ostrogami i ruszył w najwię-



kszym pędzie w drogę; gdy zaś koń zdawał się zwalniać biegu, tedy bódł go ostrogami do krwi. Mniej niż w dwu godzinach zrobiło biedne zwierzę około dwanaście godzin drogi a potem padło jak nieżywe i nie wstało więcej. Zbieg nie zatrzymywał się, lecz z brzaskiem dnia poprawił na sobie odzież, nad brzegiem potoku, który mu za zwierciadło posłużył, oderwał bokobrody, zrzucił perukę, a potem wziął na się bluzę i welnianą czapkę, które właśnie na płocie się suszyły. Ubrany podobnie do normandzkiego chłopca siadł na okręt i dostał się bez najmniejszego przypadku do Rouen, gdzie zmienił swoje ubranie. Rodille skorzystał ze sklepiku gdzie suknie sprzedawano i przebrał się jako pan, będący w najpiękniejszych stosunkach życia. Z różą w dziurce od guzika, z binoklami na tasie, wsiadł do dyliżansu i ruszył do Paryża. Nie życzył on sobie aby u wjazdu żądano od niego paszportu. Dla tego wysiadł, gdy właśnie ocieężała maszyna ze swymi czterema kołmi poruszała się zwolna po moście w Neuilly. Pozostając w tej pewności, że najmniejsze podejrzenie na niego nie spadnie, spokojnie podążył piechotą do Paryża, podobnie spokojnemu obywatelowi, który przed obiadem dla apetytu na przechadzkę idzie.

Po dwóch godzinach przybył na ulicę muzealną i znowu udał się do tego samego bióra, w którym nieszczęśliwy Laridon już więcej nie pojawił się.



## XIX.

Podczas tych kilku godzin na okręcie i w kabryolecie miał Rodille dosyć czasu pomyśleć o swem położeniu i rozebrać dobrze wypadek zaszły w Montivilliers. Przypomniawszy sobie na ten przytłumiony krzyk w pokoju pod Nr. 10. jak mu zamordowany zarzucał podwójną zbrodnię na ulicy Pas-de-la-Mule a jak on mu na to wystrzałem z pistoletu odpowiedział. Potem mówił sam do siebie, że ów mieszkaniec z pod Nru 10. bez wątpienia przysłuchiwał się rozmowie i że to musi być mimo jego widocznie głębokiej starości ów na śmierć skazany Vaubaron. Przychodząc na ten domysł, przypomniawszy sobie, z jakim wysileniem ten obcy starał się drzwi wyłamać, jako też na tego psa którego on czuł, by szukał jego śladu. Wreszcie oczekiwał chwili, kiedy zasądzony przybędzie do Paryża i odwiedzi doktora Hornera, aby od jego jasnowidzącej, do której miał ślepe zaufanie, dowiedzieć się o imieniu prawdziwego mordercy. Koniecznie mu wypadło, aby spotkanie ojca z córką uniemożliwić, podobnie niebezpiecznym mogłoby się stać spotkanie się Rodillego z Vaubaronom i aby jedno i drugie uniknąć, musiał łożyć starania, aby magnetyzera i Blanę wydalic. Przy tak grożącym niebezpieczeństwie nie powinno się nic zostawić na los szczęścia, każda możliwa przygoda powinna być naprzód obliczona.

Gdy odzyskał spokój, czuł się Rodille dosyć silnym aby mógł na wypadek przybycia Vaubarona do Paryża zastawić na niego łapkę, która go miała sprzątnąć, i udał się do Hornera, oświadczywszy mu



swe nieszczęśliwe przedsięwzięcie, nie odkrywając jednak całej prawdy, wykazał mu, że ich obopólne bezpieczeństwo wymaga koniecznie natychmiastowego zniknięcia. To ostatnie wprawiło doktora w niemały kłopot, albowiem narażało jego dochody na wielkie niebezpieczeństwo i począł się temu stanowczo sprzeciwiać, ale Rodille potrafił gostraszyć, że wreszcie uległ, a zarazem dał swemu towarzyszowi pełnomocnictwo działać zupełnie według jego upodobania. — Po tym pomyślnym skutku zdecydował się wyszukać dla niego odpowiednie pomieszkanie, a to miało być samotne gdzieś w nieludnym zakątku. Miał też do tego szczęście, znalazł takowe przy ulicy Amandiers-Papincourt w pewnym bardzo zaniedbanym ogrodzie, chociaż w oplakany stanie, ale zawsze jeszcze pawilonik zdolny do zamieszkania.

Od drogi wznosił się wysoki mur, ciężkie dębowe drzwi zamykały go, a zewnątrz nie można było widzieć prócz dachu i pawiloniku.

— Co za szczęście! pomyślał sobie Rodille. Gdybym kilka lat szperał po Paryżu, tobym nie znalazł lepszego jak to!

Pospieszył natychmiast do właściciela i jeszcze tego samego wieczora pojawiły się najniezbędniejsze sprzęty domowe a następnego dnia sprowadzili się tam Horner i Blanka tylko w towarzystwie Pamelii. Służąca, którą najęto, zarządzała całym gospodarstwem domowym. Na małym domu na Boulevard du Temple widać było odtąd zamiast miedzianej tablicy, której dotąd celem było zapowiadać magnetyczne



konzultacye, napis wystosowany własną ręką Rodillego następującej treści:

— Umiejętność musi się zupełnie ludzkości oddać. Wskutek zlecenia znakomitych osobistości Europy wyjechał dr. Fryderyk Horner za granicę. Liczni pacyenci zostaną dziennikami zawiadomieni o jego powrocie do Paryża.

— Teraz jest już wszystko przygotowane — rzekł do siebie Rodille zacierając ręce — a Vaubaron może przybyć, skoro ma ochotę.

Zarządziwszy wszystkim jak najwyborniej i najbezpieczniej dla siebie, oddał się ten niebezpieczny człowiek z ciałem i z duszą sprawom kancelaryjnym, które przez niejaki czas zaniedbał. Pierwszą jego rzeczą było poprzeczytywać listy, które stosami na biurku leżały, albowiem niedawno mnóstwo ich poprzychodziło pod adresem: Kancelarya pana dyrektora. Żaden jednak nie tyczył się ogłoszenia umieszczonego w gazetach względem Andrzeja Bernard, zrodzonego r. 1765 we wsi Saint Ferréol, dawniejszej prowincyi Franche-Comté w departamencie Jura, po którym poszukiwano krewnych albo spadkobierców.

— Więc w tej sprawie żadnych wiadomości! — zawołał Rodille z przekleństwem — z czterech milionów pana barona Viriville mógłbym dwa otrzymać a byłyby mi się bardzo przydały w celu pokrycia ogromnego niedoboru w moim majątku. — Przejęty tą myślą wziął Rodille do ręki akta, które dotyczyły spadku Bernarda i począł je znowu z wielkim zapalem przeglądać. Na jednym z tych



papierów, który on uważał jako mniej ważny stało, że daleka kuzyna Bernarda, pochodząca z wyższej Burgundyi wyszła za mąż za pewnego Merciera, który przed dwudziestu dwu lub trzy laty prawie równocześnie z żoną zmarł, a tylko małego chłopca jeszcze w powiciu zostawił. Prócz tego było napisane, że po sierocie nie pozostało ani śladu wiadomości, nikt nie słyszał o tem dziecku i prawdopodobnie musiało umrzeć. Rodille uderzył ręką o biurko i zawołał:

— Są spadkobiercy, ja przeczuwam, ale oni rozpierzchli się jak dym w zapale mych badań. Bernard miał brata, który się ożenił, że to tak jest, to wiem z pewnością, ale to dziwna! Jeśli ten brat nie zmarł bez potomstwa, to jego dzieci nazywają się Bernard. Te duże dzienniki paryskie podały do wiadomości o tem imieniu całej Francyi, Europie a nawet całemu światu. Gdzież są ci spadkobiercy, dlaczego nie zgłaszają się? A ten drugi, ten Mercier, syn dalekiej krewnej wygląda, jak gdyby sobie ze mnie drwił. To imię Mercier bardzo powszechne, podobnie jak Duval, Lambert albo Martin. Są setki francuzkich rodzin, które się podobnie nazywają. Mercier, Mercier; o nim słyszę wszędzie; ja go sam nawet znajduję między moimi ludźmi, ale cóż mi z tego?

Sparłszy głowę na rękach i marszcząc brwi siedział Rodille przy stole wpatrując się w arkusz papieru, który przed nim leżał; chociaż się patrzył na papier to go nie widział, bo myślą był gdzie indziej zajęty, po chwilce jednak rzekł:



— Kto nie rezykuje, ten nic nie zyskuje. Na nie to się nie przyda, wiem o tem, ale przecież chcę spróbować.

Potem napisał: — Uprasza się każdego ktoby znał młodego człowieka nazwiskiem Mercier mającego lat dwadzieścia trzy lub cztery, rodem z wyższej Burgundyi, synie małżonków Ludwika i Antonii Mercier i Denisé Desirée Clément, aby raczył nadać swój adres na ręce dyrektora kancelaryi, ulica muzealna Nr. 1. w Paryżu. Chodzi bowiem o ważną sprawę, fatyga dotyczących osób będzie wynagrodzoną.

— Dobrze — rzekł Rodille — jeśli to zawiadomienie nie przyniesie korzyści, to i nie zaszkodzi.

Zadzwonił i natychmiast pojawił się Paweł Mercier, który jak wiemy był pierwszym kancelaryjnym pisarzem i jemu to oddał Rodille papiery dodając:

— Odpisz pan to cztery razy, a potem podaj pan do gazet? Moniteura, Debatów, Konstytucyjona i do gazety de France. Tu masz pan pieniądze na opłacenie obwieszczenia, ale staraj się pan, aby to w przyszłym numerze już umieszczone było.

— Natychmiast, mój panie! — odpowiedział Paweł i oddał się nie zwróciwszy nawet uwagi na pismo, atoli za chwilę wszedł napowrót.

— Cóż tam, dlaczego pan nie załatwiasz co poleciłem?

— Nie odpisywałem — odpowiedział Paweł nieśmiało, — gdyż sądzę że pan już zaprzestałeś żartu.



— Co za żart? ja pana nie pojmuje!

— Mój Boże, przecież nie wypada panu w żaden sposób na seryo podawać tego do gazet, i mnie się zdaje, że pan ze mną żartujesz, co mnie zresztą wcale nie uwłacza.

Rodille uważał młodego pisarza za głupkowatego.

— Z panem żartować! I dlaczegoż nie miałbym tego dać na prawdę do gazet?

— Ponieważ mię pan dobrze znasz i właśnie jestem tą osobą, o istnieniu której pan się chcesz dowiedzieć.

#### XIX.

Nie było większej niespodzianki nad tę, którą wywołała na swego naczelnika odpowiedź Pawła. Niedowierzał swoim uszom, przez parę sekund pozostawał w oniemieniu, lecz potem odzyskał napowrót przytomność.

— Teraz przychodzi kolej na mnie zapytać się pana, jak też to pan sobie pozwalasz ze mnie żartować.

— Zaprawdę, ja to jestem owym Mercierem i mogę tego dowieść.

— Pan udajesz że pan jesteś synem owego Merciera?

— A Denise Desirée Clément, nazywam się Paweł Ludwik Denis Mercier, urodzony dnia drugiego stycznia 1819.

— I możesz pan tego dowieść?

— Najzupełniej.

— Jakim sposobem?



— Moja metryka chrztu, metryką zaślubin i metryką śmierci moich rodziców.

— Pan posiadasz te papiery?

— Tak jest mój panie.

— Gdzie pan je masz?

— U siebie w domu.

— Przynieś je pan, chcę je oglądać.

— W ten moment, — odpowiedział Paweł odalając się.

— Rzeczywiście — rzekł Rodille, gdy sam pozostał — jest to tak nieprawdopodobnem, rzadkiem, śmiesznem, podobnie jak w jakim romansie albo komedyi.

Paweł powrócił i rzekł:

— Widzisz pan wszystko na stemplowanym papierze, zaopatrzone pieczęciami a podpisy legalizowane.

Dawny towarzysz nieszczęśliwego Laridona przeglądał papiery z największą dokładnością i znalazł je w porządku, papiery wykazywały najzupełniejszą wiarogodność osoby Pawła Mercier i ten więc mógł odziedziczyć znaczną spuściznę po baronie Viriville a właściwie po Andrzeju Bernard.

— Teraz więc jesteś już pan przekonany, że rzeczywiście jestem tym, któregoś poszukiwał gazetami?

— Tak jest.

— A jaki pan masz w tem interes?

— Bardzo wielki, ale ten interes więcej dla pana niż dla mnie.

— I mogeż zapytać co to za interes?

— Proszę, jest nawet moim obowiązkiem panu



odpowiedzieć... jednak dzisiaj nie mogę z bardzo słusznych powodów; muszę zasięgnąć bowiem wiele wiadomości i niejeden jeszcze krok zrobić, najdalej w dwóch dniach dowiesz się pan.

— A nie mógłbym się dowiedzieć dzisiaj o co chodzi, bez dokładniejszych szczegółów?

— Nie. Nierostropne i przedwczesne zawiadomienie mogłoby pana wprowadzić w fałszywą nadzieję, której rozwiązanie tem przykrzejsze by było.

— Mój Boże, zagraża mi jakie nowe nieszczęście?

— Co do tego, to bądź pan spokojny; zmiana obecnego położenia mogłaby wypaść na korzyść pana. Uspokój się pan więc i bądź pan cierpliwy, powtarzam jeszcze raz, pojutrze dowiesz się pan o wszystkim; teraz ale idź pan do swojej roboty.

Oddaliwszy się od swego pryncypała, opamiętał się nieco Paweł, jednak, jak to sobie łatwo możemy przedstawić, zawsze pozostawał jeszcze w ciekawości, jaki to może być szczęśliwy zwrot w jego niskiem, w ogóle wątpliwem stanowisku. Rodille ociągał się z odpowiedzią na czas dwóch dni dlatego, aby się przysposobić do nowej komedyi i aby od młodego człowieka ile możności najwięcej wyzyskać. W oznaczonym dniu o pierwszej godzinie w południe przywołał do siebie Merciera i rozkazał, aby nikogo nie wpuszczano, aż do jego dalszego polecenia, a sam zamknął się z nieśmiałym kochankiem Blanki.

— Siadaj sobie pan koło mnie i rozmawiajmy — rzekł uprzejmie — dzisiaj mogę zaspokoić pańską ciekawość i niecierpliwość.

Paweł usiadł obok nędznika, na którego obliczu



malował się wyraz pełnego zadowolenia.

— Nieprawda mój kochany Pawle, że pan masz ku mnie zaufanie?

— Jak największe mój panie, przecież pan byłeś zawsze tak dobrym dla mnie, znam się na pańskiej rzetelności.

— Jestem dumny z tego, że w pana wpoił to uczucie, i mogę pana zapewnić, że zawsze czułem w obec niego największe zadowolenie, gdyż znalazłem w pańskiej osobie rzadkie własności: otwarte serce, odwagę, roztropność i wiedzę.

— Mój panie, sądzę że za wiele tych pochwał.

— Zawsze mówię tak, jak myślę, i rzadko kiedy myślę się w mojem zdaniu. Dość długo zwracałem na pana uwagę, aby pana poznać, potrzebuję tylko wspomnąć o smutku, który pana opanował, a już wystarczy to na dowód mej bystrej uwagi; a co, oszukałem się?

— Nie, mój panie. W całym mojem życiu doznałem już przeróżnych przykrości.

— To zapewne nie byłeś pan nigdy szczęśliwym?

— Nigdy! od powicia jestem sierotą, wychowałem się w domu sierot, doznałem nieraz srogiego obchodzenia się i tak spędziłem moje dziecinne lata.

— A później?

— Skoro przyszedłem do rozumu, obudziło się we mnie zamiłowanie do umysłowej pracy a potem przyszedłem do tej świadomości, iż posiadam w sobie zdolność stać się czemś większym, niż prostym rolnikiem tylko; chciałem się uczyć i naprzód postępować. Moje książki to była dla mnie jedyna



pociecha a praca przewodniczką. Wiem o tem dobrze, że są na świecie szczęśliwi ludzie, ja zaś nie znalazłem nigdy tego szczęścia.

— Mój biedny przyjacielu, więc zawsze pozostajesz w potrzebie?

— W potrzebie! O, to za mało, ja byłem w nędzy; ubierałem się, w co mogłem, ale o jałmużnę nigdy nie prosiłem. Wśród najostrzejszej zimy miałem drelichowe spodnie i surdut, małom nie zamarzl, a często i dwa dni spędziłem bez kawałka chleba. O gdyby ludzie wiedzieli, na jakie to męczarnie głód naraża...

— Ale dzisiaj — rzekł z współczuciem Rodille — polepszyło się znacznie pańskie położenie!

— O pewnie — odpowiedział Paweł uśmiechając się pośepnie — dzisiaj jest ono o wiele lepszem, ale wcale nie świetne. Osądź pan sam. Tutaj pobieram więcej płacy aniżeli kiedy pobierał, mianowicie sześćdziesiąt franków miesięcznie, a więc siedemset dwadzieścia na rok; sto dwadzieścia franków płacę za pomieszkanie, a z reszty muszę się przyodziewać i żyć codziennie. Prawda że za ledwie mam co jeść i że jestem biedno ubrany, ale mimo to nie narzekam na siebie jak pan to widzisz, jest bowiem wiele takich ludzi, w porównaniu których jeszcze dość bogaty jestem.

— To prawda.

— Jestem zadowolony i z tego, czem mnie obdarzono — mówił dalej Paweł — sądzę przecież że już dostatecznie usprawiedliwiłem się, jeśli mnie jaki smutek gniecie.



— I nie spodziewałeś się pan nigdy, że pańska praca i wytrwałość wynagrodzone zostaną?

— Toby było głupotą, a nawet czemś jeszcze więcej. Moja praca nie mogła do niczego doprowadzić; niezaprzeczenie, jestem dobrym jurystą, cztery bowiem lata nad tem pracuję; ale stracony to czas, gdyż dla braku pieniędzy nie mogłem się wpisać i zapłacić należytość za egzamin i nie jestem ani doktorem, ani adwokatem i na zawsze niczem pozostanę.

— Jak w czarnem świetle przedstawiasz pan sobie przyszłość!

— Nie inaczej jaką jest.

— Nie spodziewasz się pan gdzie skąd jakiego spadku?

— Spadku, skądżebym go mógł dostać?

— Może po jakim krewnym.

— Jestem sierotą i nie mam ani rodziców, ani krewnych, w ogóle nie mam nikogo.

— O mój kochany przyjacielu! — zawołał Rodille po kilku minutach głębokiego milczenia — gdybym tylko mógł wypowiedzieć, jak mocno mi przejęła wiadomość o pańskiej przeszłości i jak słodko by mi było zobaczyć wreszcie pana szczęśliwym!

— Pan jesteś bardzo dobry i dziękuję panu za współczucie.

— Mów pan ze mną całkiem otwarcie, wymień mi pan sumę, której pan rocznie potrzebujesz do zupełnie niezawisłego życia i któraby pana szczęśliwym uczynić mogła.



— Moje potrzeby są bardzo skromne, dla mnie nie trzeba wiele.

— Powiedz pan, ile potrzebujesz?

— Sądę — odpowiedział Paweł po kilku sekundach namysłu — że dwa tysiące czterysta franków rocznie szczęśliwszym by mię uczyniły od milionera.

— A gdybyś pan przyszedł w posiadanie pięciu tysięcy franków renty, a więc kapitału stu tysięcy franków?

— Niezawodnie znalazłbym się w kłopotcie w skutek takiego dostatku i bogactwa. Pięć tysięcy franków rocznie wydaje mi się być bogactwem Krezusa, kopalnią złota w Peru.

— Jaką byś pan dał odpowiedź człowiekowi, któryby panu ofiarował sto tysięcy franków za to, że pan mu odstępujesz zupełne pełnomocnictwo w pewnej sprawie sądowej?

— Odpowiedź? przyjąłbym ją z największą radością i starałbym mu się odwdziaczyć, ale niestety, to tylko mrzonki, bo któżby był tak niemądrym, występować w obec mnie z podobnem żądaniem?

— To się pan mylisz.

— A więc byłby kto, któryby coś podobnego zrobił?

— Jest.

— A któż to?

— Ja, pański uniżony sługa!

— Ależ to żarty!

— Broń Boże; to najrzeczywistsza prawda. Jeszcze raz powiadam, ja ofiaruję panu sto tysięcy franków,



za odstąpienie mi zupełnego pełnomocnictwa w pewnej bardzo zawiślanej sprawie i chciej mi pan wierzyć, zresztą przekonasz się pan; rozchodzi się o spadek, dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków, który się panu prawidłowo należy, a o posiadanie tegoż ubiegają się już od dawna inni spadkobiercy, termin niezadługo wyjdzie i cała ta sprawa będzie wymagała długiego procesu i wiele kosztów, a wynik zawsze jest jeszcze wątpliwy. Za odstąpienie pańskiego pełnomocnictwa daję panu zaraz sto tysięcy franków, ponoszę wszystkie koszty, wyrzucam dwadzieścia pięć tysięcy, a potem, skoro stracę, następuje moja ruina. Gdy zaś proces wygram, to biorę do kieszeni sto dwadzieścia pięć tysięcy franków, co niemałą sumkę czyni! To rzecz prosta i łąkoma, jak pan widzisz. Nie przyjmiesz pan mojej propozycyi, to zostawię rzecz, niech idzie swoim trybem. Pojmujesz pan to wszystko jasno?

— Jak najjaśniej.

— Zgadzasz się pan czy nie?

— Panie Rodille, pan uważasz mię za głupca! Oczywiście, że się zgadzam i powtarzam to sto razy!

— To tem lepiej, i nic nie powinno pana odciągać od załatwienia tej sprawy. Ja już mam wszystko przygotowane, tu na stole leżą odnośne akta podpisz je pan!

— Ale.

— Cóż to, pan się jeszcze namyślasz?

— Broń Boże! ale nim się do tego zobowiązę, muszę wiedzieć...

— O mój kochany — odparł Rodille — pan się



o niczem nie dowiesz, to sekret. Kto najpewniej wygra, to tym jesteś pan sam i nie potrzebujesz pan nic, chyba rękę nastawić. Chcesz pan tak dalej żyć, jak dotychczas? zależy to od pana. Ależ podpisz pan, podpisz, ociąganie się pańskie może łatwo sprawić, że ja się cofnę.

Paweł Mercier wzdrygał się już na samo wspomnienie, że Rodille może czegoś podobnego dokonać; chwytając za pióro rzekł:

— A sto tysięcy franków?

— Pan otrzymasz, jeśli tylko nasza ugoda prawnocną się stanie.

Suma ta była dla młodego człowieka ogromną, albowiem dawała mu możność oświadczenia swej miłości Blance, pojąć ją za towarzyszkę życia swego, za małżonkę przed Bogiem i przed ludźmi... Co za promyk słodkiej nadziei! Przystąpił z drżącą ręką do podpisu.

— Dobrze, mój synu, dobrze — zawołał nikiemnik powstrzymując się przemocą od radości, potem schował podpisane papiery do biurka i rzekł: — Teraz jesteś pan bogatym.

— To znaczy, dopiero stanę się nim wkrótce.

— Pan już jesteś nim, w tej chwili należą już do pana sto tysięcy franków, tylko wciągnięcie do rejestru potrwa jeszcze parę dni; a teraz, abys pan nie cierpiał więcej niedostatku, masz tu pan tymczasem sto luidorów. Jest to niczem w obec tej sumy, którą mam panu zapłacić.

Rodille dobył dwa zwitki pieniędzy i dał je



Pawłowi, który nawet nie miał zamiaru prosić o zadatek.

— Sprawa nasza już ukończona — mówił dalej Rodille; — ale mamy jeszcze inną do załatwienia a ta jest niemniej ważną i zajmującą od tamtej; — podczas gdy Paweł uważnie się przysłuchiwał, mówił on dalej: — Szczęście, które pana spotkało i które pan tak świetnem nazywasz, zechce pana rozłączyć ze mną, i pojmuję, że pan tak niskie stanowisko nie zechesz zajmować; lecz życzyłbym sobie, abyś mi pan ofiarował jeszcze na parę tygodni swoje zdolności, swoją gorliwość i milczenie.

Paweł zaraz sobie pomyślał, że rozłączony z Rodillem już więcej nie będzie miał sposobności zbliżyć się do Blanki i natychmiast odpowiedział:

— Pozostanę tak długo, póki panu pomocnym być mogę.

— Dziękuję ci mój kochany przyjacielu, dziękuję; podziwiam pana, a pańskiem szczęściem tak jestem zachwycony, jak gdybym go sam doznał; ale proszę pana ani słowa nie wspominać o tem swoim towarzyszom, nie prawdaż?

— Bądź pan spokojnym, zamilczę o tem!

Paweł opuścił gabinet z rozpromienioną twarzą. Po raz pierwszy w swoim życiu miał złoto w kieszeni i po raz pierwszy zaświecił mu jasny promyk nadziei szczęśliwej przyszłości. Wśród chaosu myśli i uczuć wzbudziła się w nim jeszcze gorętsza miłość wobec córki Vaubarona, a w miejsce zazwyczaj wielkiej nieśmiałości uzbroił się w nadzwyczajną odwagę, zresztą był w tem mniemaniu:



— Gdybym Blanę zobaczył, odważyłbym się upaść jej do nóg, ofiarować jej moją miłość i przysiąc, że tylko śmierć mi pozostaje, gdyby wzgardziła moim majątkiem i moją ręką.

Przeprowadzenie Fryderyka Hornera do samotnego pomieszkania w ogrodzie przy ulicy Amandiers-Popincourt odbyło się trzy dni przed opisaniem zajściem, a Paweł nie wiedział jeszcze, że magnetyzer opuścił swoje zwyczajne pomieszkanie i Blanę ze sobą zabrał. W parę godzin potem, opuściwszy swą pracownię udał się Mercier na Boulevard du Temple, i pomimo że nie miał żadnego polecenia do doktora, to przecież zbliżył się ku domowi i chociaż nie spodziewał się swej ukochanej zobaczyć, to uczuł niepowsięgniową chęć, odetchnąć tem powietrzem, którem ona oddychała i przemówić do siebie:

— Tu ona mieszka, zaledwie parę kroków jesteśmy od siebie oddaleni.

## XX.

Paweł przybliżył się ku małej furtce, którą już znamy. Natychmiast wpadł mu w oczy napis Rodillego na miejscu, gdzie stała płyta miedziana. Chociaż się już zupełnie ściemniało, to jednak dochodzące światło lamp znajdujących się u wnijscia do gabinetu figur woskowych pana Kurcyusza, wystarczało do odczytania tamże umieszczonego napisu. Z łatwością odczytał Paweł to wyraźne pismo a smutna rzeczywistość jakby go gromem razila i zdało mu się, jakoby spadł na jego głowę jaki ogromny ciężar, zaćmiło mu się przed oczyma, tracił



przytomność jak gdyby był w obląkaniu.

Blanka zniknęła, opuściła Paryż, opuściła Francję a co nieszczęśliwemu w pierwszej chwili zdawało się być najdotkliwszym ciosem, to z drugiej strony tylko pistolet mógł być jego jedynym ratunkiem, ale jak na szczęście nie miał go przy sobie. W oplakania godnem położeniu przyszedł do domu a nagie mury powtarzały jego łkania. Dopiero nad ranem uspokoił się nieco Paweł i pomyślał sobie, tylko śmierć może rozdzielić dwa serca, jeżeli Blankę nawet wywieziono, to ona mię kocha; ponieważ był teraz bogatym, to nie mu nie przeszkadzało pójść w ślad za doktorem Hornerem; zawsze znajdzie się to, czego się szuka, skoro tylko mamy do tego środki. Przyszedszy więc do tych spokojnych uwag, odzyskał Paweł napowrót spokój duszy i udał się o zwykłej godzinie do biura.

Rodille już czekał na niego i rzekł:

— Mam z panem pomówić; chodź pan do mego gabinetu — i dodał — ależ jak strasznie pan wyglądasz! Co pan tej nocy robiłeś?

Młody człowiek nie chciał się natychmiast Rodillemu zwierzyć i nic nie odpowiedział; tamten znów nie był zbyt ciekawym.

— Nie mam prawa pytać się o to; ale zawołałem pana w tym celu, aby panu oświadczyć jedno zlecenie, które wymaga człowieka z zaufaniem.

— Rozporządzaj pan mną zupełnie.

— Już kilkakrotnie byłeś pan pośrednikiem między mną a doktorem Hornerem...

Paweł drżał z radości, gdy tymczasem towa-



rzysz jego przewracając akta nie spostrzegł na nim tej zmiany i z największym spokojem mówił dalej: — Doktor Horner nim przybył do Paryża popełnił w swej ojczyźnie jakieś polityczne przestępstwo i ma licznych nieprzyjaciół. Rząd tamtejszy żąda, aby go wydać, dla tego musi on jakiś czas ukrywać się w Paryżu.

— Ach — zawołał Paweł — doktor ukrywa się w Paryżu?

— Tak jest.

— Sam?

— Gdzie tam, ma ze sobą jasnowidzącą. Ale co to pana obchodzi? Znasz pan tę młodą dziewczynkę?

— Nie, nie! — odpowiedział z pośpiechem.

— Doktor powierzył mi swoją kryjówkę, ja zaś panu powiadam w sekrecie spodziewając się, że pan to dla siebie zatrzymasz, zwłaszcza że tu rozchodzi się o życie tego człowieka.

— Nikt na świecie nie dowie się o tem odemnie!

— Tu mam list do pana Hornera.

Paweł spojrział na adres i dowiedział się że doktor przybrał nazwisko byłego komisyonera Michała Leroux.

— A gdzież znajde doktora? — zapytał Paweł.

— Pójdiesz pan na ulicę Amandiers Popincourt pod Nr. 13, tam zobaczysz pan wysoki mur w ogrodzie z małemi drzwiczkami, a te panu otworzy służąca. Pytaj pan o Michała Leroux, a pana zaprowadzą do doktora, któremu pan mój list oddasz.

— Tak się stanie, spuść się pan na mnie. Mamże czekać na odpowiedź?



— Pan musisz ją dostać, a potem wracaj pan prędko.

Z największą uciechą udał się Paweł w drogę i więcej biegł aniżeli szedł. Od ulicy muzealnej był dość spory kawał drogi, a Paweł biegł prawie bez tchu. Na szczęście przyszło mu na myśl jego bogactwo i natychmiast wsiadł do fiakra obiecując dobrze zapłacić, byle tylko najprędzej jechał. Wreszcie stanął przed Nr. 13. i wszystko tak się stało jak Rodille zapowiedział. Służąca otworzyła drzwi czki a on znalazł się w ogrodzie, w którym był największy nieład; aby się mógł dostać do pawilonu musiał się z trudnością przedzierać przez krzaki i zarośla. Horner przyjął Merciera w pokoju na pierwszym piętrze, którego całe urządzenie składało się z kilku krzesel i czarnego biurka.

Magnetyzer szybko przeczytał pismo Rodillego.

— Dam odpowiedź — wyrzekł.

Podczas gdy Horner siadł do biurka, przystąpił Paweł do okna i spoglądał na ogród, który właśnie za domem się znajdował. Mur, który ten ogród od wąskiej uliczki oddzielał, tworzył z ulicą Amandiers Popincourt róg, a tuż obok stała rozłożysta lipa, której gałęzie nad mur wystawały.

— Ktoby tu chciał w nocy dostać się — pomyślał Paweł — ten nie znajdzie wielkiej trudności, drzewo to bowiem posłużyło by mu za drabinę.

Wkrótce opuścił wzrok jego lipę i zwrócił się na całą okolicę ogrodu, w tem podwoiły się bicia jego serca, gdyż pod gałęziami rozłożystego jaworu, ujrzał w czarnem odzieniu niewieścią postać i cho-



ciaż nie poznawał jej odrazu, przecież przeczuwał, że to pewnie musi być Blanka. Spokojnie siedząc, niekiedy tylko przykładała do swych oczu chusteczkę.

— Czy ona płacze? — zapytał siebie młody mężczyzna pełen niepokoju — cóż jej jest? o gdybym ja wiedział! Ja muszę się dowiedzieć!

Horner skończył tymczasem list, wstał i dał go Mercierowi mówiąc:

— Masz tu pan moją odpowiedź, zanieś ją pan natychmiast na ulicę muzealną.

— W godzinie już będzie ją miał pan Rodille. Czy masz pan, panie doktorze jeszcze co ustnie prócz listu dodać?

— Nie mam nic.

— To dobrze.

Paweł uklonił się, opuścił pokój na pierwszym piątrze. Zaledwie wyszedł, a już przyszło mu na myśl to miejsce, gdzie siedziała w ogrodzie niewiasta. Zwrócił więc swe kroki w lewo i rzeczywiście zobaczył na kanapie darniowej Blankę. Gdy Blanka spostrzegła że ktoś idzie, przeraziła się i chciała uciekać, lecz gdy podniosła oczy, przekonała się, że to ten sierota!... natychmiast wypogodziło się jej oblicze, a słodki uśmiech oblał jej usta, podała Pawłowi rękę i rzekła cicho ale z głębokim uszanowaniem:

— Ach, jestem szczęśliwą widząc pana, gdyż obawiałam się, że już na wieki nas rozłączono.

Kochanek odurzony chwycił jej drobną rączkę którą mu podała, głęboka tęsknota ogarnęła jego serce, skoro się przekonał, że Blanka rzeczywiście



plące. Oblicze jej było blade, oczy poczerwieniałe a lica zwilżone świeżemi łzami.

Nieszczęśliwa zapewne długo płakała.

## XXI.

— O moja pani! — zawołał Paweł — więcej jak pani obawiam się rozłączenia. Gdym się dowiedział żeś się pani przeprowadziła, nie wiedziałem weale dokąd i byłem bliskim szaleństwa.

— Zdaje mi się, doktor ma ważne przyczyny w ukrywaniu naszego pobytu — odpowiedziała Blanka.

— Czy on wie, że pan tu jesteś?

— Tak jest; mówiłem z nim właśnie. — Przy tych słowach popatrzył w górę i zdawało mu się, że w oknie pierwszego piętra ujrzał bladą, ponurą twarz Hornera. Strach go objął.

— Jeżeli mię doktor zobaczy przy Blance — mówił do siebie — to wszystko stracone, on przeczuwa moją miłość, on mi nie dowierza, i ten dom będzie dla mnie na zawsze zamknięty.

— Blanko — rzekł żywo, lecz cicho. — Doktor patrzy z okna na drzewa, które nas otaczają; muszę się natychmiast oddalić, chociaż mam pani jeszcze wiele do powiedzenia. Czy możesz pani przyjść wieczór do ogrodu?

— Zapewne. Nikt się tu o mnie nie troszczy; nie trzymają mnie w zamknięciu.

— Więc bądź pani o dziewiątej wieczór na tem samem miejscu. Nie będę zwlekał przyjść tutaj.

— Przrzekam czekać na pana. Lecz jakże wejdziesz tu pan bez wiedzy doktora?



— Uda mi się to.

— Czyż pan nie narażasz się na niebezpieczeństwo.

— Weale nie.

— Proszę, nie narażaj się pan na żadne, jeżeli obchodzi pana szczęście i spokój biednej sieroty. Byłabym znowu samą na świecie, gdyby mi pana zabrakło.

— Bądź spokojną, moja droga Blanko; zapewniam jeszcze raz, że na nic się nie narażam.

Mercier uściskał jeszcze raz dłoń młodej pięknej, na pół tylko jego zapewnieniem uspokojonej dziewczycy i zwinnie jak lis wyszedł na zewnątrz.

Wkrótce zjawił się u Rodillego i przyniósł mu odpowiedź doktora. Przez cały dzień oczekiwał z niecierpliwością godziny, w której miał zejść się z Blanką.

Wreszcie nadszedł wieczór. Paweł szedł wzdłuż długiego muru, wszedł na uliczkę schodzącą się z ulicą Amandiers-Popincourt i stanął wreszcie pod lipą, której rozłożyste gałęzie tuż po nad mur wystawały. Byłato wprawdzie dopiero godzina ósma, to jednak nie przeszkadzało mu pochwycić gałąź lipy i zwinnym rzutem wyskoczyć na mur, a stamtąd dostać się do ogrodu.

Wszystko było tu w głębokiej pograżone nocy, i tylko w jednym oknie zauważył Paweł światło i cień chodzącego po pokoju Hornera. Będąc pewnym, że doktora nie spotka, chodził młody człowiek po ogrodzie aż wreszcie usiadł na tej samej ławce, gdzie dziś już spotkał Blankę. Serce biło mu gwałtownie. Wreszcie uderzyła godzina dziewiąta, a Pa-



węł posłyszał lekkie stapanie i ujrzał niewyraźną postać do niego się zbliżającą.

— Blanko — szeptał Paweł — Blanko, czy to pani?

— Ja jestem, — brzmiała odpowiedź.

— Pomimo ciemności spotkały się dłonie kochanków, i córka Vaubarona usiadła na ławce obok Pawła.

— Mówiłeś mi pan dzisiaj, mój przyjacielu, że masz mi udzielić ważną nowinę — mówiła Blanka przerywając chwilowe milczenie.

— O tak, wielką i szczęśliwą, droga Blanko.

— Rozciekawiasz mię pan.

— Mówiłem pani, że czuję dla niej taki wewnętrzny pociąg, jak brat ku siostrze. Przypominasz to sobie pani?

— Czy sobie przypominam? I pan możesz o to pytać. Czy się zapomina o tem, co jest najdroższem na świecie?

— A więc gdy to pani mówiłem, okłamywałem panią i siebie.

— Co pan mówi? — zawołało młode dziewczę przerażone. — Pan mię okłamałeś, pan mię więc nie kochasz?

— Nie, nie. Blanko, nie kocham panią jak brat, lecz stokroć razy więcej!

— Więc pan mię kochasz jeszcze?

— Ach kocham tak, jak tylko można duszą i ciałem, jak można kochać tylko tę, którą się obiera za towarzyszkę życia, jak tę, która ma dzielić wesela i rozkosze i łzy, krótko, całe moje życie. Tak, ja kocham panią, lecz nie jak brat ale jak kocha-



nek. Blanko, chcesz być moją żoną?

— Pańską żoną! jestże to możliwe Pawle?

— Zupełnie, skoro tylko pani zezwoli.

— O, odemnie to nie zależy.

— Od kogóż więc?

— Od doktora.

— On nie jest ani ojcem pani, ani krewnym, ani opiekunem. On nie ma prawa do pani, pani jest własną władczynią swego serca, swej ręki; pytam panią na nowo i zaklinam na kolanach, dasz mi pani swe serce i rękę.

— Moje serce należy do pana, i kocham pana jak tylko kochać można.

— A pani ręka?

— Czyż jej pan nie masz, czy wzbraniam ją panu?

— Blanko, droga Blanko! Jak ja cię kocham! O pani będziesz szczęśliwą, przysięgam na Boga!

— Wierzę panu, i nie mię bardziej nie uszczęśliwi. Lecz dlaczego pan pierwej o tem nie mówiłeś?

— Nie miałem prawa wyznawać pani swą miłość, dopóki byłem ubogim.

— I cóżby to przeszkadzało?

— Nie, z pewnością nie; nędzę można znieść z poddaniem, lecz traci się odwagę na myśl, że posiadając kochaną kobietę, można ją pozostawić wdową bez chleba, opieki i nadziei. Widzisz więc, moja droga Blanko, że kochałem panią i ubóstwiałem, lecz wyznać jej tego nie mogłem?

— A dzisiaj?

— Dziś już co innego; jestem bogatym, albo



będę nim w kilka dni.

— Jakimże sposobem spotyka pana to szczęście?

— Spadło właśnie na mnie z nieba; dostałem spadek po nieznanym mi krewnym, który zmarł przed trzydziestu laty. Krótko, jest to dziwne zdarzenie, i opowiem je pani, gdy się dowiem o bliższych szczegółach. Każdorazowo jednak nie przyszło to szczęście nikomu tak w porę jak mnie. Wystaw sobie pani: jesteśmy bogaci, mamy sto tysięcy franków!

— Sto tysięcy! — powtórzyło dziewczę, któremu ta suma wydała się tak wielką jakby Paweł powiedział; dwadzieścia milionów; potem rzekła: — Lecz cóż będziemy robić z temi pieniędzmi, mój przyjacielu?

— Będziemy używać tylko procentów, co dla nas więcej jak wystarczy; co nam pozostanie będziemy dzielić między ubogich, zaręczam, że dosyć jest takich; wczoraj należałem sam do nich.

— O Pawle! zawołała Blanka, Pan jesteś dobrym i podziwiam cię tak, jak cię kocham!

— Ponieważ myślę nad tem, aby dobrze czynić. O powiedz pani tylko, żem nie zły, a będę tem zadowolony. Lecz dosyć o sobie powiedziałem. Mówmy teraz o tobie moja droga Blanko, a mów pani o twarcie, i myśl że mąż mówi z panią.

Gdyby nie ciemności były Mercier zauważył na obliczu pięknej dziewczycy rumieniec, i wesóły uśmiech przebiegający jej usta.

— Pytaj mnie mój władco, twa sługa odpowiada, rzekła Blanka.



— Dziś rano płakałaś pani bardzo.

— Tak to prawda, czułam się bardzo smutną, bardzo nieszczęśliwą; lecz teraz minął już smutek i zaledwie go sobie przypominam.

— Lecz musisz sobie przypominać, moja droga Blanko, co wycisnęło łzy twoje.

— Pan chcesz to wiedzieć?

— Tak jest.

— Słuchaj więc. Najprzód wiedz pan; że mam starą biblię. Nie prawda, mój przyjacielu, że pan cenisz biblię bardzo wysoko?

— Któżby tej księgi, od wszystkich uświęconej nie szanował? tej księgi, która nam myśl i wolę Boga objawia?

— To prawda, to prawda, szeptała Blanka, uszczęśliwia mnie to, że słyszę pana to mówiącego; lecz nie każdy myśli tak o tem jak my.

— Cóż dalej, proszę.

— Ta książka jest mi bardzo drogą, bo była ona własnością mego ojca, który ją wysoko cenił, jest to spadek naszej rodziny, a gdy patrzę na tę starą księgę, to zdaje mi się, że ona mi mówi, że chociaż jestem sierotą, to przecież miałam kiedyś rodzinę.

Blanka przerwała aby otrzeć łzy.

— Dziwnem zrzędzeniem losu dostała się ona znowu w moje ręce. Wszelkimi sposobami starałam się ją ukryć przed oczami doktora: dziś jednak, gdym właśnie z drogą księgą w ręku na to miejsce udać się zamierzała, chciało nieszczęście, że m się we drzwiach domu z doktorem spotkała, myślałam,



że on jest w swym pokoju.

— Pani wychodzisz? zapytał on.

— Idę do ogrodu, odpowiedziałam.

— Nie na to nie odpowiedział, lecz gdy zobaczył w fałdach mej sukni książkę, którą ukryć usiłowałam, zapytał co mam.

— Książkę, mój panie.

— Widzę to; lecz jaką książkę?

— Ponieważ nie dość prędko odpowiedziałam, wziął sam książkę i otworzył. Nie mogę panu dosyć określić, jakim gniewem zawrzał i zawołał:

— To biblia, i taka książka w moim domu. Do kroćset dyabłów, to za wielka bezwstydnosć!

— Jego gniew wzrastał w szal i gwałtownosć, rzucił książką o ziemię i chciał ją podeptać, lecz ja chwyciłam ją i wybiegłam do ogrodu na wpół umarła z przestachu, który ściszał me serce. Od tej chwili płakałam dotąd, dopóki pan nie nadszedł. A teraz, drogi przyjacielu, znasz przyczynę mych łez.

— O ten człowiek — mówił Paweł tonem przekonania — ten człowiek godzien wzgardy!

— Pewnie, pewnie, — dodała Blanka, — jak można obchodzić się tak z biblią!

— I cóż zrobiłaś pani z książką?

— Nie odważyłam się zanieść ją do swego pokoju, doktor Horner mógłby mi ją w czasie mej nieobecności wynaleść.

— A gdzie masz ją pani teraz?

— Ukryłam ją w tem wydrążonem drzewie.

— Gdy przyjdzie niepogoda, to deszcz ją zniszczy.

— Mój Boże, to prawda, lecz cóż pocznę?



— Powierz mi pani swój skarb; dobrze?

— O tak, to najlepiej. U pana czy u mnie, to teraz wszystko będzie nasze wspólne!

— Daj mi pani swą drogą książkę i nie obawiaj się o nią.

Blanka podniosła się, znikła w ciemności, w kilka sekund powróciła i dała Pawłowi księgę, którą on ucałował i powiedział:

— Przysięgam pani, że będę tę księgę szanował tak jak i pani. Zresztą nie na długo się pani z nią rozłączy, gdyż niedługo zostaniesz pani w tym domu.

— Któż mnie zabierze?

— Ja!

— Dokądże mnie pan zaprowadzisz?

— W pewne miejsce schronienia, dopóki się nie pobierzemy.

— Moje zaufanie jest głębokie, bez granic i ślepe; przyznaję panu prawo prowadzić mnie; co mi czynić polecisz, to się stanie i idę sama, dokąd pan żadasz. Lecz widzę więcej jak jedną przeszkodę.

— Ja zaś żadnej!

— Doktor będzie się starał wszelkimi sposobami wstrzymać moje oddalenie.

— Nie będziemy go długo prosić o pozwolenie. Pewnego pięknego wieczora odejdziemy razem, na drugi dzień rano znajdzie on klatkę próżną.

— Pan nie znasz Hornera. Nie jest to człowiek co się poddaje bez oporu; nie da się niczem zbić i będzie mnie wszędzie szukał.

— O ja wierzę mu, lecz ty nie znasz, droga Blanko, położenia tego człowieka; on jest ciężko



skompromitowany i musi się sam ukrywać; nie może więc ani nawet myśleć o tem aby nas niepokoić.

— Kiedyż odejdziemy?

— Skoro tylko będę miał ten majątek, który Bóg mnie, a raczej nam obojgu zesłał.

— Czy to długo potrwa?

— Nie; za dwa lub trzy dni otrzymam od Rodilla sto tysięcy franków.

— Od Rodilla! — szeptało dziewczę z wzrastającym niepokojem. — Rodille więc pana wzbogaci?

— On sam.

— Jesteś pan pewnym, że on cię nie oszukuje?

— Najzupełniej! Jego sprawiedliwość jest pewną jak skała, a zresztą są jego własne interesa z naszymi tak spojone, jak moje.

— Rodille jest przyjacielem doktora, nie dowierzaj mu więc pan. Pawle, kochany Pawle, tylko roztropnie i ostrożnie; pomyśl pan, że nasze szczęście, nasza przyszłość od tego zależy.

Rozmowa kochanków trwała godzinę; potem umówiwszy się zejść w następny wieczór o tej samej godzinie i w tem samym miejscu rozłączyli się. Za ledwie Paweł przyszedł do domu, zapalił lampę i przy jej świetle oglądał księgę, którą Blanka tak często czytała. Nie świadomy herbów, nie zwracał Mercier uwagi na herb na okładce. Oglądnąwszy wierzch, otworzył księgę, a jego wzrok padł na żółtką kartkę, gdzie były zapisane dnie urodzenia, zaślubienia i śmierci rodziny Vaubaron.



Ten rodzaj drzewa genealogicznego zwrócił jego uwagę, bo ostatniem imieniem było imię ukochanej Blanki, a zarazem był tam dokładnie podany dzień jej urodzenia. Nieraz myślał on w ostatnich dwu dniach, w jaki sposób dostanie papiery potrzebne do zaślubienia Blanki, gdyż brakowało mu jeszcze tego punktu, który teraz na pierwszej karcie biblii znalazł.

### XXIII.

Między imionami przodków młodego dziewczęcia znalazł imię kobiety, której walkę z śmiercią widzieliśmy — imię Marty Bernard.

— Czyż i Blanka należy do rodziny André Bernard? — zapytał siebie Mercier. — Jej zmarła matka była ostatnią z Bernardów. Lecz czyż nie mam na sobie dowodu, że czasem najnieprawdopodobniejsze jest możliwe? To niespodzianie z nieba spadłe dziedzictwo jest moje i Blanki.

Upłynęło część nocy; Paweł zamknął biblię i sto luidorów do szuflady szafy, położył się i usnął. W śnie stał on uszczęśliwiony w oświetlonym kościele przed ołtarzem, a obok niego Blanka w białym stroju. Pod pomyślnym wpływem takiego słodkiego snu wstał Paweł i poszedł do swej pracowni.

Gdy się zbliżała godzina obiadu nadszedł Rodille, a Mercier rzekł do niego:

— Proszę pana o chwilę rozmowy.

— Dobrze, chodźmy do mego gabinetu. Chcesz pan mówić o naszej ugodzie — mówił Rodille zamykając drzwi. — Możesz pan być pewnym że



w przeciągu dwu dni dam panu jeszcze osmdziesiąt tysięcy franków.

— O tem nie myślę; w tej chwili zajmuje mię zupełnie inna sprawa.

— Jakaż?

— Od dłuższego czasu szukasz pan napróżno spadkobierców owego André Bernard.

Rodille przelął się i pomyślał niespokojny:

— Czyż on wątpi o czem?

Nie dał jednakowoż poznać tego po sobie i rzekł najobojętniej:

— W istocie długo już szukam i pan wiesz ile trudu sobie zadawałem; masz pań może przypadkiem lepsze skutki?

— Nazywasz pan to przypadkiem, i słusznie, gdyż on to jest, który mi dozwolił zrobić bardzo ważne odkrycie.

— Masz pan więc ślady?

— Tak jest.

— Znalazłeś pan jakiego krewnego?

— Przynajmniej jedną Bernard.

— Jakże to być może, że się ten Bernard na moje ogłoszenia w dziennikach nie zgłosił?

— Bardzo łatwo wytłómczyć. Chodzi tu o młode dziewczę, sierotę, która żyje całkiem ukryta.

— Młode dziewczę. mówisz pan, nazywa się Bernard?

— Nie, jej matka tak się nazywała, jej imię jest Vaubaron.

Rodille był bliski omdlenia, jasny rumieniec okrył jego twarz, lecz na swe szczęście stał w cieniu



tak, że Paweł nie mógł spostrzedz zmiany w nim, zresztą wystarczała mu minuta, aby odzyskać na powrót przytomność umysłu. Zakaszlał silnie, żeby usprawiedliwić swój niepewny głos i rzekł:

— Czy są papiery udowadniające pochodzenie młodego dziewczęcia?

— Przynajmniej dokument, za pomocą którego łatwo się postarać o inne.

— Jestże on w pańskich rękach?

— Tak, mój panie.

— Na czymże on polega?

— Jestto pisemna notatka na pierwszej stronie biblii, która należała do tej rodziny.

— Jestże pewną ta notatka?

— Ręczę za to.

— W jaki sposób dostała się ta biblia w pańskie ręce?

— Dziewczę dało mi ją samo.

— Dzisiaj?

— Nie, wczoraj wieczór.

— Gdzież ona jest?

— W moim pokoju, przyniosę ją zaraz.

— Nie, teraz nie. Mam dla pana bardzo pilną robotę i proszę byś ją zaraz wypełnił; ja sam muszę teraz napisać bardzo ważny list, naszą sprawę załatwimy wieczór. Zapraszam pana na obiad, a przy nim zbadamy tę książkę dokładnie, a musimy się zebrać pilnie do dzieła, gdyż przy wszystkich papierach dotyczących rodziny Bernard, chodzi o spadek, jak to panu wiadomo. — Idź więc pan do swej pracy i nie trać ani minuty.



Rodille wziął plik aktów, który mu wpadł w rękę, wyszukał największy kawałek i dał panu Mercier, aby go dokładnie odpisał.

W dwie godziny później, a zatem około szóstej wieczór, nie ukończył jeszcze młody człowiek swej pracy, gdy dwu kelnerów pierwszych restauratorów z Palais Royal przyniosło zamówiony przez Rodilla obiad i pół tuzina omszonych butelek, które miały pragnienie jedzących dostatecznie zaspokoić. Gdy wszystko było gotowe zawołał Rodille:

— Do stołu, do stołu!

— Ależ mój panie, jeszcze nie gotów.

— Jutro jest także dzień. Dobremu obiadowi nie można dawać czekać.

Obiad był wyborny. Obaj panowie usiedli na przeciw siebie.

— Jeżeli się panu podoba, mój młody przyjacielu — mówił Rodille napełniając lampki — to mówmy o wszystkim, co nam jest miłe i przyjemne, ważniejsze rzeczy zostawimy na poobiedzie, bo one wymagają uwagi i nie znoszą roztargnienia.

— Jestem zupełnie do pańskich usług.

Paweł był miernym z przyzwyczajenia, i od urodzenia nie pił nie prócz wody; nie znał więc działania pełnych lampek, które wypróżniał, a Rodille ciągle napełniał. Po pierwszej butelce nie był wprawdzie spitym, ale w tym stanie, w którym się każdemu serce otwiera, a Rodille chciał właśnie z tego stanu, który umyślnie sprowadził, skorzystać. Udawał on rzeczywiście szczerego przyjaciela pana Mercier i znalazł dość środków, aby nie stawiając



pytania, dowiedzieć się wszystkich jego tajemnic; a Paweł oszołomiony otwartością i serdecznością jego, udzielił mu zupełnego zaufania. Opowiadał mu o pierwszym spotkaniu się z Blanką, o widywaniu się z nią w ogrodzie na Boulevard du Temple, o zamierzonym zaślubieniu i o schadźce w tym dniu. Mówił o biblii rodziny Vaubaronów i o wszystkich niepewnych nadziejach, jakie w nim imię Bernard obudziło. Po tem przynajmniej dwadzieścia razy przerywanem opowiadaniu oparł łokiec i głowę o stół.

— Wiem wszystko, com chciał — pomyślał Rodille, i nie mi nie przeszkadza zakończyć tę sprawę.

Równocześnie poruszył ramiona młodego człowieka, aby go rozweselić i rzekł wesoło:

— O mój kochany Pawle, piję na pomyślność waszej miłości: zdrowie pięknej Blanki Vaubaron, pańskiej hożej narzeczonej!

— Ja także piję, ja także piję z panem! bełkotał Paweł napelniając lampkę winem z nad brzegów Rodanu. Lecz zaledwie jeden haust pociągnął, gdy wyrzekł kilka słów niewyraźnie, oparł się głową o stół i usnął.

#### XXIV.

— Wyśmienicie! A teraz do dzieła, — zawołał Rodille widząc, że Paweł usnął snem upojenia. Wziął latarnię i zeszedł po wschodach domu. Była jedenasta godzina, wszyscy mieszkańcy domu spali. Zamek u drzwi Pawła był tak słabym, że Rodille wszedł do pokoju z wszelką łatwością. Urządzenie mieszkania było bardzo ubogie, łóżko, krzesło słomą



okryte, stół chwiejący się i komoda, to wszystko, co się w pokoju znajdowało. Rodille otworzył komode, zabrał biblię, sto luidorów i co lepsze ubranie, aby Paweł myślał, że został od zwykłych złodziei okradzionym. Potem powrócił napowrót, ukrył skradzione przedmioty i wszedł do gabinetu, gdzie zastał Pawła jeszcze śpiącego, usiadł naprzeciw niego i usnął z spokojnem sumieniem. Paweł obudził się pierwszy.

— Co to znaczy? — mówił on oglądając się na około. — Co to się stało, czyż ja jeszcze śpię?

Widział nakryty stół, talerze, różne butelki i Rodillego, który naprzeciw niego spał.

— A, przypominam sobie, przypominam; jedliśmy tutaj, ja się upiłem a mój szef także. Niemierność jest przecież straszną zbrodnią!

Wyciągnął rękę po flaszkę wody, aby się orzeźwić, lecz flaszką wypadła mu z ręki. Brzęk obudził Rodillego, który ujrzawszy zakłopotane oblicze Pawła, rozśmiał się głośno.

— Ach, mój drogi przyjacielu, jesteśmy obaj dziarskimi! Wypróżniliśmy pięć butelek i zasnęliśmy przy stole.

— Nie jestem przyzwyczajony — mówił Paweł zawstydzony.

— Ach na cóż się usprawiedliwiać — odpowiedział Rodille. — Co się stało to wychodzi na naszą pochwałę; obaj nie jesteśmy pijakami, bo żyjemy tylko miernie, a mierność jest największą ozdobą męża.

— To prawda! — rzekł Paweł tonem głębokiego przekonania.



— Wczoraj wieczór, jeśli mię pamięć nie zawodzi, mówił Rodille dalej, mówiliśmy o ważnych rzeczach, aleśmy nie skończyli: to nie dobrze, masz pan ochotę mówić dalej.

— O pewnie, mój panie — odrzekł Paweł, który na pierwszą myśl o Blance zupełnie oprzytomniał.

— A więc przynieś pan książkę, o której mówiliśmy, która poprowadzi nasze badania i objaśni o imieniu Bernard.

— W tej chwili powrócę.

— Ja przegładnę tymczasem akta o Bernardach.

Mercier opuścił biuro i pobiegł na poddasze, lecz gdy chciał szukać klucza do pomieszczenia, ujrzał że ono było otworzone.

— Mój Boże, co to ma znaczyć?

Szybkim skokiem znalazł się w pokoju i struchlał, gdy zobaczył, że szuflady od komody były wysunięte. Biblii i pieniędzy nie było. Wydał dziki okrzyk, rwał włosy z głowy, zbiegł jak szalony po wschodach i nieprzytomny stanął przed Rodillem.

— Panie i Boże! — zawołał ostatni z dobrze udanem przerażeniem. — Co się panu stało, mój kochany przyjacielu? Spotkało pana nieszczęście? Czyś pan nagle zachorował?

— Okradziono mię! — wołał nieszczęśliwy.

— Myślę że nie wiele!

— Wszystko, co posiadałem drogiego?

— Pieniądze, ubiór?

— Nic by na tem nie zależało; więcej, jak to wszystko razem, ową drogą biblią.

— Ależ, moje dziecię, sprawa nie jest tak zła.



Książka jest prawie bez wartości.

— Co, bez wartości! Boże sprawiedliwy na niebie, tak mówić! — wołał Paweł z rozpaczą. — O gdybym miał wszystkie dobra na ziemi, oddałbym, abym mógł napowrót otrzymać tę książkę.

— Co pan chcesz mój młody przyjacielu, ja nie jestem zakochany i patrzę na takie rzeczy spokojniejszym okiem.

— Czyli inaczej, że pan ma kamień zamiast serca; gdyż nie pana wzruszyć nie potrafi. Pan nie rozumiesz nawet mego położenia. Co z tego będzie? Czyż nie ciąży na mnie pozór nędznika, który nawet najdroższej rzeczy, którą mu powierzono, zachować nie potrafi? Jak mocno zawiniłem w oczach Blanki, która całą swoją przyszłość w moje ręce złożyła. Czyż nie zarzuci mi, że dałem sobie zrabować jej największy skarb, nie broniąc go wcale. Ona nie będzie mię kochać, lecz pogardzać, ona odepchnie mię od siebie. O jakżem ja nieszczęśliwy i biedny!

Paweł ukrył twarz w rękach i upadł bezwładny w krzesło. Rodille pocieszał go wszelkimi rozumowemi podstawami, lecz Paweł, jak to zwykle chorzy robią, usuwał lekarstwa, które mu podawano.

— Ależ mój panie, pan rozpaczasz zupełnie niepotrzebnie. Jeszcze nadzieja nie stracona.

Paweł podniósł zwilżone oczy.

— Co pan mówi? mogę otrzymać zrabowany mi przedmiot?

— Spodziewam się, że jeżeli nie suknie i pieniądze, to może biblią.



— Tłumacz się pan jaśniej, nie mam dużo czasu do mówienia.

— Mój Boże, rzecz całkiem prosta, pieniądze znikają, a zresztą jeden luidor podobny bō drugiego, tak samo i suknie, dlatego radzę panu nie pytać się nawet o nie u handlarzy. Lecz inaczej ze wspomnioną książką, którą łatwo można poznać po jej opisaniu.

— Bardzo łatwo, bardzo, po czarnej oprawie srebrnych klamrach, po złotym herbie — nie można się omylić.

— Bardzo jest prawdopodobnem, że za kilka dni sprzeda złodziej tę książkę u antykwarza za kilka sous; nie zachowa on jej aby studyować wzniosłe nauki.

— Rozumiem; pan masz słuszność! To oddaje mi życie! — zawołał zakochany — biegnę natychmiast, aby przeglądać wszystkie sklepy.

— Niepotrzeba!

— Jaktó?

— Ponieważ to, co pan chcesz uczynić jest gorszem od tego, co ja zrobię.

— Powiedz mi więc pan przynajmniej.

— Co ja zrobię? Całkiem prosta rzecz. Znam jednego z policyi, ten już to załatwi. Pójdę do niego jeszcze przed obiadem, opowiem co się stało, a on zarządzi poszukiwania, a jeżeli stary szpargał jest w Paryżu, to w przeciągu trzech dni będzie w pańskich rękach.



## XXVII.

— Zrób pan to! Ale natychmiast, mój panie! — wołał Paweł. — Postaraj się pan o to aby zaraz zarządono poszukiwania, a jeżeli otrzymam napowrót książkę, to wtedy będziesz pan moim dobrodziejem, moim drugim ojcem, a moja wdzięczność będzie bez granic.

— Spuść się pan na mnie, kochany Pawle! — odpowiedział Rodille, ściskając mu ręce — będę się starał o to najusilniej, jakby o własną sprawę.

Młody człowiek podziękował Rodillemu i uspokoił się. Rodille zaś działał jak zwykle i udając że uda się do policyi, skłonił Pawła do nieczynności a przez to przeszkodził doniesieniu jego policyi i poszukiwaniom, któreby wskutek tego nastąpiły. Skoro tylko został sam; zbadał dokładnie pierwszą stronę biblii i przekonał się, że Blanka, córka Marty Bernard a przez nią siostrzenica barona de Viriville jest najbliższą spadkobierczynią tego milionera. Wskutek jej niezaprzeczonego prawa zniknęły pretensye Pawła i tylko gdyby przypadkowo tej siostrzenicy nie było, Mercier byłby jedynym spadkobiercą.

— A więc przecież dwoje — szeptał Rodille. — Jeden należy do mnie, a druga w najbliższej przyszłości będzie także moja.

Nędznik wziął ze szafy akt, za który przyrzekł Pawłowi sto tysięcy franków, czytał go uważnie od początku do końca. Spierając czoło na dłoni, myślał prawie godzinę; plan był już gotów, a on



nie wahał się ani chwili w czyn go wprowadzić.

Ubrawszy się do wyjścia rzekł do Pawła, znajdującego się w swem biurze:

— Pan wiesz, dokąd idę, czekaj więc pan na mnie a ja opowiem panu o skutku moich usiłowań.

Paweł nie myślał weale podnosić się z swego miejsca, bo najprzód oczekiwał z niecierpliwością doniesienia Rodillego, a powtóre, dokąd miał się udać? Do godziny schadzki z Blanką było jeszcze daleko, a zresztą nie odważył się stawać przed nią, dopóki droga księga w jego rękach nie będzie, bo gdyby się ona zapytała o nią, czego oczekiwać należało, czyż miałby on kłamać albo wyznać jej że jej skarbu już nie ma? Obu wypadków obawiał się. Dopiero o pierwszej godzinie zjawił się Rodille, i Paweł zaraz przy jego okazaniu wybiegł naprzeciw niemu wołając błagalnym głosem:

— Cóż, mój panie, jakże?

Rodille dał mu znak, aby poszedł za nim do jego gabinetu, i rzekł do niego:

— Mam wiele nadziei.

— W czymże ona polega?

— Mówiłem z bardzo ważną osobą, która przyrzekała mi pomoc.

— O to bardzo dobrze, doskonale! Opowiedziałeś mu pan wszystko?

— Całkiem naturalnie i dodałem, że pan pod każdym względem zasługujesz na współczucie. Pojął on zupełnie ile panu zależeć musi na tej księżce, bo chociaż ona jest bez wartości, to jednak została panu powierzona i od niej zależy cała przyszłość



powabnego dziewczęcia. W mojej obecności wydał stosowne rozkazy, i to w sposób, który najobfitsze za sobą pociągnie skutki: — Ja chcę, wiedz pan o tem dobrze, ja chcę, aby ta książka została odkryta, a który z naszych agentów ją odszuka, będzie bardzo dobrze zapisanym. — Jeżeli jaki szef w ten sposób mówi, to możesz pan być przekonanym, że pilność jego podwładnych będzie bez granic. W tej godzinie już rozpoczęto poszukiwania, a prowadzą je mistrzowskie ręce, kochany Pawle.

— Pan jesteś prawdziwie moją Opatrznością! — zawołał Paweł — lecz powiedz mi pan, czy ta osoba myśli o pomyślnym wyniku?

— Ten pan dał mi przynajmniej to zapewnienie, że właśnie ta książka, którą złodziej zabrał, odda go w ręce sprawiedliwości.

— Pewnie! pewnie! książka go musi zdradzić!

— Nabierz więc pan odwagi i bądź przekonanym, że za dwa najpóźniej trzy dni będziesz mógł zanucić pieśń zwycięstwa. Myślę nawet, że ta książka zaprowadzi nas na ślad sukien i pieniędzy.

— Zapewniam pana, że nie zapytam o nie więcej. Za tę bibliję oddałbym z przyjemnością wszystko, co posiadam!

Rodille użył dobrze tego dnia. Zamiast udać się do biura policyi, jak to Paweł w swej niewinności myślał, udał się do małego domku przy ulicy Neuilly, gdzie liczne przygotowania, o czem później powiemy, jego obecności wymagały. Potem napisał list starannie ukrywając charakter pisma do pana M. Leroux byłego kupca przy



ulicy Amandiers-Popincourt Nr 13.

— Ktoś, który nie ma zaszczytu być znanym od M. Leroux, życzy sobie udzielić mu ważnej wiadomości co się tyczy osoby Dr. Hornera, odnosi się to mianowicie do sprawy tego mądrego i sławnego magnetyzera. Pan Leroux będzie więc łaskaw być dziś wieczór o ósmej w Café Vestale na Boulevard Beaumarchais obok placu Bastylli. Autor tych liter zna pana Leroux i da się poznać.

Ten osobliwszy list, całkiem odpowiedny, aby Hornera zaniepokoić, oddał Rodille komisynerowi ze zleceniem, aby go natychmiast na miejsce przeznaczenia odniósł.

— Gdyby się ktoś zapytał, kto dał ten list, to powiedz że niski starzec o białych włosach i zielonych okularach.

— Dobrze; mały starzec, zielone okulary, białe włosy.

— Tak. Oto czterdzieści sous za odniesienie listu a trzy franki za milczenie.

Komisyner pobiegł ile mu sił starczyło, a Rodille udał się na ulicę muzealną, gdzie mówił z Pawłem, o czym już wspomnieliśmy.

Okolo godziny ósmej pojechał fiakrem w pobliże Café Vestale i zobaczył Hornera idącego po wschodach. Magnetyzer przeczytawszy wzmiankowany list, ciekawością zdjęty udał się na miejsce przeznaczenia.

Rodille widząc to kazał woźnicy zwrócić w ulicę Amandiers Nr. 13. Tymczasem ściemniało się a ulicę oświecała tylko oddalona latarnia i inne



dwie w powozie. Rodille mając naturalnie drugi klucz do najętego mieszkania, otworzył bramę i szukał miejsca oznaczonego przez Pawła, będąc przekonanym, że znajdzie tam Blankę. Tu stanął i słuchał uważnie, czy kto nie nadchodzi; wkrótce zobaczył postać szybko powstającą i zbliżającą się do mieszkania.

## XXVIII.

Rodille wiedział że nie może wahać się ani chwili, bo gdyby młode dziewczę, a bez wątpienia ono było tą postacią, odeszło do domu i zamknęło się w swym pokoju, to onby z nią mówić nie mógł. Zawolał więc przytłumionym głosem:

— Czy to ty, Blanco?

Córka Vaubarona przełękciona krokami z tej strony, z której Paweł nigdy nie nadchodził, chciała uciekać, lecz gdy usłyszała swe imię, odwróciła się i zapytała:

— Kto mię woła?

— Przyjaciel — odpowiedział Rodille.

— Przyjaciel? — rzekła Blanka tonem powątpiewania — mam tylko jednego przyjaciela, lecz nie tego, który teraz ze mną mówi.

— To pewne, lecz ja przychodzę od niego.

— Czy to prawda — zawołała Blanka niedowierzając — udowodnij więc pan, abym mogła wierzyć. Wymień pan przynajmniej jego imię.

— Paweł Mercier.

Blanka zbliżyła się szybko ze słowy:

— Ach, pan znasz Pawła. Kto pan jesteś?



Kłamstwo było niepotrzebne, więc nie udanym, lecz słodkim głosem rzekł:

— Jestem Rodille.

— Rodille! — powtórzyła Blanka cofając się z odrazą — Rodille nieprzyjaciel!

— Nieprzyjaciel? Ja? Wielki Boże, pani osądzasz mię fałszywie! Jestem najwierniejszym przyjacielem Pawła, i teraz, gdy znam miłość pani ku temu dziarskiemu młodzieńcowi, którego kocham jak własnego syna, czuję i ku pani współczucie i przywiązanie, i chcę to okazać nietylko słowy, lecz także czynem.

Ton mowy Rodillego był tak prawdziwym, tak przekonującym, jego słowa brzmiały tak ojcowsko, że Blanka, której czyste serce do podejrzeń skłonne nie było, była już do połowy przekonaną, i mimo słusznych skarg, jakie na towarzysza magnetyzera podnieść mogła, rzekła:

— O ja nie chcę nic lepszego, jak wierzyć panu, przecież to tak miło znaleźć tam przychyłość, gdzie się na nienawiść liczyło!

— Proszę pani nie wątpić o mnie; myśl pani że to Paweł i udzieli mi zaufania.

— Widzę już że Paweł wszystko panu powiedział, lecz nie wiem, po coś pan tu przyszedł; czy on przyjść nie może?

— Nie, najlepsza Blanko.

— Cóż mu przeszkadza?

— Powiem to pani pod warunkiem, że mi przyrzekniesz, że będziesz spokojną.

— O wiem, że żadne szczęście tu pana nie spro-



wadziło — rzekła Blanka drżącym głosem — Pawła spotkało pewnie jakieś nieszczęście!

— Uspokój się pani, albo ja mileżeć muszę.

— Mów pan, o mów pan w imię Boga, bo ta trwoga, ten niespokój zabija mię! Cokolwiekby go spotkało, chcę wiedzieć o tem.

— Nie jest to właściwie żadne nieszczęście, lecz niepomyślny wypadek.

— On jest chorym, rannym, może umierającym.

— Jest ranny, ale przysięgam pani, że nie ma niebezpieczeństwa, zapewniam panią że wyzdrowieje.

— Zlituj się pan nademną, czuję, że myśli mi się mąca; prawda nie może być straszniejszą od tej niepewności. Powiedz pan co się stało; chcę wszystko wiedzieć i będę miała odwagę usłyszeć to.

— Więc słuchaj moje biedne dziecię i wierz mym słowom, bo ci nic nie ukryję. Paweł mieszka w tym samym domu co i ja. Dziś popołudniu wysłałem go w bardzo ważnej sprawie i z niecierpliwością oczekiwałem jego powrotu. W tem usłyszałem na ulicy krzyk, przychodzę do okna i widzę jak dwu ludzi niesie mego przyjaciela prawie bez życia.

Blanka nie miała już siły utrzymać się na nogach, padła na kolana i wołała:

— Boże mój i Panie! O mój dobry Boże, Paweł nie żyje!

— Przysięgam pani jeszcze raz, że tak nie jest! Przyjaciół pani poszedł za swą nierozmyślną odwagą i rzucił się dzikiemu koniowi pod nogi, który mógł roztratować jedną panią i dziecko; koń uderzył go kopytem, on stracił przytomność nie będąc jedna-



kowoż ciężko rannym. Kazałem go zanieść do mego domu, zawołać lekarza, który mię uspokoił, bo muszę wyznać, że mię to bardzo przeraziło — a jeżeli ta noc przeminie bez febry, to Paweł będzie jutro tak jakby zupełnie zdrow.

— Lecz dziś w nocy może mu grozić niebezpieczeństwo?

— Nie mogę zamilczeć, że mimo pomyślnych znaków smutny wypadek zajść może. Gdy młodzieniec odzyskał przytomność, dał mi znak abym oddalił lekarza, a gdyśmy zostali sami wyjawił mi swą miłość i prosił mię abym poszedł tu do doktora Hornera, powiedział pani co go spotkało i błagał, abyś pani przyszła do niego.

— Paweł chce mię widzieć? — zawołało dziewczę.

— Dreczy go tęsknota za tem szczęściem. Czyż pani odmówi czuwać ze mną nad nim przy jego łożu i jako dobry anioł oddalać od niego niebezpieczeństwo?

— Odmówić, ja? ja miałabym mu odmówić, gdy on mię woła? O to byłoby strasznie. Chodź pan, chodź pan, prowadź mię do niego! Miałeś pan słuszność nazywając się naszym prawdziwym przyjacielem.

Rodille osiągnął swój cel, a ciemność ukryła jego szatański uśmiech, jakim śmieje się dyabeł w którego sidła jaki człowiek niepowrotnie został wmotany.

— Chodź pan, chodź pan! — mówiła Blanka.

— A więc chodźmy i przyjmij pani me ramie, jeżeliś znużona.



— Nie trzeba mi podpory, będziesz pan widział jak silną jestem! Jakżebym mogła się zmęczyć, gdy Paweł na mnie czeka!

I nie zważając na to, że koleczaste krzaki darły jej suknię, biegła ku drzwiom ogrodowym. Gdyby Rodille wskazał jej teraz przepaść i powiedział: „Paweł jest na dole“ toby się bez wahania w przepaść rzuciła. Teraz szedł on za nią, trąc ręce zadowolony, życząc sobie sam lotrowskiej zrzeczności.

— Nie wątpiłem o skutku, lecz ani myślałem, że pójdzie tak dobrze i łatwo.

Blanka nie szła lecz biegła przez ogród; na ulicy odwróciła się i zapytała:

— W którą stronę?

— Mam powóz — rzekł nędznik, otwierając drzwiczki od fiakra — proszę siadać.

— A to jeszcze prędzej przyjedziemy! — zawołała radośnie.

— Dokąd, obywatelu? — zapytał woźnica.

— W kierunku de l'Etoile.

— Do piorunów, to daleko.

— Najszybszym kłusem! Dziesięć franków na piwo.

— A to dobrze — odpowiedział woźnica popędzając konie.

— Kiedy będziemy przy nim?

— Za godzinę.

— Mój Boże, jakże to długo.

— Cóż chcesz moje dziecię, ja mieszkam na drugim końcu miasta.

— Lecz pan jesteś pewnym, że gorzej nie będzie.

— Nie ma obawy.



— Jestże to prawdą?

— Zareczam na moje życie.

Blanka oparła się o róg powozu zaprzestając wszelkich pytań, a powóz pędził przez najruchliwsze ulice Paryża, po upływie trzech kwadransów zatrzymał się, a woźnica zawołał:

— A więc jesteście, obywatelu!

Blanka drżała, Rodille otworzył powóz i prosił aby wysiadła.

— Gdzież pan mieszkaż? — zapytała — nie widzę żadnego domu i myślę żeśmy w pustkowiu.

## XXIX.

W czasie zdarzenia, któreśmy opowiedzieli, panowała w górnej części Champs-Elisée w pobliżu łuku tryumfalnego najgłębsza samotność, przez co zdziwienie, jakie Blanka okazała, było zupełnie usprawiedliwione.

— Woźnica nie zrozumiał mię — rzekł wreszcie Rodille — i zatrzymał dwieście kroków pierwej; nie to jednak nie szkodzi; podam pani ramię, droga Blanko a za pięć minut będziemy na miejscu.

Mimowolnie usłuchało młode dziewczę, i rzeczywiście pięć minut nie minęło, gdy przyszedli do małego domku, przez którego próg już przechodziła spiąca na ramieniu tego człowieka, który teraz obok niej kroczył. Oboje weszli; bandyta zapalił świecę i zaprowadził młode dziewczę po wschodach na pierwsze piętro i otworzył drzwi do pokoju.

— Gdzież on jest? — zapytała Blanka, przelekniona grobową ciszą, jaka w tym domu panowała.



— Zaprowadź mię pan do niego, on oczekuje mię pewnie z taką samą niecierpliwością, jak ja go widzieć pragnę.

Zamiast odpowiedzi postawił Rodille świecę woskową na boku, przysunął krzesło, usiadł i rzekł najspokojniej:

— A teraz moje dziecko, mówmy otwarcie...

— Ależ mój panie — przerwała mu Blanka — na to nie ma czasu i jak panu wiadomo, nie po to tu przyszłam, lecz aby widzieć Pawła i pielęgnować go.

— Tylko nieco cierpliwości, mamy dosyć czasu, bo nikt tu panią nie oczekuje, moje dziecko.

— Jakto, nikt mię nie oczekuje tutaj?

— Tak jest!

— Paweł przecież wie, że musiałam panu towarzyszyć?

— Ani słowa.

— Dlaczegoż pan powiedział, że przychodzisz od niego?

— Bo prawdopodobnie pani inaczej nie przyszłabyś.

— O, wystarczyło powiedzieć mi, że Paweł ranny, że cierpi, a byłabym poszła z panem na koniec świata. A może obawiasz się pan aby zbyt wielka niespodzianka jemu nie zaszkodziła; więc dobrze, przygotuj go i powiedz mu że ja tu jestem!

— Ależ moja kochana — odpowiedział Rodille ze złowrogim uśmiechem — nikt tu na nas nie czeka.

— Jakto?

— Pani myślisz, że on tu jest, a ja panią za-



pewniam, że nie.

— A więc gdzie jest?

— Przysięgam, że wcale o tem nie wiem.

— Lecz wypadek z koniem, jego rana?

— Bajka! Przed dwoma godzinami opuściłem go w najzupelniejszem zdrowiu.

Blanka zbladła i rzekła:

— Więc pan mię oszukałeś, okłamałeś. Bawiłeś się pan haniebną igraszką boleści, jaką pańskie słowa wywołały!

— Przyznaję żem zawinił, lecz mam też i uniewinnienie.

— Uniewinnienie, pan?

— A mianowicie najlepsze w świecie; gorącą miłość, którą pani we mnie wzbudziłaś!

Młode dziewczę zadrżało na całym ciele i uciekło w najodleglejszy kąt pokoju.

— Moje drogie dziecię — zawołał Rodille wzruszonym głosem, jaki tylko kochanek zakulisowy wydożyć ze siebie jest w stanie — zachowanie się pani uciska mi serce? Dlaczegoż drżysz pani przedemną? Czegoż się pani obawia? Moja miłość jest bez granic, od dawna już ubóstwiałem panią i nie miałem śmiałości wyznać to, a jeżeli dziś odważyłem się na to, by otworzyć pani moje serce, to stało się to tylko w tem gorącym życzeniu, w tem przekonaniu, że moje najwyższe dążenie, marzenia moich snów ziszczą się w tem szczęściu, i będę mógł pani ofiarować moje imię.

Przerażenie dręczonej nie umniejszało się, a teraz powiększyła się jeszcze nienawiść ku niemu,



gdy drżącym głosem zawołała:

— Ja pańską żoną! Nigdy! Nigdy! Jak długo Bóg na niebie!

— O nie bądź srogą, droga Blanko, nie składaj pani przysięgi, której nie dotrzymasz i potem może żałować będziesz.

— Wiesz pan przecież że to niemożliwe.

— Na świecie nic nie jest niemożliwym.

— Wiesz pan że kocham Pawła i że tylko do niego należeć mogę!

Rodille zgrzytnął zębami, zmarszczył brwi i tupnął nogą wołając:

— Nie mów tego pani! Nie wymawiaj pani imienia znienawidzonego mi rywala, i strzeż się rozżarzać w mej duszy ogień zazdrości, albo bój się o tego, którego kochasz! Mercier jest mi jeszcze obojętnym i nie czyni pani tego, abym go nienawidził jako nieprzyjaciela. Moja nienawiść byłaby tak gwałtowną, jak miłość!

Myśl o niebezpieczeństwie, jakie z tej nienawiści dla jej kochanka wypłynąć mogło, czyniła ją prawie szaloną, i wybuchnęła płaczem, który dotychczas wstrzymać usiłowała; upadła przed nędznikiem na kolana i jęczała:

— O mój panie, jeżeli mię rzeczywiście kochasz, jak to pan mówisz, to nie dozwolisz mi umrzeć z rozpacz, grożąc temu, którego kocham!

— Przysięgam, że ten młodzieniec będzie mi świętym, jeżeli mu pani odmówisz.

— Pan nie znasz go tak jak ja! Milszą mi stokrć śmierć, niżliby on miał mię opuścić.



— Nie umiera się w jego wieku, gdy kobieta zdradzi: prędko się pocieszy. Lecz w moim wieku nie traci się tak prędko miłości, która jest ostatnią.

— Byłżebyś pan ze mną szczęśliwym, gdybym pana nie kochała.

— Siła mej miłości obudzi w pani także miłość. Jestem bogatym, bardzo bogatym i mogę pani wszystko ofiarować, co tylko kobieta życzyć sobie może. Jeszcze jedno; chociaż posiadam milion a pani nie, to po naszym ślubie będzie wszystko nasze wspólne; udowodni to pani moja miłość.

— Nie to nie znaczy — odpowiedziało dziewczę — nędza z Pawłem wydaje mi się powabniejszą, aniżeli wszelkie szczęście z panem i wybiorę ubóstwo, jeżeli wybór będzie możliwy.

— Szczęściem jednak że kocham panią i przeszkodzę pani popełnić takie głupstwo.

— Czyż nie jestem panią mego losu?

— Nie, i tysiąc razy nie!

— I któż mi przeszkodzi?

— Ja, moja piękna!

— Pan nie możesz mnie zmusić przeciw mej woli pójść za pana.

— O mylisz się pani strasznie.

— Pan nie jesteś moim ojcem ani opiekunem i nie masz żadnego prawa nademną.

— Gdzieindziej może! Lecz w tym domu, który jest moim i gdzie sami jesteśmy, mam wszelkie prawa na świecie.

— Ależ to podłość!

— Nie zaprzeczam, bo dzieje się to tylko dla



tego, aby nasze obopólne szczęście ugruntować.

— Jestem tylko biedną dziewczyną, bez pomocy i opuszczoną, lecz nie poddam się bez oporu.

— I cóż to pani pomoże?

— Mój krzyk sprowadzi pomoc.

— Jeżeli się pani czegoś po tem spodziewasz, to nie pani nie przeszkadza zaraz to uczynić, te ściany są dość grube a głos pani nie wydostanie się przez nie.

— Rzucę się przez okno.

— Proszę, spróbuj pani! odpowiedział Rodille z szyderstwem.

Od kilkunastu minut znudziło się nędznikowi grać rolę kochanka i zaczął się okazywać takim, jakim go od dawna znamy. Blanka rozdrażniona tem wyzwaniem rzuciła się ku oknu, lecz nie zdołała otworzyć okiennic zamkniętych żelaznymi sztabami. Pojęła natychmiast, że przedsięwzięto tu wszelkie środki ostrożności i że ma do czynienia z człowiekiem, który na wszystko zwraca pilną uwagę.

Zmęczona, zwątpiona, na pół szalona rzuciła się w krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

## XXIX.

Rodille przerwał milczenie.

— Naprzód bądź przekonaną moja droga Blanko, że się mnie wcale obawiać nie potrzebujesz, nawet mojej obecności, za kilka minut wychodzę a pani nie zabraknie czasu i samotności, głównych podpór rozmyślenia.



Po tych słowach otworzył nędznik znaną nam już komorę.

— Tu znajdziesz pani żywność na dwa dni, przyjdę pojutrze wieczór dopiero i spodziewam się, że pani namyśliwszy się, będzie przychylniejszą moim zamiarom. Wmów pani w siebie, że opór wszelki jest niemożliwy i że jesteś zmuszoną poddać się, wyjdiesz bowiem z tego domu chyba po to, aby zostać moją żoną. Od pani więc jedynie i całkowicie zawisło jak długo będzie trwać jej więzienie. A teraz moja kochana Blanco, idę już. Oby noc przyniosła pani dobre rady i oby one pani wyszły na najlepsze.

Rodille opuścił pokój, a uwięziona słyszała zamknięcie drzwi na dwa spusty. Nieszczęśliwa widziała się zgubioną, uwięzioną na zawsze i na śmierć prawie skazaną, ponieważ postanowiła umrzeć raczej aniżeli złamać słowo dane Pawłowi i pójść za człowieka, który w niej obawę wzbudzał.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Ciemność, którą tylko nieco oświecała świeca woskowa i grobowa cisza, jaka w tym domu panowała, napawały ją obawą, że lada chwila otworzą się jakieś ukryte drzwi i stanie się przed nią jakieś zjawisko straszne i odrażające. To trwało całą noc. Kilka razy próbowała kłaść się do łóżka, lecz obawa, że gdy zaśnie, to się już nigdy nie obudzi, spędzała ją z niego. Wreszcie zaświtał dzień. Blanco nie czuła się ani spokojniejszą, ani pewniejszą.

Powiedzieliśmy już pierwiej, że okna zamknięte okiennicami wychodziły na aleę Neuilly — przeciw-



ległe zaś, nie były tak obwarowane lecz zaopatrzone były w kraty, które udaremniały wszelki zamiar ucieczki.

Skoro pierwsze promyki słoneczne się okazały, próbowała Blanka wszystkiego, aby wolność odzyskać; pobiegła do jednego z okien; lecz napróżno; kraty nie dawały czekać na rozczarowanie. Widziała, że dom był otoczony murem i nie miała nadziei, aby jej słaby głos mógł być w pobliżu słyszany.

Blanka upadła na kolana, wzniosła ręce do góry i zawołała:

— O Boże i Panie! nie mam żadnej pomocy prócz Ciebie, przyjdź mi więc z pomocą!

Opuściwszy domek, poszedł Rodille guany niepojętą ciekawością, jeszcze tego samego wieczoru na ulicę Amandiers-Popincourt, aby odwiedzić Hornera; chciał bowiem wiedzieć, czy ten zauważył zniknięcie dziewczyny i w jaki sposób je sobie wytłumacza. Było już około jedynastej gdy tam przyszedł i zastał magnetyzera w niezwykłym zakłopotaniu.

— Do diabła! gdybyś pan teraz nie przyszedł, tobym pana nazajutrz raniuteńko wyszukał.

— Pańskie odwiedziny bardzo by mnie ucieszyły, zawsze możesz mnie pan znaleźć gotowym do usług swoich. Co mi masz pan tak naglącego do zakomunikowania?

— Wierz mi pan, że miałem go prosić o wyjaśnienie pewnej zagadkowej, zupełnie ciemnej tajemnicy.



— Cóż to się wydarzyło? zapytał Rodille zdziwiony.

— Do stu dyabłów, coś nader szczególnego! Wydarzają się rzeczy wcale niepojęte, a w końcu podstawa ich jest przecież widoczna. Tutaj jednak brak mi wszelkiego gruntu. Rozważ pan tylko, interesują się mną, śledzą moich kroków i mieszają się do moich interesów.

— Ale któż to?

— Tego nie wiem.

— No to przynajmniej musisz pan mieć na kogoś podejrzenie?

— I tego nie. Śledzę w myśli i szperam, i nie znajduję nikogo, na którego bym mógł wskazać.

— Cóż się właściwie stało? Powiedz mi pan bo dotychczas nie wiem o niczem.

— Czytaj pan — odpowiedział Horner, podając ten sam list Rodillemu, którym go tenże do kawiarni zaprosił.

Urwisz czytał pozornie z największą uwagą kilka wierszy, odpowiedział na koniec:

— I czegoś się pan ważnego stąd dowiedział?

— Wcale nie.

— Jakto?

— List ten, bez podpisu, był niczem innym, tylko niedobrym żartem, albo łapką.

— Ależ w jakim celu.

— Albo aby mię na dudka wystrychnąć, albo jak sądzę, aby na mnie zastawić sidła, w które bym popadł.

— To zdaje mi się wcale nieprawdopodobnem.



Zart i sidła uważam raczej za grę ich imaginacyi. Prawdopodobniej, konieczność jakaś albo nieprzewidziany wypadek nie pozwolił autorowi tego listu się pokazać.

Horner potrząsł głową.

— Jakto, pan wątpisz o tem — zapytał Rodille.

— Wierzę temu.

— To zapytaj pan Blanę o sposób wyjaśnienia.

Magnetyzer oddalił się, wkrótce jednak wrócił blady jak trup z zmarszczonem czołem i rzekł:

— To coś szczególnego, nie ma jej w pokoju.

Otworzono okno i wołano Blanę, gdy jednak nie było odpowiedzi, zapytał Rodille:

— Czy znasz pan jej kochanka?

— Ona nie widzi nigdy żadnej osoby.

— Tego nie można twierdzić. Jaki jej znajomy mógł się w niej zakochać, może do niej przychodzić — mimo pańskiej wiedzy — i mógł jej wzajemną miłość pozyskać. List ten, zdaje się nie ma innego celu, tylko pana oddalić, aby dziewczyne można uprowadzić. W tym wypadku jesteśmy obaj zrujnowani.

— Pan, jak się zdaje, przyjmuje tę sprawę bardzo spokojnie.

— Czyż się to na co przyda, gdy sobie łeb o mur rozbije? Musimy myśleć nad sposobem, aby tę sprawę na dobre wyprowadzić.

Napierany pytaniami Hornera, unikał Rodille wszelkiej odpowiedzi, wsiadł do powozu i zacie-  
rając ręce powiedział:

— Tego dnia dobrze użyłem.



W domu zastał on zdziwiony, Merciera, który zażądał rozmowy.

## XXXI.

Jak już wiemy, oświadczył młody człowiek, że nigdyby się nie odważył przed Blanką pokazać bez tej biblii. Lecz pomysł ten poszedł w zapomnienie, jak w ogóle wszystkie pomysły zakochanych. Paweł był w ogrodzie i oczekiwał jej na darniowej ławeczce. Gdy jednak oczekiwanie zdawało mu się za długie, zamysłał wstąpić do domu, jednak obawiał się spotkania z Hornerem, gdyż nie mając polecenia Rodillego, nie mógłby tego wejścia wytłumaczyć. Rozmyślał więc, co by mogło wstrzymać Blankę od wyjścia. Tymczasem godziny upływały. Nareszcie odkrył trzy możliwe przyczyny nie okazania się Blanki, albo jej słabość, albo dozór Hornera, albo nareszcie odkrycie jej nocnych schadzek przez doktora i zamknięcie jej przez tegoż. Z takich smutnych dumań zbudził go stuk otwieranych i zamykanych drzwi, a potem szelest szybkich kroków. Natychmiast cofnął się Paweł w gęstwiny, która go dostatecznie zakrywała, pozwalając mu śledzić znieawidzonego doktora, który wymawiał niezrozumiałe słowa.

Ponieważ sam powracał, to został tylko ten wniosek, że Blanka jest chorą albo zamkniętą.

Z niespokojnym umysłem i z bijącym sercem, szedł do domu postanawiając, młodą dziewczynę wyrwać z szponów magnetyzera, co mu się wydawało nie bardzo trudnem, byleby tylko znalazł jaki



dom, stosowny dla jej pobytu.

Do tego jednak potrzebował pieniędzy: zaczął więc godzinę na Rodillogo.

— Mój drogi, jest już dość późno — zauważył niegodziwiec gdy sami znaleźli się w gabinecie — powiedz mi więc ile możności jak najkrócej, o co chodzi.

— Mój panie — odrzekł Paweł, zbierając odwagę — mówiliśmy już raz o pewnym interesie, proszę tedy o wypełnienie pańskiego przyrzeczenia.

— To jest, pan żądasz umówionej sumy? Ale to jest niemożliwe, gdyż właśnie natarli na mnie wierzyciele, na których zaspokojenie już wszystko wydałem.

— To możesz mi pan dać przynajmniej kilka tysięcy franków.

— Nie mam teraz nic w domu i odebrałem wszystko od bankiera, aby się z wierzycielami uporać.

Mercier zląkł się, gdyż poznał wszędzie złą wolę Rodillogo, który powiedział, że odstąpi wszelkiego prawa za pieniężną sumę, jeżeli mu ten zamiar nie przyniesie oczekiwanej korzyści.

— Ależ ja muszę mieć jeszcze dziś pieniądze.

— A ja mówię raz jeszcze: to jest niemożliwe.

— Rzeczywiście — zawołał młody człowiek oburzony — pańskie usposobienie jest szczególne. Najprzód ludziłeś pan moją prostoduszność obietnicami; skoroś pan jednak dostał zapis, którym się panu znaczna część mego spadku zapewnia, wzbranasz się pan, wypełnić jedyny warunek naszej umowy i to pod najlichszymi pozorami. Dotąd uwa-



załem pana za człowieka rzetelnego, lecz odtąd mam wszelką podstawę myśleć przeciwnie.

Oblicze Rodillego przybrało surowy wyraz, i zdawało się, jakoby się chciał porwać na młodego człowieka; wnet jednak odzyskał zwykłą sobie spokojność i rzekł zimno:

— Więc pan myślisz że go chcę oszukać?

— Tak jest, panie.

— Od tego czasu masz pan we mnie śmiertelnego wroga.

— O to wcale nie dbam.

— To się okaże. Mówisz pan i czynisz jak nierozsądny. Mówisz pan, o jakichś siłach, to dobrze, to pana zgubi. Słuchajże pan zatem: pańskie pretensye do owego spadku, które uważałem za słuszne, nie teraz nie znaczą, a ja chciałem pana odwieść od naszego układu, któryby mię zniszczył.

— Dowiedz pan! Minał już czas, kiedy mi pańskie słowo dawało na zawsze zapewnienie.

Rodille wziął z szafy dwie kartki stemplowanego papieru, na którym były podpisy jego i Pawła.

Gdy Paweł rękę po nie wyciągnął, usunął je Rodille z szyderskim uśmiechem mówiąc:

— Stój! panie Mercier, gdzie panuje podejrzenie, to słusznie powinno ono być w obydwóch stronach. Zapominasz pan, żeś mi jest za ten dokument winien dwa tysiące franków, za których oddaniem otrzymasz pan te papiery. Chcę teraz spokoju. Możesz pan iść, ale nie masz co robić w mojej kancelaryi. Pańską pensyą w kwocie sześćdziesięciu franków za ten miesiąc zatrzymuję jako



odtrącenie wypłaty. Pokażę panu drogę.

Rodille wziął świecę i odprowadził Merciera do zewnętrznych drzwi i otworzył je.

Pozbawiony wszelkiej odwagi, szedł Paweł do swej izby na poddaszu, ubrany rzucił się na łóżko i płakał, gdyż nigdy nie był w krytyczniejszym położeniu, jak teraz. Bez nadziei, odzyskania porwanej mu biblii, przyszedł do poznania, że najlepiej będzie zaraz sobie w łeb wypalić.

Podczas tego zacierał sobie Rodille ręce z radości.

— Paweł zostaje teraz w większej zależności odemnie, niż kiedy indziej; trzymam go teraz silnie łańcuchem jego śmiesznych pretensyi; na cóż bowiem miałbym wydać sto tysięcy franków, gdy mogę coś mieć daremnie. — Blanka jest równie w moich rękach, a ja mam wolny wybór, jak ich obojga używać. Ona jest prawną spadkobierczynią milionów, które Mercier przez swą głupotę roztrwoił. Spadek tego Andrzeja Bernarda nie może mi teraz ujsć; mogę już zaśpiewać jak zwycięzca!

### XXXI.

Następnego wieczora około dziewiątej godziny przelazł Paweł mur ogrodowy, a niewytłumaczona nieobecność Blanki powiększyła jego niepokój tak, że roił sobie o cierpieniach, a może nawet śmierci swej kochanki bez pomocnej ręki. Ta przerażająca myśl ogarnęła całą jego istotę; postanowił więc, bądź co bądź, wdrzeć się do domu, aby dziewczynę po raz ostatni zobaczyć.



Otworzył drzwi i znalazł się w ciemnej sieni. Nie znając położenia jej izdebki, domyślił się jej na piątrze, i starał się przypominać sobie, drogę, którą przed paru dniami dostał się do doktora Hornera. Przeszedł schody lekkimi krokami i dostał się na ciemny ganek, dzielący dom na dwie części. Na pierwszym piątrze mieszkał doktor; wiedział o tem dobrze; ale nie mógł znaleźć izdebki Blanki, gdyż ciemność nie dozwoliła mu rozpatrzeć się po gmachu. Ostrożnie więc posuwał się, ale na drodze był zapomniany stołek, na który upadł i sprawił tem wielki łoskot.

W tej samej chwili otwarły się drzwi gwałtownie, jasny kaganiec przedarł ciemności i Horner stanął na progu z pistoletem w prawej ręce, przyskoczył do Pawła i chwycił go za kołnierz.

— Nie pozbawiaj mię życia, panie Horner — szeptał Paweł widać lufę pistoletu przed czołem — nie zamyślałem nic złego.

Zdziwiony wymówionem przez nieznanego imieniem swoim, zaciągnął doktor schwyconego do swego pokoju i poznając go zawołał:

— Ach! pan jesteś pisarzem Rodillego. Masz pan jaki list do mnie?

— Nie mój panie.

— Więc jaką ustną wiadomość.

Gdy Paweł głową potrząsł, ciągnął doktor groźnym tonem dalej:

— Więc przychodzisz pan w jakim interesie. To mów pan, co takiego.

— Nic.



— To chciałeś pan tutaj co ukraść?

— Ukraść! — zawołał Paweł, drżąc z wściekłości i przestrawu.

— Jak pan tutaj się dostałeś?

— Przelazłem przez mur ogrodowy.

— Uczciwy człowiek ma drogę przez bramę.

Blady jak trup bełkotał Paweł:

— Chciałem mówić z panną Blanką.

— To znasz ją pan?

— Tak jest i kocham ją.

Młody człowiek oczekiwał, po tych powoli wymówionych słowach gwałtownego wybuchu gniewu; doktor jednak stał zamyślony kilka sekund i powiedział:

— A, pan dajesz rozwiązanie zagadki, której od dnia wczorajszego nadaremnie szukam. Pan źle zrobiłeś, żeś się sam wydał, gdyż nie pierwszej puszcze pana, aż powiesz coś z Blanką zrobił.

— Pytasz mnie pan, com z nią zrobił?

— Dokąd zaprowadziłeś pan biedną sierotę, którą pan kochasz? Odpowiadaj pan! pan uprowadziłeś dziewczynę w mojej nieobecności!

Paweł zbladł jak ściana i zawołał drżącym głosem:

— Nie żartuj pan z mego przerażenia! Jeżeli jej tutaj nie ma, to przysięgam panu na moje życie, że tylko w nadziei widzenia jej wszedłem do pańskiego domu.

— Pańskim kłamstwem nie dam się oszukać,

— zawołał Horner, stając tak, że się znajdował między młodym człowiekiem a drzwiami, aby mu



drogę zastąpić, — odpowiadaj pan, bo zostaniesz moim więźniem.

Paweł zrozumiał, że w każdym razie musi być uważanym za winnego, że jednak i doktor prawdę powiedział i Blanka została uprowadzoną, natychmiast musiał się wybrać, aby ją szukać; zawołał więc donośnym głosem:

— Z drogi! Ja muszę iść!

— To próbuj tego!

Paweł nie wyrzekł ani słowa, tylko rzucił się na przeciwnika, który stał z schylonem prawem kolanem, i wszczęła się krótka ale straszna walka.

Magnetyzer był niskiego wzrostu, chudy, kościsty, miał silne mięśnie i nerwy, lecz chociaż między oboma przeciwnikami wielka była różnica, to jednak siła Pawła powiększyła się przez wściekłość i rozpacz w tej chwili w dwójnasób i gdy Horner usiłował go podnieść do góry, chwycił go Paweł za szyję i ścisnął ją całą siłą; doktor poczał chytrzeć, usta jego zsiniały i utracił zmysły.

Paweł chciał tylko wolności, a nie śmierci doktora, skoro więc poznał, że tenże zagłuszony, niezdolnym jest do oporu, rzucił go na ziemię, przebiegł przez schody i zniknął w ciemnym ogrodzie.

Vaubaron powiedział był: Ja muszę odszukać moją córkę; Paweł rzekł: Ja muszę swą narzeczoną wynaleść i przemyślał aż do świtu nad sposobami i drogą.

Gdyby Blanka z własnego popędu dom doktora opuściła, toby to oznajmiła swemu kochankowi; została więc zdradziecko albo gwałtownie uprowa-



dzoną. Powodów tego nie mógł sobie wytłumaczyć. Ponieważ była ubogą, to nie mogło być w tem interesu pieniężnego, więc była to nieokielznana miłość.

Nakoniec zdecydował się zawezwać pomocy sądu.

Komisarz wysłuchał go uważnie i wyjaśnił mu, że żadna zwierzchność nie może się mieszać w tę sprawę, gdyż Paweł nie może swej skargi oprzeć na żadnej legalnej podstawie; nie był on ani ojcem, ani opiekunem, ani krewnym uprowadzonej, nie był nawet uznany za jej narzeczonego. Również nie mógł podać przyczyny, dla której dziewczyna miała być uprowadzoną, ani na nikogo mieć podejrzenia.

Paweł rozważył wszystko i powiedział spokojnie:

— Jeżeli w miesiącu nie przyjdzie mi ani przypadek, ani opatrność w pomoc, to odrzucę wszelką nadzieję, ale pozbędę się również ciężaru życia.

Wieczorem tego samego dnia, poszedł Rodille do małego domku i znalazł młodą dziewczynę w wielkim smutku. Przez dwa dni płakała ustawicznie i tylko mechanicznie, prawie bezwiednie używała jadła.

— Moje drogie dziecko, rzekł niegodziwy obłudnik, widzę z wielkim moim smutkiem, że się masz nie-dobrze, a moje serce pęka; poświęcam ci wszystko, mój majątek, moją miłość...

— Miłość! powiedz pan raczej nienawiść!

— Czyś się namyśliła i powzięła jakie postanowienie?

— Moje postanowienie! — zawołała dziewczyna,



przez odrazę ku swemu ciemńcy prawie do rozpacz przywiedziona — moje postanowienie znasz pan. Trzymaj mnie w więzieniu, zabij mnie, ale ja nigdy nie zostanę twoją żoną.

— Nie powoduj się gniewem. Rozważ tylko swoje ubóstwo; ofiaruję ci moje serce i rękę a zarazem bogactwo.

— Pieniądz i zawsze pieniądz! Ja jednak panu mówię, że o bogactwa nie stoję, a ubóstwa się nie boję.

— Pojmuję to i zostawiam ci trzy dni do namysłu.

Po tych słowach postawił dozorca uwięzionej dziewczyny potrawy na stół w gabinecie i odszedł.

Gdy trzeciego dnia znowu Rodille przyszedł, znalazł ten sam opór i zdziwił się niemało, że w tej nikłej osłonie mieszka żelazna dusza, stała wola, przeciw której nadaremnie walczy. Trupia bladeść jej oblicza, czerwone od łez oczy okazały jednak straszne zniszczenie, które bezsenność, samotność i zwątpienie sprawiły w jej całej istocie.

Tak upłynął miesiąc — a nic się nie zmieniło, Rodille rzekł do siebie samego:

— Jutro zrobię ostatnią próbę, a jeżeli ta się nie uda, to dziewczyna sama się osądziła, ja powrócę do Merciera i wypłacę mu sto tysięcy franków za cztery miliony.

Gdy następnego dnia zapytał Blanę, nie odpowiedziała mu ani słowa.

Rodille rzekł:

— Dopóki będziesz miała jeszcze jaką nadzieję



zobaczenia Pawła, to będziesz się opierać; nadziei tej muszę cię zatem pozbawić. Słuchajże więc: jeżeli nie przyzwolisz, abym cię pojął, to Paweł w trzech dniach nie żyje.

— Kazesz go zamordować! — wykrzyknęła Blanka.

— Jestem człowiekiem honoru, nie rozkażę go zamordować. Zabiję go sam. Mąż na męża z szpadą w rękę.

— O to wtedy nie obawiam się, Paweł jest dzielny.

— Jeżeli mówię, że go zabiję, to się to stanie z pewnością. Jestem wprawiony w władaniu bronią, a Paweł nie widział jeszcze nigdy pałasza.

— To jest skrytobójstwo.

— Możesz według upodobania ten pojedynek tak nazwać. Jak powiedziałem, w trzech dniach jest nieżywy. Chcesz go uratować albo osądzić?

— Życie Pawła jest, również jak moje w rękę Boga — zawołała Blanka jakby z natchnieniem — Bóg musi go chronić i ochroni z pewnością; ochronił on Daniela przed Goliatem! Moje postanowienie jest niezmienne. Pan znasz je.

— Jestto twoje ostatnie stowo? — krzyknął Rodille, usilnie zwalniając swą wściekłość — to dobrze, jest osadzonym; gdy jednak zakrwawione żelazo z jego serca wyjmę, zawołam doń: Oto Blanka, która cię zabija; ta, która cię mogła wybawić.

Strapiona Blanka wydała śmiertelny jęk i upadła zemdlna na ziemię.



## XXXIII.

Około godziny jedenastej tegoż wieczora wszedł Rodille do swego mieszkania, zaryglował je, aby nikt nie mógł go szpiegować ani mu przeszkadzać; pomimo wielkiego gorąca rozniecił w kominie ogień i wziął biblią Vaubarona z kryjówki, z której mu skradziono żelazną szufladkę.

— Ta książka ma być zniszczona, a z nią i ta rodzina.

Po tych słowach wrzucił nikczemnik ciężki tom w ogień i obracał go kleszczami, aby go ogień prędzej pożarł. Lecz płomienie nie chyły się silnej skórzanej oprawy, jakby się obawiały tej świętej księgi, a nędznik wtedy wyjął ją z ognia, dał kartę za kartą i cieszył się niezmiernie, widząc książkę zamienioną w delikatne płatki popiołu. Gdy już prawie do oprawy przyszedł, oddarł jeszcze skórę od kartonu, aby prędzej spalić i rzucił do komina; spostrzegł jednak zaraz w ósemkę złożony papier, bardzo cienki i żółkły; rozciekawiony coby się w niem znajdowało, wyrwał go z ognia.

Wprawdzie ogień zniszczył prawie połowę, przecież można jeszcze było kilka wierszy odczytać. Gdy tem był zajęty, poczuł, że jego zmysły się bałamuca i sądził, że ma przed sobą baśń z tysiąc nocy i jednej.

Była to nota, którą, krótko po ustanowieniu edyktu nantejskiego, nieszczęśliwy wygnaniec napisał, którego smutny los opowiedzieliśmy na początku. Wiersze te odkrywały w podziemnem skle-



pieniu zamkowym Vaubaron niezmierne bogactwa, które tak ów wygnaniec, jak i jego powiernicy w złocie, drogich kamieniach, w złotych i srebrnych naczyniach, wartości dwunastu milionów tam ukryli.

Mimo swej marmurowej obojętności i chłodu, zaznał Rodille uderzenia, pod wpływem radości, która go przejęła.

Po dłuższym czasie dopiero, był on zdolnym do dalszego czytania, z którego dowiedział się, że tego samego dnia, którym królewscy zaczęli oblegać zamek, markiz Vaubaron, wszystkie te skarby, przy pomocy kilku zaufanych ludzi wrzucił do piwnicy.

— Jeżeli Bóg, po mej śmierci — ciągnął markiz dalej — pozwoli memu synowi do Francyi powrócić i objąć spuściznę swych przodków i zamieszkać na nowo zamek, to niech syn mój użyje planu, który w tych słowach umieszczam, gdzie znajdzie domurowany chodnik jak i miejsce muru, gdzie wszystkie skarby leżą ukryte, które ja jemu i jego potomkom uratowałem.

Rodille poruszony, pobladł, gdyż plan ów tak ważny, pożarły płomienie, a miliony, o których marzył i których się spodziewał, rozwiały się w dym i mgłę.

— Stracone — bełkotał po długim zamyśleniu — stracone dla mnie!

Głowa jego ciężka jak ołów, pochyliła się na piersi, człowiek ten zdawał się teraz całkiem złamany, stan ten przecież trwał niedługo; powróciła jego spreżystość umysłu, oczy prawie wygasłe za-błysnęły na nowo; — porwał się i krzyknął:



— Dlaczegoż tracę głowę, cóż mi zależy na tym całym planie, mam przecież daleko pewniejszy, lepszego przewodnika, niż ta bazgranina, przewodnika, który widzi przez mury i skały. Blanka, jasnowidząca, pokazała mi Laridona w Montiviliers, ona więc wskaże mi i skarby w zamku Vaubaron. Zapewne zażąda i Horner udziału, ale gdy idzie o dwanaście milionów, to można w większej mierze być hojnym. — Dziś jeszcze otrzyma on swą Blankę napowrót.

Natychmiast pospieszył po powóz i zawołał na woźnicę:

— Dwadzieścia franków, tylko prędko na ulicę de l'Etoile. Po godzinie niemal kazał stanąć czterdzieści do pięćdziesiąt kroków przed małym domkiem, dał woźnicy złotówkę mówiąc:

— Jeszcze dwadzieścia franków dam ci, jeżeli tu na mnie zaczekasz i mię odwieziesz.

W minutę potem poszedł nędznik bez światła po wschodach, gdyż spodziewał się, że izdebkę uwięzionej znajdzie oświetloną; gdy jednak drzwi otworzył, poznał ciemność i grobową ciszę. Wołał Blankę po imieniu, ta jednak mu się nie odezwała. Rodille nie cierpiał przedewszystkiem niepewności, wyjął więc swój przyrząd do oświetlenia i zobaczył przy pierwszym słabym promyku, nieszczęśliwą ofiarę tulącą się w kącie, z oczyma zwróconemi ku niemu, z niewypowiedzianym przestraczem.

— Nie bój się niczego, moje dziecię — powiedział natychmiast — przysięgam ci. Moja obecność nie jest wcale straszną dla ciebie, lecz osuszy twe



lzy. Chociaż miłość moja dla ciebie jest nader silną, to będę przecież przez całe życie cierpiał. Mówiłem do ciebie za szorstko, lecz żałuję tego; przychodzę więc do ciebie, chociaż już późno w nocy, aby ci krzywdę wynadgrodzić. Widzę jednak, że trudno ci zawierzyć memu słowu — ciągnął dalej widząc zdziwiony wzrok Blanki — nie dowierzasz temu, który ci wyrządził tyle krzywdy, drżysz przedemną; ale ja myślę teraz inaczej i będę się na przyszłość do ciebie zbliżać, tylko jako najszczerzy przyjaciel twojego ojca.

Nieszczęśliwe dziewczę wątpiło jeszcze; ale jej dotychczasowy dręczyciel mówił z takim przekonaniem, że nakoniec zabłysnął promień nadziei w jej ciemnem zwątpieniu.

— Jesteś wolną.

— Jestto prawdą?

— Z pewnością, opuścimy razem ten dom i powrócimy do Hornera, gdzie się nie masz niczego obawiać.

— A pańska przysięga, że zabijesz Pawła?

— Odtąd jestem jego przyjacielem i chcę być świadkiem przy waszych zaślubinach.

— O panie Rodille! — zawołała Blanka, ściskając rękę niegodziwca — chodźmy, chodźmy, opuszczajmy ten dom pełen trwogi.

Zmęczone konie przebiegły znaczną odległość aż do ulicy Amandiers-Popincourt i trzecia już uderzyła, gdy przybyli; Horner przestraszył się bardzo, usłyszawszy turkot powozu i zobaczywszy światło latarni, zeszedł na zawołanie swego towarzysza na



dół i wydał krzyk przerażenia, skoro poznał Blanę.

— Gdzieś ją pan znalazł? — zawołał natychmiast.

— Chodź pan, chodź, musisz pan być świadkiem jej kary na którą zasłużyła.

— Gadanina! ona w niczem na karę nie zasłużyła — odpowiedział Rodille, wstępując do pokoju doktora. — Ja sam ją uprowadziłem i w zamknięciu trzymałem. Miałem zamiar z nią się ożenić, lecz teraz musi moja miłość milczeć, w obec wyższych względów, zwłaszcza w obec szczęścia nas obojgu.

— Idzie więc o miliony?

— Jak powiedziałem, o miliony zagrzebane od wieków.

— Cóż mnie do tego?

— Musisz pan Blanę zamagnetyzować i dać jej polecenie, aby odgadła, w której części zamku starego leży ukryty skarb i jak można się do niego dostać.

— Ja to natychmiast zrobię.

— Nie, ona musi wprzód kilka godzin wypocząć. Teraz jest tak na ciele, jak i na duchu za- nadto zmęczoną. Będzie i jutro jeszcze czas. Połóż się pan do łóżka i ja przespę się na tem poręczowem krześle, a jak sądzę spokojnie i swobodnie do jasnego dnia.

#### XXXIV.

Na drugi dzień rano ciekaw był doktor wielce otrzymać od jasnowidzącej wiadomość o wzmiankowanych skarbach; pospieszył zapukać do drzwi Blanki, polecić jej ubrać się i przyjść do salonu.



Gdy ją tam ujrzał, przeraził się jej bladością, lecz milczał z obawy rozgniewania Rodilla. Gdy jej krzesło przysunął, zapytała go: — Czy pan chce mię uspić? — Zamiast odpowiedzi począł ją Horner magnetyzować i wkrótce zamknęły się jej powieki, głowa opadła w tył a doktor połączył ją z Rodillem.

— Rozkazuję pani — mówił on — udać się w to miejsce, gdzie są myśli tego człowieka, który trzyma twoją rękę.

— Jestem tam, niedaleko stąd, nad morzem, którego bałwany biją o brzegi, jest to w Bretanii.

— Popatrz pani w koło siebie i powiedz co widzisz.

— W środku szerokiej doliny jest wzgórze, u którego stóp właśnie stoję: w prawo morze, w lewo lasy w półkolu, a tu i tam dziwnie ukształtowane pagórki, wszystko ponure i samotne. Tuż opodal mnie stoi dom z zamkniętą bramą i okiennicami.

Rodille uśmiechnął się radośnie i pomyślał, — całkiem słusznie jest to gniazdo starego Hugenyoty.

— Cóż pani widzisz wchodząc na wzgórze?

— Zniszczenie, ruiny, zawałone sklepienia, rozwaloną wieżę, mchem porośłe słupy i wschody.

— Nikogo żyjącego?

— Pasterza siedzącego na kamieniu i strzeżącego owce.

— Są tam podziemne sklepienia?

Blanka milczała, pytanie musiano powtórzyć. Jasnowidząca trudziła się czemś, krew jej uderzyła



w twarz i było widać na niej znużenie, gdy wzruszonym rzekła głosem:

— Ach co za przeszkody! Mur, jeszcze jeden... znów jeden i tak ciągle dalej.

— Mury niezniszczone?

— Nie.

— Nikt przez nie nie przeszedł od czasu jak je pierwotny właściciel opuścił?

— Nikt jeszcze.

— Dobrze. Cóż dalej?

— Nie mogę, zdaje mi się, że umrę ze znużenia. Horner prowadził swe dzieło dalej i rzekł:

— Dalej, ja rozkazuję.

Nagle wydała Blanka okrzyk konwulsyjny, żaden z obecnych nie odważył się odetchnąć nawet; wreszcie rzekła jasnowidząca:

— Widzę wiele złota zakopanego od dawna; gdybym mogła brodzić w złocie, dostałoby mi do kolan.

— Nie widzisz pani żadnych drogich kamieni? zapytał Horner, którego głos drżał ze skąpstwa i chciwości.

— Jest także skrzynia pełna rubinów, szmaragdów i dyamentów.

— Wiesz pan dosyć? zapytał Horner.

— Obudź ją pan, dziś jeszcze jedziemy tam extrapoczta.

— Nie obawiasz się pan zwrócenia na siebie uwagi?

— Cóż to szkodzi? Jedziemy jako bogaci ludzie dla przyjemności. Bądź pan w przeciagu trzech



godzin gotów, przyniosę dla Blanki podróżne suknie.

Rodille poszedł na ulicę muzealną. My jednakowoż udajmy się do poddasza Pawła.

Od miesiąca przebiegał on Paryż co dnia. To wieczne bieganie, troska, niedostatek i rozczarowanie dały mu wreszcie pozór człowieka, który uciekł z domu waryatów. Oddawna już postanowił rzucić się do Sekwany i oczekiwał tylko nocy, aby swój zamiar skutecznić. Gdy się zciemniało zeszedł po wschodach i chciał odejść, gdy żona portyera go zawołała:

— Aj panie Mercier, wyjdźże pan na chwilę. Przed półgodziną oddano tu list do pana, kosztuje trzy sous.

— Oddaj go pani napowrót, ja nie mam pieniędzy.

— Weź go pan i zapłać mi innemi drobnostkami. Znamy się przecież.

Paweł chciał odpowiedzieć, że nie może zwrócić długu, lecz dobra kobieta nie dała mu na to czasu, otworzyła kopertę i podała mu list:

— Ach, co się pan wzbrania! Widzisz pan, już za późno, czytajże.

Mercier zbliżył list do lampy, lecz zaledwie tylko przeczytał kilka wierszy, gdy mocno wzruszonym głosem zawołał:

— Niech panią Bóg błogosławi! Zawdzięczam pani życie!

I wybiegł z domu jakby szalony.

List brzmiał:

„Kochany Pawle, piszę do pana szybko i w skrytości. Czy ten list dojdzie do pana? oby to Bóg



dal!... Horner i Rodille wywożą mię z Paryża, slyszalam że mówili słowo Bretania... Ci ludzie napelniają mię obawą... czuję, że jestem każdej chwili zagrożoną. Jedź pan za mną Pawle, na naszą miłość, broń mię, ratuj mię!

Blanka.“

List ten wyjaśni czytelnikom najlepiej nagłą radość Pawła.

Blanka nie była dla niego zgubioną! Od czasu gdy ona była w mocy magnetyzera i Rodilla, był on mocno przekonany, że go odszuka i odzyska, chociażby miał iść za nią aż na koniec świata.

Rozumie się samo przez się, że w tak gwałtownym stanie nie zwracał Paweł żadnej uwagi na otoczenia. Uderzał o przechodniów nie troszcząc się o ich gniew i oburzenie; każdej chwili był narażony na to, że zostanie wozem przejechanym. Nagle przechodząc przez ulicę, z którą druga pod kątem prostym się krzyżowała, usłyszał tentent szybko jadących koni i głośne wołanie: „Bacność!“ i zarazem ujrzał pędzący ku niemu powóz.

Cheiał stanąć, lecz raz już czynna siła poruszania popchnęła go naprzód. Silny krzyk, potem nacisk niepokonanej siły, która mu przez głowę szybko jak strzała przeleciała tak, że stracił wzrok i słuch. Piers zaprzęgniętego do kabrioletu angielskiego bieguna powaliła młodzieńca nieprzytomnego na ziemię.

Po piętnastu lub dwudziestu minutach obudził się w aptece; czoło miał obwiązane wilgotnym bandażem a lekarz przytykał mu do nosa silne aroma. Lekarz i elegancki młody mężczyzna przypatrywali



mu się z najżywszem zajęciem.

Ostatni mimowolny sprawca nieszczęścia, którego jedyną i prawdziwą przyczyną była nieprze-zorność Pawła Mercier, był właścicielem kabrioletu.

Kilkanaście minut wystarczyło, aby lekarz na- był przekonania, że młodzieniec nie doznał przy upadku żadnego silnego skaleczenia i rzekł:

— Ach mój młody przyjacielu, możesz mówić o szczęściu: każdy inny na pańskim miejscu byłby sobie ręce i nogi połamał. Lecz pan możesz iść dalej na przechadzkę.

— Mój panie — rzekł do Pawła młody elegan-cko ubrany mężczyzna — byłbym niespokojny, gdyby pana spotkało jakie nieszczęście, a jeszcze do tego przezemnie sprowadzone, chociaż nie mogę sobie zrobić zarzutu nieuwagi. Oto moja karta, proszę mię odwiedzić, jeżeli będę mógł panu w czem usłu-żyć, będzie mi przyjemnie, gdy będę mógł być panu pomocnym.

Obłocne i wytarte suknie Pawła zdradzały u- bóstwo. Młody bogaty mężczyzna dodał cicho i z obawą, aby nie obrazić uczucia młodzieńca:

— Ten nieszczęsny wypadek podarł panu suknie, słuszną więc abyś mi pozwolił, wymienić je na inne.

Nie czekając odpowiedzi Pawła włożył mu wraz z kartą sakiewkę, opuścił aptekę i odjechał.

Zarumieniony że wstydu oddalił się Paweł, lecz odszedłszy sto kroków stanął przed oświeconemi oknami magazynu i wyjął z kieszeni otrzymaną kartę i sakiewkę. Na karcie było wypisane arysto-kratyczne imię, sakiewka zawierała sześć sztuk złota.



W obecnych okolicznościach było to majątkiem dla Pawła, który nie miał ani jednego sous i był literalnie bliskim śmierci głodowej. Prawdziwie boskiem zrządzeniem przyszła mu ta nieoczekiwana, niespodziana pomoc. Pojął to młodzieniec i modlitwą z głębi serca dziękował za nią Bogu i łączył podziękowanie swemu szlachetnemu dobroczyńcy.

Noc się już zbliżała, gdy przyszedł na ulicę Amandiers-Popincourt. Nie chodziło mu już o to, by się tajemniczo przeskoczeniem muru dostać do zamkniętej przestrzeni. Postanowił stanąć przed Hornerem i prosić o swą narzeczoną Blankę, a w razie odmowy grozić mu pośrednictwem komisarza policyi.

Zadzwonił i rzekł do służącej, która wyszła:

— Chcę mówić z panem Hornerem.

— Nie znam go.

— Chciałem powiedzieć z panem Leroux — odpowiedział Paweł, domyśliwając, że prawdziwe nazwisko Hornera było służącej nieznanem.

— Ach! pan Leroux... A, jeżeli pan chciałeś się z nim widzieć, to już za późno.

— Odjechał! — zawołał Paweł.

— Tak, jak pan mówisz... niedawno, o trzeciej godzinie z swoim przyjacielem i małą panną w pięknym powozie!... a gdybyś pan widział pocztyliona i konie!... cała dzielnica była w oknach. Jeżeli chcesz pan jechać za nimi, to radzę panu pospiesz.

Paweł opuścił głowę, służąca patrzyła na niego ciekawie.

— A, teraz pana poznaje; byłeś pan już tutaj?



— Tak jest.

— Byłbyś pan przypadkiem tym młodym człowiekiem?

— Jakim?

— Wiem, co chcę powiedzieć.

— Być może, lecz ja nie wiem.

— Jednym słowem, jak się pan nazywa?

— Paweł Mercier.

— Aha! Byłam pewną tego... przecież nosiłam list na pocztę... być może, że źle zrobiła, lecz biedna mała panna prosiła tak długo, że nie miałam siły odmówić. Pan jesteś pewnie jej kochankiem, a kochankowie mnie zajmują.

— Takie więc przeznaczenie — szeptał do siebie Paweł — że gdzie się dziś zwrócę, tam znachodzę współczucie i dzielne serca! Czyż nieszczęście znużyło się wreszcie prześladowając mnie ciągle?

Opuszczając szybko ulicę Amandiers, zjadł dobry objad, który mu po kilkunastudniowym głodzie szczególnie smakował i udał się na pocztę, aby tam powziąć wiadomości. Łatwo się dowiedział, że o drugiej godzinie zamówiono konie. Od pocztyliona dowiedział się, że on po krótkim zatrzymaniu się na ulicy Amandiers jeździł dorózką do stacyi w Sevres, i wiozł dwóch mężczyzn i młodą pannę, a jego kolega powiozł ich dalej do Versailles. A więc w drodze do Bretanii.

Jakież więc powody mogły tam magnetyzera i Rodilla ściągnąć? Dla czegoż brali ze sobą Blankę? Naprózno stawiał sobie Paweł te pytania, nie mógł na nie odpowiedzieć.



## XXXIV.

Przeskakujemy czas czterdziestu ośmiu godzin i prosimy czytelników udać się z nami do serca Bretanii, a mianowicie na rządowy gościniec z Paryża do Guimper, sześć do siedmiu mil od Ploermel.

Była to mniej więcej dziesiąta godzina rano: do góry prowadząca źle utrzymywana droga zwracała się to na spadziste pagórki, to znów schodziła po spadzistościach gór na głębokie doliny. Na tej drodze jechał w kierunku zachodnim mały chudy koń, przyprzężony do długiego płótnem zakrytego woza o czterech kołach. Ubogo ubrany mężczyzna z siwą brodą, i w kapeluszu o ogromnych kresach prowadził lejce. Wspaniały płowy wyżeł największego gatunku biegł naprzód i wracał eo minuty do pana, z prośbą o pogłaskanie. Mężczyzną tym był Jan Vaubaron a towarzyszył mu wierny Tristan, który się z swej rany zupełnie wyleczył.

Jan Vaubaron, znany powszechnie człowiekiem z woskowemi figurami, jeździł bowiem po całej Francyi z tuzinem figur woskowych, którym swą zręczną mechaniką ruchów nadać potrafił, pytał w każdym miasteczku, w każdej wsi, czy nie zabłąkała się tam kiedy mała, mniej więcej pięcioletnia dziewczyna o jasnych włosach, wszędzie odbierał odmowną odpowiedź, a jednak miał nieszczęśliwy ojciec nadzieję, że odkryje swe dziecko i prowadził swe badania dalej. Wieczorem odpoczywał po długim marszu dziennym, wystawiał zdziwionym wieśniakom figury i otrzymywał od każdego jednego



sous, za co opłacał nocleg i pożywienie.

W chwili, kiedy go znajdujemy na drodze z Ploermel, czuł się Vaubaron smutniejszym i mniej śmiałym, jak zwykle; przykre przeczucia dręczyły jego umysł, myślał on, że oczekuje go zdarzenie, które go po tylu ciosach jeszcze raz ciężką uderzy ręką.

Niespodziany wypadek oderwał go w jednej chwili od myśli o złej przeszłości. Chudy koń osiągnął nie bez trudu skalistą wyżynę, długą więcej jak ćwierć mili; biedne zwierzę stanęło samo przez się, a Vaubaron usiadł na kupie kamieni, aby mu dać czasu do odpoczynku. Tristan rozłożył się u jego stóp. Po dwu lub trzech minutach podniósł pies nagle głowę, dawał widocznie znaki niepokoju, wietrzył powietrze w kierunku pobliskiego lasu, wreszcie podniósł się z groźnym wzrokiem.

— No, Tristan, co tam takiego? — zapytał Vaubaron.

Pies nie słuchał głosu pana, a jego warczenie przybierało dziki charakter. Równocześnie wyszła z lasu wilczyca zgłodniała i schudła — mechanik zadrzał na ten widok.

— Szkaradne spotkanie — pomyślał nasz bohater i podniósł kij okuty żelazem ku obronie.

Lecz wilczyca nie uważała człowieka, widziała tylko Tristana, przyskoczyła do niego i chciała go uchwycić za gardło. Dzielnemu wyłowi udało się jednak wymknąć przed tym pierwszym atakiem, i skoczył ku straszliwemu nieprzyjacielowi z większą zręcznością, i szczęściem chwycił ją za grzbiet i było słycać trzeszczące pod jego pazurami ko-



ści i jednym ukąszeniem rozszarpał wnętrzności. Mimo tej strasznej rany nie była wilczyca niezdolną do walki, wiała się jak wąż, tarzała się w prochu, ciągnąc w upadku i nieprzyjaciela za sobą i przez kilka minut tworzyli oboje jedną szczególną, ciągle się poruszającą masę, podobną do owych fantastycznych, przez fantazyę rzeźbiarzy średniowiecznych wymyślonych potworów.

Ta straszna walka ciągnęła się dalej prawie bez hałasu. Wilczyca wyla, wyżeł nie szczekał, oboje walczyli wbijając w ciało krwią zbroczone pazury.

Vaubaron stroskany o Tristana chciał jak najprędzej zakończyć tę straszną walkę zamordowaniem wilczycy, lecz w tej zbitej masie ciągle się wijącej nie mógł rozróżnić psa od wilczycy.

Blady i drżący wzruszeniem czekał końca walki z podniesionym kijem. Wreszcie po kilku sekundach uwolniła się głowa wilczycy z pazurów. Kij spadł. Koniec żelazny rozplątał czaszkę a zwierz rozciągnął się w walce z śmiercią. Vaubaron oddalił się kilka kroków i zawołał Tristana. Pies leżał znużony w kałuży krwi, lecz miał jeszcze dosyć siły by podnieść się i przyjść do pana. Vaubaron zbadał jego rany i przekonał się z radością, że żadna z nich nie była śmiertelną.

W głębi rozwiniętej przed wzrokiem podróznego doliny wil się strumyk. Vaubaron ułożył Tristana na słomie na przedniej części wózka i podjechał do strumyka. Wyżeł zeskoczył, napił się cheiwie, i z widoczną radością w wodzie się zanurzył. Po kilku minutach przestała mu krew ciec z ran, zwie-



rzę wydawało się wesołe i silniejsze.

Strzepując zwilżoną skórę, skakał koło pana, jakby się nie szczególnego nie przydarzyło. Uspokojony jechał mechanik dalej i około piątej godziny dotarł do małego miasta Ploermel.

Ulokowawszy wóz i pakunki w pierwszej gospodzie, którą napotkał, skorzystał z wieczora, dał przedstawienie figur woskowych i zyskał małą sumę wystarczającą na zapłacenie za nocleg i posiłek.

Po przedstawieniu złożył swe figury w wozie i kazał sobie wskazać pokój, w którym miał noc spędzić. Był to rodzaj nieco umeblowanego gabinetu położonego tuż obok stajen. Vaubaron zwrócił duszę do Boga, jakto zwykł był czynić co wieczora. Z ostatnią myślą o córce, popadł on, głaskając psa, w twardy sen znużonego człowieka.

Po dwu może godzinach obudził go nagły szelest. Koła szybko jadącego wozu toczyły się po nierównym bruku. Słysząc było rżenie koni, dzwonki i trzask bicia. Nagle ucichł głośny hałas; powóz zatrzymał się przed gospodą, a poczytliw poprzędniej stacyi począł wyprzegać konie. Nic nie było zwyczajniejszego i Vaubaron nie byłby poświęcił ani jednej chwili temu, co się zewnątrz działo, gdyby się nagle wyżeł nie obudził i gwałtownym gniewem nie zawrzał.

Z początku skomlał, potem począł głośno szczeleć, stawiać się na tylne nogi, drapać do drzwi pazurami, gryść je, krótko mówiąc, zwierzę okazywało objawy dzikości, nie leżącej ani w jego naturze, ni temperamentie. Od chwili do chwili sta-



wał się jego głos podobny chrypliwemu wyciu tygrysa, któremu odebrano młode.

Mechanik starał się psa uspokoić. Niewiadomo skąd stan wyżła podwajał się coraz bardziej; zgrzytał zębami, piana mu się z paszczy toczyła a on nie ustawał w swych napadach na drzwi.

— To coś nienaturalnego — pomyślał Vaubaron. — Co to znaczy? Nie wiem, lecz muszę popatrzeć.

Zeskoczył z łóżka, ubrał się szybko, i trzymając wyżła za obróżę otworzył drzwi. Tristan skoczył tak nagle, że ledwie się nie wyrwał z rąk Vaubarona, lecz ten jeszcze silniej go zatrzymał. Na podwórzu widać było kręcących się z latarniami ludzi. Na drodze stał zaprzężony powóz podróżny. Vaubaron ciągnięty więcej jak prowadzony przez Tristana zbliżył się do powozu.

Nie miał czasu osiągnąć go. Nowy pocztylion wsiadł na siodło i biczem i ostrogami popędził konie. Tristan rwał się z rąk swego pana wśród porywającego szczekania. Widocznem było, że jego instynkt pędził go do wozu, a zmuszony do posłuszeństwa, dręczony był gwałtowną męką zwątpienia, które w ten sposób okazywał.

Pocztylion poprzedniej stacyi przygotowywał się do powrotu.

— Kochany przyjacielu — zapytał go Vaubaron — proszę, kogo pan przywiózł?

— Naprawdę, że nie wiem — odpowiedział pocztylion. — Wszystko, co o nich wiem, to jest to, że lubią prędko jechać i płacą, jak dzielni ludzie.



— Są to mężczyźni?

— Jest ich dwóch i mają ze sobą małą pannę, która z szacunkiem mówiąc, jest wcale piękną.

— A dokądże oni jada?

— Pan Bóg raczy wiedzieć! Do Sosseliu, to pewne, bo Sosseliu jest najbliższą stacyą, lecz gdy tam przyjadą, to już nie wiem, bo mogą albo zostać, albo dalej jechać zupełnie według ich upodobania.

Poczytylion wsiadł na konia i szybko odjechał. Vaubaron powrócił do pokoju mówiąc do siebie:

— Dwaj mężczyźni i młoda dziewczyna! Cóż mnie to obchodzi? Lecz skądże ta wściekłość Tristana i dlaczego mnie wzrusza ta myśl, że przejechało tędy młode dziewczę?

### XXXVI.

Instynkt zwierzęcia, który niekiedy przewyższa rozum, na jaki człowiek jest tak dumny, nie myli się czasem. Wściekłość wyżyła była usprawiedliwiona. Był tu nieprzyjaciel, ten sam tchórzliwy nieprzyjaciel, od którego Tristan przed kilku tygodniami w tak okrutny sposób został zraniony.

Dzielny pies domyślił się obecności Rodilla.

Odległość z Ploermel do Guimper wynosi trzydzieści cztery mil. Wóz pocztowy, który tak blisko Vaubarona zmienił konie, odbył tę przestrzeń w dwunastu godzinach i przybył do Guimper na drugi dzień rano.

Blanka, której delikatne zdrowie zostało przez więzienie osłabione, uległa znużeniu wskutek po-



dróży. Doktor Horner wyłożył Rodillemu, że trzeba dać młodemu dziewczęciu kilkanaście godzin odpoczynku, bo w przeciwnym razie można się obawiać jej zachorowania, co by magnetyczne badania, teraz tak potrzebne, na dłuższy czas uniemożliwiło.

Rodille niechętnie tylko usłuchał rady doktora i reszty dnia użył tak dobrze, jak tylko można było. Dowiedział się, że mała wioska, a właściwie przysiółek Vaubaron jest o trzy i pół mili od Guimper tuż obok sławnego wybrzeża Penmarkh oddalona. Powiedziano mu także ważną rzecz, że przy wiosce znajdują się jeszcze ruiny starego zamku, który należał dawniej do nieistniejącej już i zapomnianej rodziny.

Przekonawszy się o tem, co już dawniej wiedział, kazał sobie osiodłać konia i pouczony dobrze o drodze, pojechał do tej wsi, do której był tak przyciąganym, jak igła magnesowa od bieguna północnego. Od Guimper aż do Penmarkh przedstawia wybrzeże morskie cudowny nie do opisania widok i nie nie zdoła tym, którzy go własnymi oczyma nie widzieli dać pojęcie o niepojętej walce bałwanów ze skalami.

Rodille poznał tę okolicę ze wszystkimi szczegółami; tak wiernym był obraz, który Blanka w swym śnie magnetycznym skreśliła; on jechał jedyną drogą wioski, na tentent kopyt końskich wybiegły na wpół nagie dzieci i kobiety z chałup, i z nich to składało się w tej chwili całe zaludnienie wioski, bo wszyscy mężczyźni byli na rybołówstwie. Gdy podróżny zobaczył te nędzne wilgotne doły, które lu-



dziom za mieszkania służyły, rzekł półgłosem:

— Gdzież, do czarta, będziemy mieszkać?

Tymczasem jechał dalej ku wzgórkowi i zobaczył zdala dom, który chociaż ubogo wyglądał, to jednak wydawał się pałacem w porównaniu z innymi. Dom ten był własnością mieszczanina z Guimper, który go dla własnej przyjemności zbudował, lecz potem znudziwszy się tutaj, znów do miasta odjechał i napróżno na czynszownika czekał.

Rodille oglądał ten dom uważnie i był przekonany, że właściciel chętnie mu go na kilka tygodni wynajmie. Zdawało mu się to zbyt zbytecznym zwiździć pagórek i zamek i powrócił do Guimper, wy pytawszy się pierwszej o nazwisku właściciela, od którego dom po krótkim targu wynajął. Na drugi dzień Rodille, Horner i Blanka pojechali do wioski Vaubaron.

Pójdźmy teraz za Pawłem Mercier w Paryżu, który dowiedział się, że podróżni pojechali przez Alencon do Bretanii.

Paweł siadł w kilka godzin później na wóz pocztowy jadący do Brest; lecz ponieważ w wozie tylko jedno jeszcze miejsce wolne pozostało, to musiał wydać na to prawie cały swój skarb.

Na każdej stacyi wy pytywał powracających pocztylionów o szukanych, a pieniądze otwierał im usta tak, że od dwóch dowiedział się, że oni wieźli dwóch podstarzałych panów i młodą pannę.

W Rennes dzieliła się droga do Brest i do Guimper, a Paweł nie wiedział, dokąd ma się udać. Najmniejsza poszlaka nie mogła go poprowadzić,



aż wreszcie wziął za znak to, że konie u wozu głowę ku Brest zwróciły i pojechał tam. Jakże mu serce biło, gdy w Lamballe właśnie wtedy gdy jego wóz się zatrzymał, zobaczył odjeżdżający dyliżans, w którym spodziewał się znaleźć tak gorąco szukanych.

Pobiegł ku niemu, skoczył na stopień i spojrzął ku otwartemu oknu, lecz ku swemu przerażeniu ujrzał starego pana ozdobionego orderem i czytającego „Revue de deux mondes“ który zobaczywszy wyblądłe oblicze zawołał:

— A to głupiec jakiś!

Paweł uciekł i w biurze pocztowem dowiedział się, że od dwu dni nie jechał tędy żaden dyliżans. A więc zmylił kierunek, a nieszczęśliwy mógł wracać dwadzieścia cztery mil piechotą. Na darmo wyrzucił pieniądze na drogę; robił sobie cierpkie wyrzuty, lecz najniepotrzebniejsze zostaje zawsze zwątpienie, i tak wziął on wóz aby powrócić, chociaż jego pieniądze jak śnieg na słońcu stajały.

Przybył więc znów w kierunku Guimper, z wypróżnioną kasą, wziął odważnie kij w rękę i spieszył tam z febryczną niecierpliwością. Po dwunastogodzinnym marszu, w którym zrobił piętnaście mil, zmusiło zupełne znużenie przemocować w Ploermel w tym samym pokoju, w którym przed trzema dniami Vaubaron się zatrzymał.

Mimo sen niespokojny i często przerywany wstał rano i udał się dalej w drogę. Głowa bolała go straszliwie, puls bił mocno, lecz jego ożywiała jedna tylko myśl, iść dalej walcząc usilnie z bólem; tak



przeszedł Sosseliu i zbliżał się do Lormine, gdy oczy émić mu się poczęły, a pod jego nogami ziemia chwiać mu się zdawała.

— Odwagi, odwagi — mówił on — to nie, ja ją odszukam, bo ja ją odszukać muszę.

Oparł się na lasce, lecz sądził, że ona się gniew pod nim jak pręcik. Paweł zachwiał się i upadł bez przytomności w wilgotny rów, ciągnący się wzdłuż drogi.

Z tego stanu obudziło go uczucie zimna i gorąca, a gdy otworzył oczy ujrzał źle ubranego mężczyznę z siwą brodą, który mu w zimnej wodzie zamaczaną chustkę do czoła przykładał i do gardła wódkę z flaszki wlewał. O kilka kroków stał wózek, a przy nim nędzny, chudy koń i wielki wyżeł był w pobliżu.

— No, lepiej teraz? — zapytał ów człowiek, gdy Paweł oczy otworzył.

— O wiele lepiej! Mam to panu zawdzięczyć.

— Robiłem to, jak mogłem. Miałem pana za umarłego, gdy zobaczyłem, że pan tam leżysz. Lecz Bogu dzięki, przeszło to jakoś. Ale skądże to przyszło?

— Nie wiem. Owładnął mnie oblęd i upadłem.

— Pan z daleka przychodzi?

— Z Paryża.

— Piechotę? — zawołał Vaubaron, on to bowiem był.

— O nie, piechotę przychodzę dopiero z Rennies, lecz jużem się do tego przyzwyczaił i zrobiłem wczoraj piętnaście mil.

— A dzisiaj siedm. A to rozumię pańskie znu-



zenie. Masz pan daleko jeszcze iść?

— Nie wiem tego, chcę bowiem odszukać osoby, które mnie bardzo obchodzą, więc nie mogę na pewno oznaczyć, jak długo potrwa moja podróż.

Vaubaron nie chciał się naprzykrzać zbytnią ciekawością, nie pytał więcej, rzekł tylko:

— Ja jadę do Guimper i ofiaruję panu chętnie miejsce na moim wozie, lecz ja jadę bardzo powoli:

— Ileż potrzebuje pan do tego czasu?

— Dwadzieścia ośm mil daleko, a więc trzy dni.

— A to nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, zajdę piechotą prędzej.

— Jesteś pan tego pewnym?

— Uszedłem wczoraj piętnaście godzin drogi.

— Ale nie ujdiesz pan dzisiaj i jutro.

— Ja chcę, a wola dodaje siły.

— Widziałeś pan co dopiero. Lecz młodość nie wierzy. Próbuj pan iść dalej.

Podał Pawłowi rękę, ten podniósł się, lecz za ledwie uszedł kilkanaście kroków a nogi mu się chwiać poczęły, bliski upadku zawołał z rozpaczą.

— Nie idzie, nie idzie, o mój Boże!

— A więc widzisz kochany panie, że musisz przyjąć moją radę — mówiąc to wysadził Pawła na wóz, podłożył mu słomę pod głowę i mówił dalej z ojcowską troskliwością:

— Sen pana najlepiej wzmocni, lecz zachowuj się pan spokojnie, bo z tyłu jest mój cały majątek, mój zarobek, moje figury woskowe, a one łatwo się psują, jak to pan pojąć możesz.

Tak znaleźli się na krańcu Francyi dwaj ludzie,



którzy się nie znali, którzy się może nigdy zejść nie powinni, a którzy jedną i tą samą myśl żywili, i jeden tylko cel mieli, tak znaleźli się narzeczoney i ojciec Blanki.

### XXXVII.

Rodille i Horner nie mogli, jak się to łatwo domyślić można, obudzić podejrzenia mieszkańców wsi sąsiedniej i tak upłynęło cztery dni, nim się zabrali do dzieła, które ich do wnętrza Bretanii sprowadziło. Rodille sprowadził kilka toporów, motyk, rydlów i haków, które mu się do przedsięwzięcia wystarczającymi wydały. Zupełnie spustoszały ogród około domu był powodem, że te przedmioty, wydawały się tu potrzebne. Doktor zaś z swojej strony oprowadzał Blankę codziennie przez dłuższy czas po nad brzegiem morza.

Młode dziewczę nie pojmywało wcale tego zajęcia, które się w najmniejszej części z jej zwykłym sposobem życia nie zgadzało i byłaby się czuła szczęśliwą, gdyby nie żywiła ciąglego niedowierzania i gdyby nie obawa, że Pawła nigdy więcej nie obaczy. Zresztą spoglądała na rozległe morze i skaliste wybrzeża Bretanii z natchnieniem, połykając silne powietrze morskie pełną piersią, co jej w przeciągu trzech dni zupełnie siły wróciło, chociaż wyglądała jeszcze zawsze jak biała róża.

Czwartego dnia w piękną prawdziwie noc, gdy już wszyscy mieszkańcy w otoczeniu w głębokim śnie byli pogrążeni, rzekł do Blanki Rodille, który jej w ostatnich czasach zawsze ojcowską troskli-



wość okazywał:

— Wspaniała pogoda zaprasza nas do przechadzki, lecz nie możemy zostawić Blanę samą; chcesz nam towarzyszyć?

— I owszem, a dokąd?

— Ach mój Boże, niedaleko; na szczyt tego wzgóрка, gdyż przy świetle księżycowem, które się zaraz okaże, sprawiają takie ruiny cudowny widok. Weź pani szal na siebie i chodź.

Iskra poezyi, jaką Rodille okazał, zdziwiła nieco Blanę, lecz nie znajdywała w tem nic niepokojącego. Zresztą mówił on prawdę; ruiny oświetlone jasnym światłem księżycowem, które znów najczarniejsze rzucały cienie, sprawiały magiczny widok, przy którym Blanka zawołała:

— Ach, jak to piękne, wspaniałe i nieskończenie smutne! A, ptak nocny! To mię przeraża! — zawołało dziewczę nagle, gdy wleciała sowa i wydała swój nieprzyjemny głos.

— A dlaczego? — zapytał Rodille śmiejąc się — nie przeczuwasz pani, że to duch tych ruin, który nas wita.

Gdy te słowa zamieniono, przyszli na otwarte miejsce, otoczone wprawdzie ruinami, lecz mniej pokryte gruzami. Prawdopodobnie był to dziedziniec zamkowy, na środku stał słup granitowy, podobny do ołtarzy, na jakich kapłani bożków pogańskich, w Bretanii swe straszne ofiary z ludzi przynosili.

— Siadaj pani — rzekł Horner do swej towarzyski wskazując ten kamień — i spij.



Mimowolnie słuchając usiadła Blanka i szepnęła tylko:

— A więc po to tu przyszłam.

Po kilkunastu sekundach była pogrążona w śnie magnetycznym.

— Co pani widzisz?

— To, co przed kilku dniami.

— Co jest pod nami?

— Podziemne sklepienie.

— A w niem?

— Skarb niezmiernej wartości.

— Zaprowadź nas pani do ukrytego wejścia.

Blanka podniosła się, a było to po raz pierwszy, że ona w śnie magnetycznym się poruszała, na co obaj mężczyźni patrzyli z ciekawością i zajęciem. Blanka szła powoli, lecz więcej jak automat, który nie chcąc idzie za wewnętrznem urządzeniem kółek. Zamknięte oczy nie mogły ją prowadzić, a przecież obchodziła ostrożnie każdą przeszkodę, nie dotykając się jej, idąc pewną nogą przez kamienie i pnie drzew, a pewniej nawet jak Rodille i Horner na jawie i z otwartymi oczami. Tak przyszła do wschodów czworograniastej wieży, która miała tylko połowę dawnej wysokości, jej wehód zasłaniały cierniste gałęzie, wyższe i gęściejsze tutaj jak na każdym innem miejscu; tu wydawały się one nie do przebycia. Nie czując zupełnie ostrych cierni, jak się zdawało, zginała jasnowidząca gałęzie i szła dalej przez nie, podczas gdy one za nią znów się zawierały, a obaj mężczyźni mogli wtedy dopiero iść dalej, gdy sobie twarz i ręce podarli cierniami.



Znaleźli Blanę stojącą nad okrągłym, do studni podobnym otworem, jeden tylko krok naprzód a byłaby upadła w przepaść.

Rodille schylił się, podniósł kamień i rzucił go w dół, a po kilku sekundach słyhać było, że padł w wodę, wydając głucho, słabe i zaledwie słyszalne echo. Mężczyźni popatrzyli na siebie niespokojnie a Rodille rzekł:

— Do czarta, zdaje mi się, że to znacznie głęboko.

— Dowód, że ta przepaść idzie przez całą skałę i że znajdujemy się wysoko nad powierzchnią morza.

— Blanka się pewnie myli; tu nie znajdziemy żadnego skarbu.

Horner zwrócił się do jasnovidzącej:

— Dla czego zaprowadziłaś nas pani nad tę przepaść?

— Ponieważ do skarbu żadna inna droga nie prowadzi.

— Dwadzieścia drabin nie wystarczy na tę głębią.

— To zbyt cenne. Dla mnie nie ma żadnej ciemności; widzę szereg żelaznych obręczy, które są dość silne aby oprzeć ręce i nogi i zstąpić odważnie w przepaść.

Horner zapytał:

— Trzeba iść aż na dno?

— Nie; w głębokości dwudziestu stóp otwiera się szeroki chodnik, który prowadzi do podziemnego sklepienia.

— Jesteś pani w stanie prowadzić nas?

— Tak jest.

— A więc prowadź.



Zaledwie wymówił te słowa a Blanka uklękała, chwyciła ręką niewidoczny przedmiot i znikła w ciemnej głębi.

— No, musimy iść za nią — zauważył Rodille.

— Rozumie się — odpowiedział Horner — lecz ta ciemność uniemożliwia to, ślepi nie mogą wychodzić na odkrycia.

— Na to jestem przygotowany, oto światło.

Rodille zapalił dwie świece woskowe, podał jedną towarzyszowi. Po wspomnionych obręczach, które były tak blisko siebie jak szczeble u drabiny, zeszli szybko na dół i znaleźli Blankę w szerokim chodniku. Horner rzekł do niej:

— Prowadź nas pani dalej.

Powoli i jak maszyna szła jasnowidząca naprzód. Po chwili zatrzymała się, wskazała miejsce w murze po prawej stronie i rzekła:

— Tędy idzie droga.

— Trzeba mur przebić?

— Tak jest. A potem jeszcze pięć murów i jesteśmy przy skarbie.

— Dziś nie możemy nic przedsięwziąć bez narzędzi — zauważył Horner.

— Mamy je tu za pięć minut, bo przewidując te przeszkody ukryłem wszystko co potrzeba w ruinach. Za chwilę jestem tu napowrót.

Po kilku minutach przyniósł narzędzia. Mężczyźni wzięli się do ciężkiej roboty, bo te mury pochodziły jeszcze z rzymskich czasów. Pracowali do rana t. j. do piątej godziny a przebili przecież dopiero dwa mury. Pozostawała im więc na przy-



szłą noc jeszcze podwójna praca.

Wreszcie w trzecią noc, około trzeciej godziny z rana pękł ostatni mur, a Rodille skoczył z latarnią w rękę w sklepienie i zawołał, jak kilka dni przedtem do jasnowidzącej: złoto, złoto, mój Boże tyle złota!

Było tak, jak Blanka powiedziała; na ziemi leżało pełno złota, a widok tylu bogactw byłby najbezinteresowniejszego filozofa zachwiać zdołał. Horner nie chciał wierzyć własnym oczom; stał patrząc na bogactwa upojony szczęściem, że one mają być jego częścią. Rodille był jak oszalały, rzucał się na złoto, tarzał się w niem, chciał je brać wszystkimi zmysłami, pełnemi garściami napełniał czapkę na głowie, z której złoto jakby deszcz padało, a jego wzruszenie wzrastało od chwili do chwili.

— Wreszcie, wreszcie, jestem rzeczywiście bogaty! — krzyczał on, nie wiedząc co mówi. — Moje, moje! Wszystko moje! Te skarby, te miliony!

Fryderyk Horner jednak odwrócił żywo głowę i rzekł ostrym głosem:

— Sądzę, że pańskie słowa, źle pańską myśl wyrażają; chcesz pan prawdopodobnie powiedzieć, że to wszystko należy do nas dwóch, te skarby i te miliony.

Te kilka słów magnetyzera obudziły Rodilla.

— Zdaje mi się, kochany — rzekł on — że pan zanadto wiele mówi. Pańskie interesa są mi tak drogie jak moje, a jeżeli mówię mój skarb, moje miliony, to się samo przez się rozumie, że mówię o mej części!



— A, to co innego — odpowiedział Horner — bo widzisz mój najdroższy panie, że mimo mego łagodnego charakteru, byłbym rozbestwionym lwem, gdybyś mię miał pan wystrychnąć na dudka.

— Ależ o tem nawet myśleć nie można. Oddawna masz pan moje najżywsze współczucie, dziś dołącza się jeszcze do tego respekt, jaki się ma przed bogatymi ludźmi, a więc precz z kapeluszem przed milionami i milionerami.

— Jakżeż to wszystko stąd zabierzemy — zapytał Horner po długiej pauzie — to wymaga wiele czasu. Moje kieszenie nie wiele pomieszczą złota.

— Nie troszcz się pan o to; ja który o wszystkim myślę, przyniosłem małe wory, które są każdorazowo trwalsze, niż ich poprzednicy. Nuże więc do roboty, a jeżeli będziemy pilnymi, to jeszcze tej nocy drugą podróż przedsięwziemy.

Obaj napełniali wór po worze a Rodille znalazł dyamenty i drogie kamienie w żelaznej skrzyneczce, podobne zupełnie do tych, które mu Laridon zrabował; Horner wskazał na nie i rzekł:

— To także na równe części jak i inne.

— Do czarta, kuzynku, jesteś dziwnym sknerą. Jeżeli pan niedowierzasz, to nieś także skrzyneczkę, ona jest ciężka i niewygodna do niesienia.

Magnetyzer nie odpowiedział mu nie, bo jego własny ciężar uciskał go dosyć. Obaj opuścili ruiny i ukryli swe skarby w najtajniejszym kącie domu. Gdy się to stało, zamknęli starannie drzwi prowadzące do mieszkania jasnowidzącej, poszli jeszcze raz do sklepienia, a gdy wrócili, zaczęło



świtać na wschodzie. W następnych dwu nocach chodzili tam znowu, ubogi dom napelniał się skarbami i zawierał już miliony, a sklepienie staro Hugenoty zawierało w sobie jeszcze dwa razy tyle. Wtedy rzekł Rodille do magnetyzera:

— Kuzynku, ten dom nie jest dobrym schowkiem dla takich skarbów, wiesz to pan tak dobrze jak i ja, i pierwszy lepszy śmiałek może nas okraść. Przenieśmy najprzód tę część w pewne miejsce schronienia, a potem znów tu powrócimy. Nie odważamy się na nic, bo nikt nas nie zdoła pozbawić tajemnicy podziemnego sklepienia.

Gdy i doktor był tego samego zdania, udał się Rodille do Guimper, kupił wóz i konia, a zarazem dwa zupełne ubrania wieśniacze, w jedno ubrał się i do domu wieśniaczym wozem powrócił. Blanka miała spać na wozie, a obaj mężczyźni iść obok niego.

Zbliżył się wieczór wietrzny, pełny grzmotów i błyskawicy, burza wrzała na morzu a Rodille był niespokojnym i drażliwszym jak zwykle.

— Nim zaprzęgniemy, podzielmy się.

— Nic trudnego, każdy połowę i basta.

— Połowę? — wołał Rodille śmiejąc się złośliwie — tak pan myślisz? Lecz ja nie, ja żądam dwie trzecie.

— Jakiem prawem?

— Jedną trzecią, jako znalazca skarbu; bezemnie nie słyszałbyś pan nigdy o nim.

— A pan bez mojej jasnowidzącej, a więc także



nie miałbyś bezemnie ani szeląga.

— A więc, nie sprzecajmy się dłużej nad słuszością albo niesłuszością, ja chcę dwie trzecie, i do czarta dostanę je.

— Czemże mię pan zmusisz, jeżeli ja nie chcę?

Zastrzelę pana jak psa.

W chwili, gdy to Rodille wypowiedział, wyciągnął dwa małe pistolety i wycelował do Hornera, lecz ten z równą szybkością wydobył swoje i podniósł ku przeciwnikowi. Ten zaczął się śmiać i rzekł:

— Byłoby szkoda, gdybyśmy się obaj zabili, uznaję pańskie przyczyny, dostanieś pan połowę.

— Seryo?

— Nie wąp pan o tem. Tu składam moje pistolety, idź pan za moim przykładem i bądźmy nadal dobrymi przyjaciółmi.

Rodille zrobił, jak powiedział, Horner schował pistolety; lecz w tejże samej chwili spuścił kurek jednego i strzelił do Rodilla, który się do niego zbliżał, ten zachwiał się, ale nie upadł, bo kula zatrzymała się na silnym miedzianym bretańskim pasie.

— Dobrze trafione — rzekł on — teraz kolej na mnie — wydobył pistolet i strzelił do Hornera o cztery kroki, nim tenże miał czas wydobyć drugą broń: Horner upadł jak ścięty dąb nie wydawszy ze siebie głosu. Na strzał i upadnięcie odpowiedział głuchy krzyk z przyległego pokoju, a Rodille przypomniał sobie, że magnetyzer zamknął tam Blanke, która teraz słyszała a może nawet i widziała wszystko — ona wie za wiele — rzekł on zimno — ona



musi umrzeć.

Szybko otworzył drzwi, lecz pokój znalazł próżny. Młode dziewczę wyskoczyło przez okno, które tylko trzy stopy po nad ziemię było osadzone i korzystając z ciemności uciekła. Rodille strzelił na wiatr za nią, a błysk strzału pokazał mu lekką postać uciekającej. Wystrzelił drugi raz z pistoletu Hornera i wyskoczył przez okno aby Blankę ścigać.

### XXXIX.

Zostawiliśmy Vaubarona jadącego z Sosseliu do Lorminé; szedł on obok konia, a Paweł Mercier leżał na wozie. Wśród drogi mówił mechanik do siebie:

— Wielbię cię, mój Boże, żeś mię uznał godnym pomódz temu biednemu; dozwól mi zawsze odpłacać ludziom dobrem za to, co mi złego uczynili.

Te błogie myśli były w istocie łagodzącym balsamem na ciężkie cierpienia naszego bohatera, który szedł obok wozu i przekonany, że jego pupil spi, nie mówił nic do niego, dopóki nie przyjechali do gospody Cop-Hardi, jedynej w całym Lorminé.

— Tu, mój młody przyjacielu, możesz zesiąść i dostać według upodobania albo pokój z dobrem łóżkiem, albo wiązkę słomy w stodole.

Vaubaron nie otrzymał żadnej odpowiedzi: rzucawszy atoli wzrok na wnętrze wozu, zobaczył do żywego zaniepokojony, że biedak osłabł zupełnie. Vaubaron wziął go na ramiona, zaniósł do gospody i ułożył w łóżku. Paweł Mercier przyszedł do siebie, lecz silna febra dręczyła go bez ustanku przez



czterdzieści ośm godzin. Vaubaron pielęgnował i usługiwał mu, z wyjątkiem kilku godzin, w których jeździł w okolicę i dawał często dziennie trzy przedstawienia, aby powiększyć swoje środki pieniężne. To trwało prawie tydzień, a Paweł wyzdrowiał o tyle, że mógł znów znosić trudy. Gdy się od gospodarza dowiedział, że ten pojedzie na jeden dzień do Guimper, prosił go, aby go wziął ze sobą, co dziarski Bretończyk przyrzekł. Do Vaubarona, którego imienia nie znał, napisał kilka wierszy, aby czekał na niego w Lormine, gdyż jego nieobecność potrwa tylko krótki czas.

W Hennebon zatrzymał się gospodarz, a w tym krótkim czasie dowiedział się Paweł, że przed dwunastu dniami przejechali tamtędy dwaj starsi panowie i młoda panna, którzy udali się do Guimper. W Guimpelé dowiedział się, że młoda panna była blondyną bladą i smutną i że piła tam wodę, którą sobie z wozu podać kazała. Mogła to być tylko Blanka.

W godzinę później jechał dziarski Bretończyk po bruku w Guimper. Aż dotąd było niebo pogodne; teraz atoli okazały się na horyzoncie ciemne chmury, a na oceanie nowe groźne zmarszczki. Gospodarz wyciągając rękę rzekł:

— Dziś w nocy będzie tęga burza, mój młodzieńcze; rozumiem się na tem dobrze, byłem długi czas rybakiem. Gdybym był wolnym, tobym nie czekał, ale ja mam żonę i dzieci.

Gdy Jan Vaubaron powrócił do Lormine, przeczytał list Pawła, który dwie godziny przedtem



odjechał, zjadł mierny objad, przygotował się znów do podróży i zostawił wiadomość, że po dwóch dniach powróci. Vaubaron oznaczył sobie drogę, lecz pod wieczór zawrzała silna burza i niedozwoliła mu osiągnąć wieś, którą na nocleg wybrał. Chciał on na drugi dzień dłużej wypocząć, dawał krótkie przedstawienia i popędzał swego chudego konia więcej jak zwykle, lecz ten stanął, chociaż do najbliższej miejscowości trzeba było jechać jeszcze trzy godziny.

Strasliwa burza groziła wybuchem, lecz na szczęście znalazło się w pobliżu coś, co było podobne do chaty z gliny i drzewa, bez drzwi i okien. Jakkolwiek źle to wszystko wyglądało, to jednakowoż musiało wystarczyć dla podróżnego, i przydało się w istocie, gdy deszcz padać począł. Mechanik ustawił wóz na boku drogi, wyprzągnął konia, który poszedł skubać trawę, zaniósł do chaty wiązkę słomy i puścił Tristana, który od dwu dni okazywał znaki jakiegoś żywego, dziwnego niepokoju, i w ogóle zmienił się zupełnie, stawszy się tak złośliwym, że pan musiał go przywiązać do koła wozu, aby jakiego przechodnia nie pokąsał. Vaubaron rozpalil ogień, ułożył się na słomie i wkrótce potem usnął.

Podczas gdy on spi, pójdźmy za Rodillem, który wystrzeliwszy dwa razy wyskoczył oknem, aby ścigać Blankę. Jego oczekiwanie, że ją zaraz złapie, zostało zawiedzionem, bo biedne dziewczę osiągnęło prędko lasek i przy pomocy ciemności znikło w gęstych drzewach. Ujrawszy wkrótce próżne usi-



łowania, pomyślał nad tem, aby jak najprędzej opuścić to miejsce, które mu mogło być bardzo niebezpiecznem. Powrócił szybko do domu, zaprzągnął konia, ukrył wszystko złoto w słomie i chruscie, poznając dobrze, że nie pozostaje mu nic innego, jak szybki odjazd. Nędznik nie pomyślał nad ogromnym ciężarem, który koń na złej drodze ledwie mógł poruszać i niezadługo upadł pod batogami bezsilny na ziemię.

Rodille pienieł się ze wściekłości i wyrzucił wiele strasznych przekleństw podnosząc konia i widząc się zmuszonym zakopać znaczną część złota, a i tak jeszcze poruszał się wóz bardzo powoli, bo gwałtowny deszcz popsuł wszystkie drogi. Roztropnie ominął Guimper, aby nie być poznanym w gospodzie, w której przed dwoma dniami się zatrzymał. Gdy dzień nadszedł, obawiał się nędznik, aby się nie spotkał z bretańskimi wieśniakami, których stroju używał, lecz mowy nie rozumiał. Zdarzało się nieraz, że bandyci pomagali sobie dawanem znaków, że są niemi. Ludzie, którzy mówili po francusku i których on rozumiał, dziwili się niezmiernie, że taki tęgi koń tak trudno ciągnie próżny prawie wóz i pytali czy te wory, które leżą pod słomą, nie zawierają talarów. Rodille drżał wskutek tak niebezpiecznych żartów. Wkrótce postanowił jechać tylko w nocy i pojechał w gęsty las, aby tam resztę dnia przepędzić. Pod wieczór jechał dalej nabiwszy cztery pistolety, ukrywając dwa z nich w kieszeniach, a dwa trzymając w ręku, aby w razie niebezpieczeństwa mógł strzelać.



Zbrodnie jakie dokonał na Fryderyku Hornerze i Blance mogły łatwo naprowadzić do jego odkrycia, postanowił zatem nie wracać do Paryża, gdzieby go władze łatwo odszukać mogły; zamyślił więc pojechać do małego portu rybackiego, oddalonego od Guimper o dwadzieścia lub trzydzieści godzin jazdy, kupić tam silną barkę, nająć trzech wioślarzy i pojechać do Anglii, gdzieby mu jego miliony, które miał ze sobą, wygodne życie dawały.

O trzeciej godzinie z rana obudziło Vaubarona gwałtowne szczekanie Tristana. Kazał psu być cicho, lecz to podwajało jego wściekłość. Drugi raz słyszał mechanik tak gwałtowne szczekanie wyżła, raz w nocy, w której zamordowano Laridona, drugi raz w Ploermel, gdy dwóch mężczyzn z młodą dziewczynką pojechało do Guimper; rzekł on do siebie, że byłoby to karygodnem lenistwem nie zważać na powtarzany znak; był on przekonany, że instynkt psa przestrzega przed niebezpieczeństwem, albo nieprzyjacielem. Podniósł się z legowiska, wyszedł z chaty i wkrótce usłyszał uciążliwe stąpanie konia ciągnącego ogromny ciężar.

— Kto tam? — zawołał, a gdy żadnej odpowiedzi nie otrzymał, wołał dalej: — Ktokolwiek to jest niechaj się zatrzyma, albo się go do tego zmusi.

— Jeżeli tak, — wołał Rodille, myśląc, że ma ze zwykłym złodziejem do czynienia, to radzę ci po prostu, abys poszedł sobie swoją drogą, bo w przeciwnym razie palnę cię kulą w łeb.

Vaubaron zaryczał jak tygrys, bo poznał głos



człowieka, który mu już raz umknął, a mianowicie mordercę z ulicy Pas-de-la-Mule i mordercę z Montevillier. W przekonaniu, że Bóg dał mu go w jego ręce, rzucił się Vaubaron na Rodilla, który do niego dwa razy strzelił, podniósł nieprzyjaciela jak dziecko, ścisnął mu dłonią gardło i zaniósł do chaty. Bandydzie brakowało do obrony: spokoju i przytomności umysłu. Zamiast wyprzeć się wszystkiego, coby mu się łatwo udało, bo mechanik nigdy jego twarzy nie widział, wołał Rodille ciągle:

— Zlituj się nademną, nie zabijaj mię.

— Ciebie zabijać, — odpowiedział Vaubaron z wyrazem nieopisanej nienawiści i pogardy, nie obawiaj się, tego ci nie zrobię, ty umrzesz nie tutaj, umrzesz nie odemnie.

— Cóż zresztą ze mną zrobić zamýślasz? Wydać mię? O nie czyn tego, na cóżby ci się to przydało? Ja jestem bogaty, bardzo bogaty, sto razy bogatszy jak ty myślisz. Podzielę się z tobą całym majątkiem, albo jeszcze więcej, oddam ci wszystko, lecz puść mię.

— Milcz, — zawołał przeciwnik, oszczędzę cię dla kata. A jeżeli swą zuchwałość posuniesz do obrażenia mnie, to ci go na tym tu miejscu zastąpię.

Zaledwie Vaubaron Rodilla do chaty zaniósł przestał Tristan szczeakać, a stanąwszy przed nieprzyjacielem patrzył na niego pałającym wzrokiem; Vaubaron związał Rodillemu ręce na plecach, potem nogi i zostawiwszy go na słomie opuścił chatę.



## XXXX.

W małej drewnianej skrzyneczce na wozie były kawałki świec woskowych, któremi mechanik oświecał miejsce swych przedstawień. Zapalił jedną z nich, postawił ją na ziemi w chacie i rzekł do Tristana:

— Uważaj na niego; on należy do nas, baczność!

Wyżeł zawył dziko, gryzł z całą siłą sznur, do którego był przywiązany i zachowywał się jak tygrys, który widzi się od swego łupu oddalonym. Vaubaron wyprzągnął konia Rodillego, silniejszego i młodszego od jego i odjechał szybko.

Zaledwie tylko bandyta został sam, a już pierzełła od niego wszelka obawa, pod której wpływem utracił siłę rozważania, rzekł zimno, do siebie, że człowiek, który drży, sam przykłada rękę do swej zguby, i że jego położenie nie jest jeszcze teraz bez nadziei.

— Chodzi tylko o to — mówił on do siebie — abym się uwolnił z mych więzów, bo ten głupiec Vaubaron powierzył straż nademną psu, mocno uwiązanemu, co mi się wydaje więcej śmiesznem, jak niebezpiecznem. Rozerwać moje więzy, to główna sprawa, lecz jakże dojsć do tego?

Rodille usiłował wydobyć ręce z więzów, lecz na próżno, z przekleństwem uznał niemożebność uwolnienia się w ten sposób i był już bliskim rozpacz, gdy mu nagle nowa myśl przyszła. Więzy były wprawdzie nierozwiązalne, dozwalały jednakowoż na pewien stopień poruszania się. Przyto-



czył się do świecy, którą Vaubaron na ziemi zostawił i odważnie trzymał swe ręce nad płomieniem tak długo, dopóki więzów rozerwać nie zdołał. Chciał zarazem rozciąć więzy na nogach, lecz napróżno szukał po kieszeniach noża, który zawsze miał przy sobie; musiał go niezawodnie zgubić wtedy, gdy go mechanik niósł tutaj.

Nie mogąc ich rozciąć, musiał je rozwiązywać, do czego potrzebował czasu kilku minut. Wreszcie uwolnił się z więzów i jednym skokiem stanął w drzwiach, lecz cofnął się natychmiast, bo sznur, którym był Tristan przywiązany był dosyć długi, aby wyżeł mógł dojść do drzwi i stanął tutaj milcząc, lecz zarazem pieniać się ze wściekłości, patrząc błyszczącymi oczyma na człowieka, który myślał że jest już od strasznych ukąszeń psa szarpanym.

Gdy Rodille w najodleglejszy kąt się cofnął, przemyśliwając nad innym środkiem ucieczki, ułożył się pies w drzwiach w postaci sfinksa. Chwilę myślał bandyta nad tem, aby przepalić dach i uciec tym sposobem, lecz narażał tem życie i wolność, postanowił więc wyłamać glinianą ścianę. Ściana z gliny i chrustu nie długoby się była opierała ścisniętym na pół opalonym rękoma Rodilla, gdy nagle straszny szelest odwrócił go od pracy a on popatrzył na Tristana; wyżeł stał się jednej minuty zupełnie nie do poznania, straszliwe nieszczęście zdawało się psem o władnąć, jego oddech był gwizdzącym, kurczowo uderzał długim ogonem, chwiał się i chareczał, jakby mu coś gardło dusiło; jego oczy



błyszczały i zdawały się wychodzić z głowy, gęsta piana toczyła się z paszczy. Rodille drżał na całym ciele i zawołał:

— Jestem zgubiony, pies się wściekł.

Miał słuszną, wilczyca, którą pies zagryzł przed kilku dniami, była wściekłą, a jej ukąszenia zgotowały dziarskiemu Tristanowi straszne nieszczęście, które się teraz na nim okazało. Po krótkim czasie uspokoił się więzień, bo pomyślał sobie, że sznur jest za krótki, aby psa dopuścić do niego i zabrał się z tem większą pilnością do pracy.

W ten sposób upłynęło znów kilka minut a gdy na szelest innego rodzaju odwrócił się więzień, spostrzegł, że Tristan usiłował przegryźć sznur, którym był przywiązany.

— O Boże, mój Boże! — wyjąknął ledwie na pół umarły.

Pies gryzł i gryzł, i słyhać było, jak nitki pod jego silnemi zębami pękały, tak długo, dopóki się sznur nie przerwał. Rodillemu wydawały się te kilka sekund latami.

Dreńczony strasznemi bolami tarzał się Tristan więcej, niż szedł naprzód i zdawało się, że w ten sposób skończy. Na ten widok pomyślał Rodille:

— Nie zobaczy mię, mogę wyjść.

Lecz zaledwie skoczył ku drzwiom, pies się podniósł, bandyta się cofnął, Tristan był przygotowany do skoku.

Opuściliśmy Vaubarona w tym czasie, gdy on dosiadłszy konia, co siły pędził do miasta, by wezwać władzę do pośrednictwa w uwiezieniu mordercy,



przez którego cierpiał tyle przez lat dwanaście.

Ujechał już dość daleko, gdy nagle został otoczonym przez kilku jeźdźców; było to pięciu żandarmów.

— Moi panowie — rzekł Vaubaron, dzięki Bogu, zem panów spotkał, bom właśnie jechał za wami.

— A to po co?

— Aby wydać wam ciężkiego zbrodniarza.

— Mówisz pan o zbrodni, która przed trzema nocami o trzy mile od Guimper popełnioną została?

— O tem nie wiem, lecz zaręczam, że człowiek, którego panom wydają, jest zdolny każdej zbrodni i mogę mu udowodnić dwa morderstwa.

— Gdzież on jest?

— Zaprowadzę panów do niego.

Żandarmi otoczyli Vaubarona, który pędził z nimi klusem tam, skąd przybył. W czasie jazdy oglądał przywódca nie bez niedowierzania ubogie ubranie człowieka, który mu mało szacunku dla siebie okazywał, i postanowił oddać go pod śledztwo, skoro się tylko do tego nadarzy sposobność. Nie jechali godziny, gdy się zbliżyli do chaty.

— Cóż to za wozy?

— Jeden jest moim, a drugi człowieka, którego macie panowie teraz pojmać.

— Zawiodłeś go pan do tej chaty?

— Tak jest.

— Ależ tam drzwi otwarte.

— Nie to nie szkodzi, on jest dobrze strzeżony.

Przywódca, dwóch żandarmów i Vaubaron zleźli z koni, przeskoczyli rów i poszli do chaty. Pier-



wszy zaglądnął do niej, obrócił się i zawołał do mechanika:

— Cóżes nam opowiadał towarzyszu? Tu nie ma przecież nikogo?

— Nikogo! Co pan mówi, nie ma nikogo? — zawołał Vaubaron przerażony.

— Uduszony pies i nie więcej. Patrz pan sam.

— A, łotr, znów umknął.

— To nic trudnego — rzekł drugi szydereo — trzeba go więc ścigać. Ale pokaż pan swoje papiery, mój kochany.

— Papiery! Nie mam ich — odpowiedział Vaubaron szorstko — lecz nie to nie szkodzi, pełnij pan swój obowiązek i aresztuj, nie stawiam żadnego oporu, lecz tylko prędko i błagam pana na kolana, nie trać pan ani minuty, zawieź mię pan przed sędziego śledczego, lub kogo innego, chodzi tu o honor niewinnego a ukaranie skrytobójcy!

— Do czarta, panu się bardzo prędko dzieje — rzekł żandarm — przezemnie, nie mam tu nic do czynienia, a więc na koń i marsz!

Jeden jeździec został w chacie dla strzeżenia wozów a inni pojechali szybko z Vaubaronomem.

#### XXXXI.

Pawłowi Mercier jadącemu z gospodarzem z Coq-Hardi przez bruk miasta Guimper zdawało się, że na rogu jednej ulicy ujrzał twarz Rodilla, zeskoczył więc z wozu, aby ścigać zbrodniczego dyrektora bióra, lecz nie mógł go znaleźć, czy się może łudził, czy też z innej przyczyny. Rozgniewany tem,



żywił przecież nadzieję, że jest na tropie Blanki i jej uwodzicieli i chodził po wszystkich gospodach dopytując się o podróżnych, których wedle możności najdokładniej opisywał.

W ten sposób znalazł wkrótce gospodę, w której się oni przed czterdziestu ósmiu godzinami zatrzymali i dowiedział się, że Paryżanie najęli w pobliżu morza dom oddalony od Penmarkh o pół mili. Było to wszystko, czego sobie życzył, odurzony pewnością, że wkrótce ujrzy swą narzeczoną, zapomniał o tem zupełnie, że gospodarz z kolacją go oczekuje i chociaż dzień miał się ku schyłkowi, to jednak nie tracił ani minuty, i poszedł w kierunku Penmarkhu.

Szedł zaledwie godzinę, gdy noc nadeszła i powstała burza, która już długo groziła. Białawy uderzały z hukiem o skały, pioruny oślepiały go co minuty, a silne wiatry groziły mu powaleniem o ziemię, lecz Mercier szedł całą noc dalej, nie wiedząc czy się do celu przybliża, czy oddala.

Gdy ranek zaświtał, ujrzał Mercier przed sobą o dwieście kroków dom, w którym poznał ów samotny, jaki mu w Guimper opisano. Nie zważając na znużenie i zimno, które go do kości przejmowało, zbliżał się z bijącym sercem szybko do niego. Drzwi były otwarte a on wszedł gwałtownie bez oddechu, lecz pierwsze jego spojrzenie padło na zimnego, zdętwiałego trupa Fryderyka Hornera leżącego w kałuży krwi.

Paweł wydał okrzyk przerażenia, obawiał się bowiem, by doktor nie był jedyną ofiarą, zbladł i



był już blizki upadnięcia. Lecz wkrótce zapanował nad sobą, przebiegł wszystkie pokoje, wołając Blanę a gdy wszystkie usiłowania były próżne, pobiegł do lasu, wołając ciągle drogie imię, przerywając tylko kurczowem westchnieniem.

Naraz podniosła się w szerokim lesie lekka postać, powabne zjawisko w ciemnym otoczeniu wśród stuletnich dębów i słuchało z nateżeniem głosu wołającego „Blanko“, a po chwili biegło dziewczę po mokrej trawie, śmiejące i szczęśliwe mimo bladeści i cierpienia rzuciło się w ramiona narzezonego.

— O mój drogi Pawle, o tobie tylko myślałam gdy byłam już bliską śmierci, teraz jesteśmy połączeni i nie rozłączymy się już więcej, nie zniosłabym naszego rozłączenia, ani tych ostatnich dni, które przeżyłam.

Potem opowiedziała krótko ostatnie zdarzenia.

— O ten nędzny Rodille, ten lotr — wołał Mercier — przebrał wreszcie swą miarę, to jego zbrodnia!... Moja droga Blanko, jesteś w stanie pójść do Guimper?

— Jeżeli chodzi o opuszczenie tego domu, to dobrze.

W dwie godziny później złożyła Blanka swe zeznanie w sądzie, sędzia śledczy udał się do samotnego domu, na miejsce zbrodni, aby zbadać stan rzeczy, a zarazem wydano rozkazy, ścigania zbrodniarza we wszystkich kierunkach, poruszono żandarmerów i wieśniaków. Opowiedzieliśmy już że oddział tych jeźdźców odjechał z Vaubaronem w mnie-



maniu, że on jest wskazanym mordercą. Mechanik zjawił się z towarzyszami przed sędzią w Guimper i rzekł do niego z spokojną powagą:

— Mój panie, jestem Jan Vaubaron, najędźniejszszym z ludzi, potworem albo męczennikiem... Czuję w tej godzinie, że miłosierdzie Boskie jest bliskie... Pan widzi, że się nie wacham mówić z panem, a mój wzrok spotyka pański otwarcie. Udziel mi pan uwagi, a gdy mię pan wysłucha, to dopomóż mi.

Vaubaron opowiedział dokładnie historię swego żywota, sędzia słuchał go z wyteżoną uwagą, a gdy skończył, rzekł do niego z dobrocią:

— Jeżeli pan jesteś rzeczywiście niewinnym a tamten zbrodniarzem, to możesz być spokojnym, niesprawiedliwość nie może pana dłużej przesładować.

— Uwięź pan tamtego, a jam ocalony.

Sędzia śledczy ponowił i zaostrzył dane rozkazy, a ponieważ wiedział, że Rodille znajduje się w lesie, to starano się o to, aby mu ztamtąd ucieczkę uniemożliwić. Podwładne sądowi organy rozwinęły całą pilność, aby schwytać zbiega, a ocalić niewinnego; szukano wszędzie zamknięto wszystkie wyjścia, przetrzesiono wszystkie kryjówki, aby zbrodniarza wydać sprawiedliwości. Cześć żandarmów otoczyła las, w którym się Rodillego znaleźć domyślivano, wszyscy wyruszyli, jakby do boju. Noc nadeszła, a nie znaleziono jeszcze żadnego śladu, Vaubaron słuchał nadaremnie każdego szelestu, i napróżno wypytywał, czy schwycono zbrodniarza, gdy żandarmi wieczór wrócili. Chociaż mu mówiono o



przedsięwziętych środkach, to jednak to go nie uspokajało, bo spryt Rodillego był mu znanym; ten człowiek, który tyle zbrodni na swych barkach dźwigał, uchodził w jego oczach za całą armię.

Tak było i drugiego dnia, i przetrzęsiono już całą okolicę, a sąd stracił ochotę i zaufanie w swe siły. Przez trzy dni trzymał się nadaremnie. Zwłoki Fryderyka Hornera trzeba było pochować, bo w tem małym mieście nie znano Gannala sztuki przechowywania zwłok, a przecież pewność co do osoby doktora, konieczną była do kryminalnego procesu. Sędzia śledczy wpadł na pomysł, że człowiek, którego miał w rękach jest współwinowajcą zbiega, i zamierzył przedsięwziąć przesłuchanie go nad zwłokami.

Strasznem było dla Vaubarona, podejrzanemu drugi raz o morderstwo, stawać przed zabitym. Przed jego umysłem przeszło całe życie i napelniało go wściekłością na myśl, że morderca ujdzie znów kary a on cierpieć musi za niego. Jego urywane odpowiedzi wzmacniały podejrzenie sędziego, a mechanik widział swój wyrok w wyrazie jego twarzy.

— Przed czternastu dniami wpadnie on w nasze ręce — mówił urzędnik. Lecz jakże mu można co zarzucić na jedyne pańskie słowo? A może straci on w obecności swej ofiary straszliwą przytomność umysłu jaką mu pan przypisujesz; lecz jutro już nie mam tego środka do rozporządzenia.

— A może, — odpowiedział mechanik.

Przypomniał sobie na sztukę, która mu już raz



usłużyła i prosił aby mu pozwolono odtworzyć postać zwłok.

Sędzia pozwolił na to po długim wahaniu, a zamiar ten pozostał tajemnicą pomiędzy nim a Vaubaronem. Trzy dni upłynęło. Vaubaron z zaczerwienionemi oczyma, dzikiem spojrzeniem i wyschłym gardłem pracował nad swem tajemnym dziełem. W sobotę wieczór ukończył je, i myśląc, że na próżno wyteżał swe siły, upadł znużony na siennik i wyjąknął:

— I po cóż walczyć dłużej, gdy Bóg jest przeciwko mnie.

Myśl o córce podniosła go i zesłała mu łagodzące lzy.

Naraz usłyszał silne stapania po stopniach wschodów i żywe głosy. Przyskoczył do drzwi i zawołał:

— Łaski, litości; jeżeli macie jaką córkę, jeżeli przeczuwacie trwogę niewinnie oskarżonego, powiedzcie, czy to ten, którego mi sprawiedliwość boska zsyła.

Rodille, podobny do strasydła, którego bliskiego śmierci głodowej znaleziono w dole, gdzie się ukrył mając na sobie znaki zębów Tristana; nie obawiał się śmierci, bo spodziewał się ujść jej swą piekielną chytrością i zręcznością, lecz drżał przed strasznem nieszczęściem, przed wściekłością. Urzędnik zjawił się jeszcze tego samego wieczora, bo dla człowieka sumiennego i znającego obowiązek nie było czasu na spoczynek, jeżeli chodziło o spełnienie służby. Zastał on więźnia przy życiu, lecz bliskiego już prawie śmierci. Rodille z swą zwykłą



bezczelnością wypierał się zbrodni tak, że sędzia musiał dalsze badanie odłożyć na drugi dzień.

O ósmej rano zaniesiono Rodillego na materacu do bióra sędziego śledczego. Był to wielki pokój, umeblowany stolikiem do pisania dla urzędnika, krzesłem poręczowem i trzema krzesłami słomianemi, w jednym rogu pokoju widać było zasłonę z grubego sukna nieprzeźroczystą nawet dla bystrego wzroku Rodillego, który ustawicznie patrzył na nią smutny, bo czuł, że walczy z życiem. Obok stał Vaubaron strzeżony przez dwóch żandarmów, a gdy patrzył na swą ofiarę, to drżał ze złości na całym ciele, podczas gdy zbrodniarz zarumienił się tylko lekko i zwracał oczy na urzędnika. Rozpoczęła się walka między nimi trzema, walka, w której zbrodniarz trzymał niewinnego i sędziego w szachu, a czoło ostatniego zwilżał zimny pot na pytanie:

— Winny jest tutaj, ale który z was dwu? Może obaj nimi jesteście?

Zeznania nie były całkiem jasne, urzędnik myślał już nad podstępem; Rodille rzekł do siebie:

— Koniec się zbliża.

Postanowił opierać się do końca i umierać nie złożywszy zeznania, czuł, że jego siły gasną, lecz zwycięstwo nad sobą chciał wydrzeć sprawiedliwości ziemskiej. Czuł w sobie walkę ze śmiercią i rzucił na Vaubarona wzrok pełen nienawiści, lecz zarazem i tryumfu, gdy sędzia odsuwając zasłonę rzekł nagle: — Znasz pan tych dwóch? — Stał tam Fryderyk Horner a obok niego Laridon: Krzyk przerażenia uleciał z ust wszystkich, którzy byli temu



obecni, głos Rodillego nie miał w sobie nic ludzkiego; stracił przytomność, tak, że musiano przywołać lekarza; obawiano się każdej chwili, że ujrzą jego śmierć. Podczas gdy lekarz zadawał sobie trudu, aby nieprzytomnego przywołać do życia, patrzył on ciągle na straszne postacie, twory sztuk, które ustawione w kącie sprawiały nieprzyjemne wrażenie. Sędzia śledził te spojrzenia.

Gdy Rodille wracał do przytomności, kazał sędzia ustawić figury tak, aby cierpiący nie mógł ich widzieć. Wreszcie otworzył oczy, oglądał się naokoło i szukał istot, które go dręczyły strasznymi wspomnieniami. Obróciwszy głowę ujrzał znowu obie postacie, które uważał za straszidła swych ofiar, wyszłych z łona ziemi, rzucił się na kolana i zasłaniając rękami oczy, wyjąknął:

— Przyznaję się, przyznaję, weźcie tylko te okropne straszidła z przed mych oczu.

— Morderco, morderco! — zawołał Vaubaron, — chcesz widzieć także twe inne ofiary barona Viriville i nieszczęśliwą Urszulę Renaud, mają i one wyjść z grobu i oskarżyć cię?

— Nie, nie! Przyznaję się! — skrzeczał zbrodniarz więcej, niż mówił. — Ja ich zamordowałem, tylko precz z temi straszidłami!

Spuszczono zasłonę, a sędzia śledczy zapisał zeznania Rodillego, przez które okazała się niewinność Vaubarona. Lecz na tem nie był koniec, sprawa musiała pójść przed sądy przysięgłych; nasz przyjaciel napisał do adwokata, który go przed dwunastu laty w Paryżu tak dzielnie bronił, a ten przy-



był szybko, podał staremu przyjacielowi rękę i zawołał wzruszony:

— Dzięki Bogu, wreszcie i dla pana wybiła godzina sprawiedliwości.

Wieczór przed przeczytaniem wyroku zjawił się Paweł Mercier z Blanką w więzieniu Rodilla, Vaubaron zachwiał się, bo myślał, że to Marta w swym szesnastym roku weszła, jego serce biło mocno, a ramiona rozwarły się mimowolnie.

— Mój panie, — rzekł Paweł, — to dziecko nazywa się Blanka Vaubaron, nie zna ani ojca ani matki i żyła od najmłodszych lat u magnetyzera Fryderyka Hornera.

— Moja córko, moja stracona córko! — zawołał mechanik, a Blanka padła płacząc w jego objęcia.

---



## ZAKOŃCZENIE.

---

Mamy naszym czytelnikom powiedzieć jeszcze kilka słów. Szczęśliwym losem został ów sędzia śledczy, któregośmy poznali w Paryżu, prezydentem sądu najwyższego i prowadził także tę sprawę; głęboko wzruszony ogłosił niewinność Vaubarona i uściskał publicznie człowieka, który cierpiał tak wiele i tak długo.

Rodille myślał, że publiczne wyznanie ulagodzi jego los, i przyznał się nie tylko do zarzuconych mu mordów, ale i do uprowadzenia Blanki, opowiedział o testamencie Andrzeja Bernarda, i barona Viriville i dał dokładną wiadomość o skarbach zakopanych w ruinach zamku i opuszczonym domu.

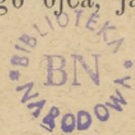
Został skazany na śmierć. Dość mała kara na potwór podobnego rodzaju, ale sprawiedliwość boska ukarała go inaczej. Wieczór przed wykonaniem wyroku umarł w straszny sposób, w skutek wybuchu wścieklizny.

Mercier ożenił się z Blanką, a Vaubaron, milioner, żył szczęśliwy przy swoich dzieciach, aż po



szesnastu latach spokoju i szczęścia poszedł w r. 1860 do swej kochanej Marty.

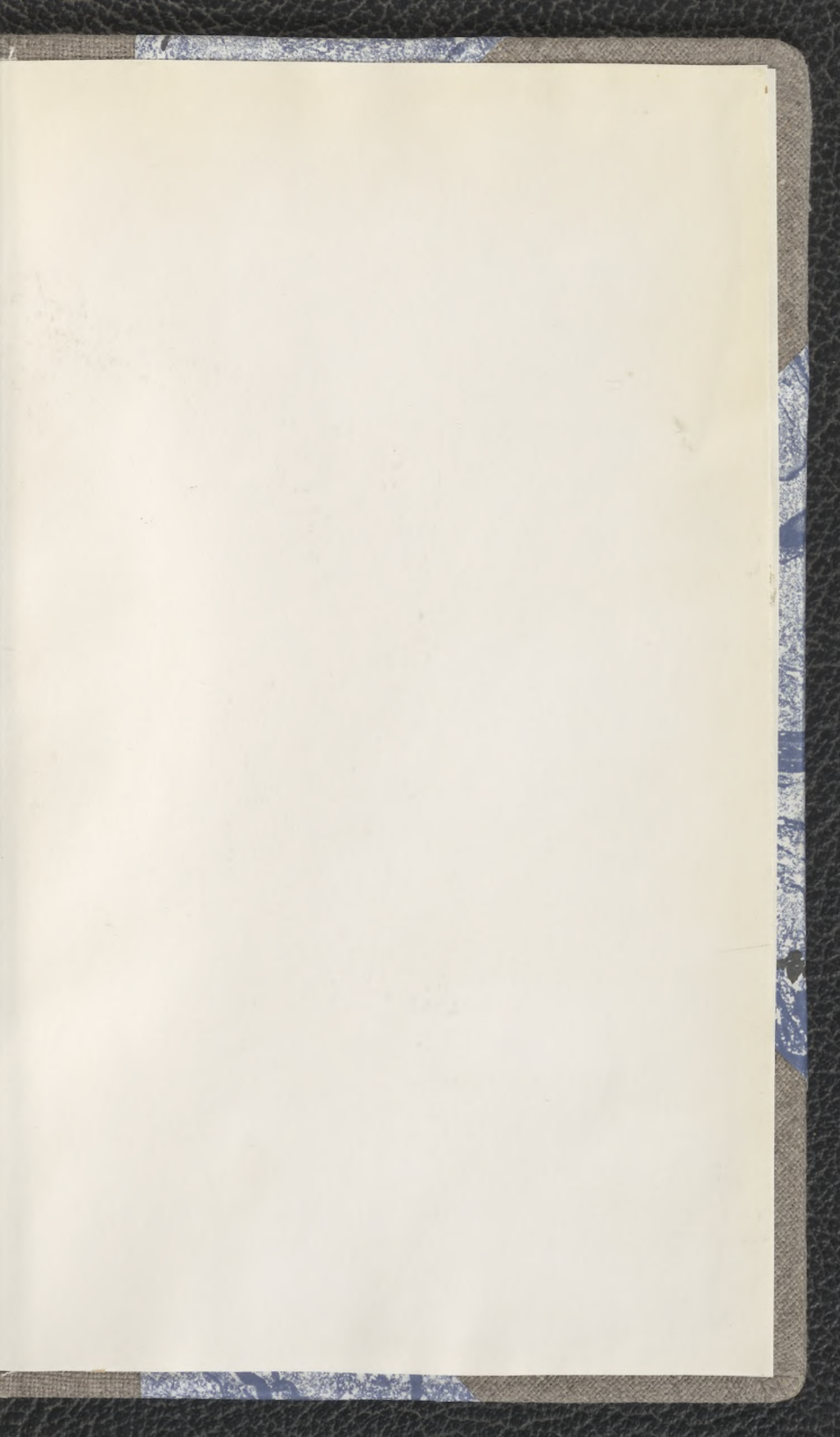
W jednym pokoju nowo wybudowanego zamku Vaubaron, przechowuje Blanką za aksamitną zasłoną figury woskowe swego ojca, jak relikwie, a czynić to będą i jej dzieci.



K O N I E C.

Ant. Naudou  
widce 6-03. 98.  
307 0

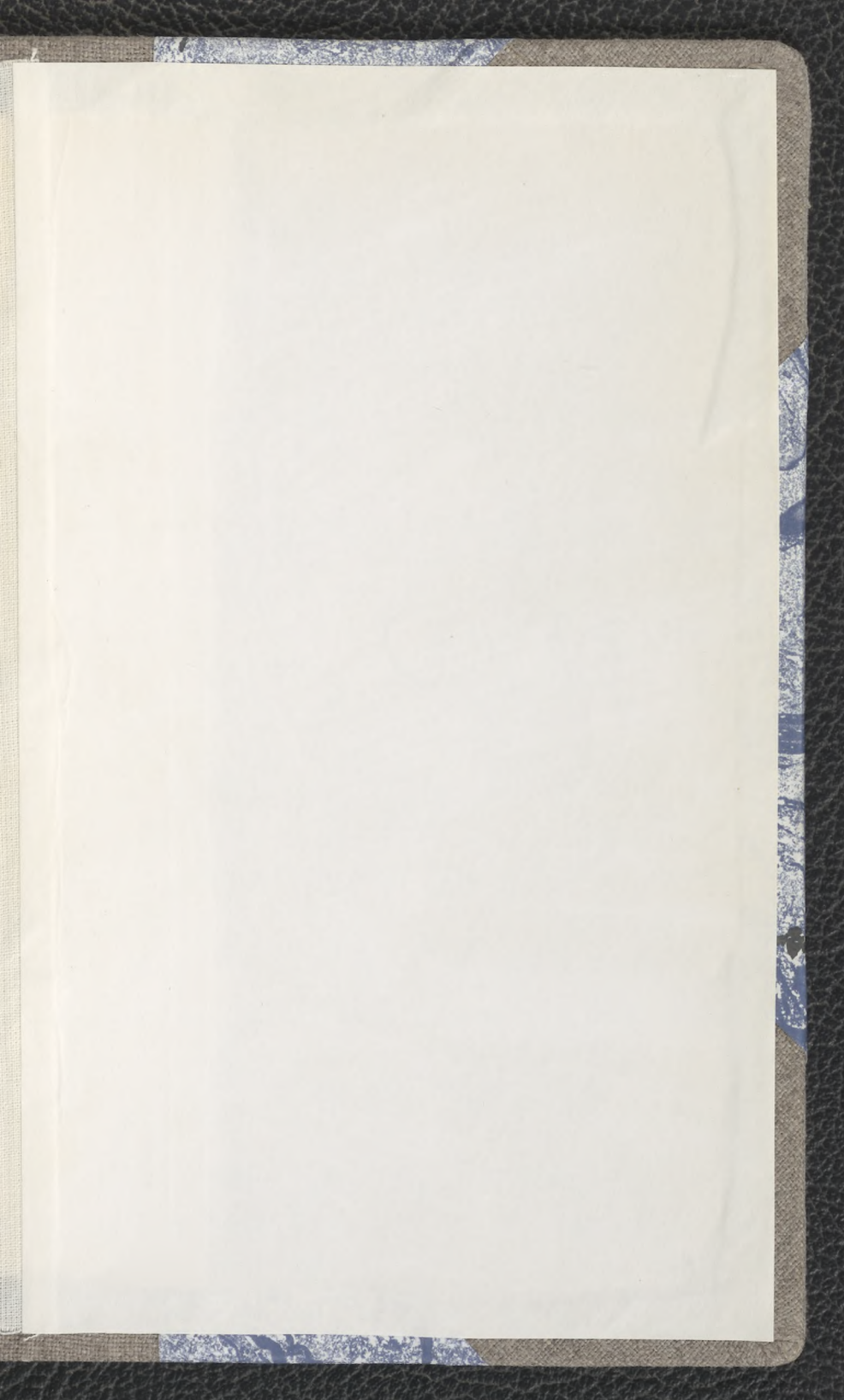
















BIBLIOTEKA  
NARODOWA

1416161

T.1-3

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020642691